

GORE VIDAL

TRUBADUR KRÓLA RYSZARDA

Tłumaczyła BRONISŁAWA BAŁUTOWA

SŁOWO WSTĘPNE

W domu mojego dziadka w Waszyngtonie znajdował się olbrzymi strych; stały tam półki z książkami, zawierające kilka tysięcy tomów: książki z dziedziny historii konstytucji, prawa, finansów, religii, egzemplarze sprawozdań z Kongresu (dziadek był wówczas senatorem), a w kącie od północnej strony leżały tomy – było ich może ze sto – które pozwolił mi uważać za moją własność. Większość z nich stanowiły bajki w wydaniach z dziewiętnastego wieku, kilka książek historycznych oraz straszliwa (i zakazana) historia pierwszej wojny światowej w fotografii. Od piątego roku życia, odkąd datuje się moja umiejętność czytania, aż do wieku lat dziesięciu lub jedenastu, gdy wyjechałem stamtąd, czytałem wszystko, co się dało, zepsułem sobie oczy i napakowałem głowę wszelkiego rodzaju upiorami, których już nie potrafię zidentyfikować, bohaterami i zdarzeniami, które straszą mnie do dziś swoją tajemniczością. Lecz jedną z tych historii pamiętam jasno. Zdaje się, że była ona zamieszczona w zbiorze, zatytułowanym "Księga wiedzy"; odczytywałem ją często w późniejszych latach, rozmyślałem nad nią, a w końcu, w jesieni 1947 roku, postanowiłem stworzyć z niej powieść.

Historia poszukiwania króla Ryszarda przez Blondela została wymyślona po raz pierwszy w trzynastym wie-

ku i zamieszczona w "Kronice z Reims". Fakty, jak to się często zdarza, nie mają z tą historią nic wspólnego. Wedle wszelkich danych historycznych Ryszard został wzięty do niewoli przez Leopolda księcia austriackiego, odnaleziony przez oficjalnie ustanowiony w tym celu angielski komitet, osądzony przez sąd i zwolniony po zapłaceniu pierwszej raty wysokiego okupu, po czym powrócił do swego kraju. Blondel, starzejący się poeta dworski, nie figuruje nigdzie w tej skomplikowanej nieco intrydze politycznej. Lecz skoro siedem wieków postanowiło uwierzyć w inną Wersję tej historii, stanąłem po stronie tradycji i postanowiłem zignorować fakty, gdyż historie o przyjaźni nieczęsto się spotyka. Namiętna miłość stanowiła zawsze temat bardziej popularny. Jest to zatem opowieść awanturnicza i legendarna, którą powtarzano od wieków i która sprawiła mi wiele przyjemności, zarówno wtedy, gdy ją sobie przypominałem, jak również przy jej pisaniu.

G. V.

New York City, wrzesień, 1949.

Część pierwsza

Jesień 1192

POJMANIE 1

Niebo było teraz białe. O świcie zaczął dąć wiatr i o świcie trzy małe statki przybiły do portu Zara. Nad Adriatykiem wiatr unosił poranną mgłę, bieląc niebo.

Blondel z Neel patrzy na morze, drapiąc się leniwie. W pewnej chwili wzdrygnął się na wspomnienie sztormów, tonących okrętów, Palestyny i wreszcie – Korfu. Ziewnął, przeciągnął się, aż w barkach przyjemnie mu zatrzeszczało; pomyślał, jak dobrze byłoby odpocząć w jakimś wygodnym zamku i zamienić saraceńskie wszy na europejskie. Chyba napisze balladę o morzu, teraz, gdy już znalazł się na lądzie: o morskich bożkach i sztormach, o niewiernych i krzyżowcach. Zaczął nucić przechadzając się tam i z powrotem po nabrzeżu.

Port Zara był mały i ze swymi wąskimi, krętymi uliczkami, po których snuły się ciemnonocne postacie w długich szatach, gawędząc i dobijając targu, przypominał bardziej miasteczko wschodnie niż Europę. Za miastem widać było niskie, ciemne, pokryte lasem wzgórza. Między pasmem wzgórz i miasteczkiem leżały ziemie uprawne, lecz komuś, kto nawykł do widoku francuskich pól, wydawały się trochę dziwne, nawet dzikie, a miejscami jałowe. Samo miasteczko nie było ciekawe. Blondel lubił miasta i lubił wieś, ale małe porty, małe miasta i ubogie zameczki nudziły go. Małe miasta były zresztą niebezpieczne. Oczywiście teraz już jest lepiej niż w czasach sprzed pierwszych wypraw krzyżowych, kiedy obcemu łatwo się mogło zdarzyć, że go kamienowali na śmierć – taką po prostu stosowano politykę. Ale przemarsze wielkich armii zmieniły to wszystko. Ludność przyzwyczała się do kompanii wojska, ciągnących z zachodu na wschód i później Wracających ze wschodu na zachód, okrytych już bliznami, a rzadko kiedy bogatszych.

Miejscowi marynarze stali na nabrzeżu, przyglądając się, lecz nie próbowali zbliżyć się do krawędzi doku, gdzie wyładowywano trzy statki. W porcie prócz nich stały jedynie dwie barki rybackie.

Wyładowywano teraz konie, które się płoszyły; ko- niuchowie uspokojali je i popychali lub nakłaniali pieszczotą do wychodzenia na brzeg. Zobaczył swego wierzchowca, już osiodłanego, którego prowadzono ze statku na nabrzeże. Klacz rzuciła się, spłoszona, i Blondel prosił Boga, by nie połamano mu wioli. Był to jego ulubiony instrument, który woził ze sobą przez cały czas, odkąd opuścił Francję. W ową noc, gdy padł święty Jan w Akrze, grał na tej samej wioli.

Pacholek przyprowadził mu konia; dosiadł go i ruszył w przeciwny koniec nabrzeża, bardziej natłoczony. Gdy jechał przez tłum ludzi i koni, podkowy tętniły głucho po drewnianym pomoście. Sortowano ładunek, a porucznicy królewscy, Baudoin z Bethune i William z Etoug, wykrzykiwali rozkazy. Wśród zgietku tłoczących się koniuchów, giermków i rycerzy stał król Ryszard i marszcząc brwi mówił coś szybko; a odziany był, ku wielkiemu zdumieniu Blondela, w długi, brązowy habit mnicha.

– A, widzę, że ktoś wreszcie dostał konie – mówił Ryszard ze złością. – Zdaje się, że mojego zgubili. – Wołał o swego konia, zagniewany, jak to często bywało; Blondel, który przez te trzy lata poznał króla lepiej niż ktokolwiek inny, chwilami znajdował go przerażającym. Przyglądał się teraz, jak odgarnia z oczu długie, gęste włosy; w trzydziestym czwartym roku życia Ryszard siwiał, a policzki przecinały mu głębokie bruzdy» biegnące do kącików ust, małych i na wpół ukrytych pod krótką brodą. Był to człowiek przystojny i próżny, lecz choć próżny, nie lubił brzydkich twarzy i otaczał się zawsze urodziwymi ludźmi.

– Czy w tym przebraniu jedziecie, miłościwy panie? – spytał Blondel.

Ryszard skinął głową w roztargnieniu, bacząc pilnie na wyładunek koni. – W Austrii muszę mieć jakieś przebranie.

Już na Korfu król, który nie znosił morza, zdecydował całkiem niespodziewanie, że przeprawa przez Morze Śródziemne zajmie zbyt dużo czasu, i wybrał drogę lądową.

– Ale z takim tłumem każdy was pozna w Austrii — rzekł Blondel, ogarniając spojrzeniem rycerzy, sługi, bagaż i konie.

Ryszard uśmiechnął się. – Będę udawał kupca, który powraca ze Wschodu. Podzielimy się na dwie grupy. Większa wyruszy z bagażem, ja pojedę z mniejszą. Baudoin, William i ty będziecie ze mną. Pojedziemy bez juków.

Przyłączył się do nich Baudoin z Bethune, młody człowiek o ciemnorudych włosach, przyjaciel Ryszarda z czasów, gdy ten był jeszcze diukiem Akwitanii, nim został królem. Blondel pamiętał, że Baudoin był w Chinon, gdy umarł król Henryk. Jako były faworyt Baudoin nie lubił Blondela, a i przez niego nie był lubiany, gdyż Blondel, choć spędził większą część życia wśród szlachetnie urodzonych, chwilami czuł się jeszcze między nimi nieswojo i w duchu lękał się ich niechęci. Teraz oczywiście, gdy był sławnym trubadurem, ulubieńcem Ryszarda, zwykle okazywano mu szacunek, lecz niektórzy z tych panów, a między nimi Baudoin, nie lubili go i dawali mu odczuć, że jest tylko synem wieśniaka z Artois.

Baudoin oznajmił, że rzeczy już wyładowano, a ludzie czekają na rozkazy. Król rozejrzał się po nabrzeżu, ogarniając wzrokiem trzydziestu czy czterdziestu ludzi, którzy mieli powracać razem z nim; byli to przeważnie nie Anglicy, a Normandczycy, jak on sam. Blondel przyglądał się królowi jak zawsze z miłością i z niepokojem, tak jak zazwyczaj marynarze śledzą powierzchnię morza.

Ryszard był w dobrym humorze. Zwrócił się do nich i miał właśnie przemówić, gdy zbliżył się jakiś człowiek, przybrany w nie znane im barwy. Spoglądał na trzech mężczyzn, niepewny widać, do którego się zwrócić. Wreszcie przemówił do Baudoina, noszącego najbogatszy strój. Mówił po łacinie – złą łaciną, jak osądził Blondel, który wyuczył się tego powszechnie używanego języka u pewnego księdza w Artois.

– Przychodzę od pana na Zara, który pragnie się dowiedzieć, kim jesteście i po co tu przybyliście?

Baudoin otworzył już usta, rozmyślił się jednak i zwrócił do króla, który przemówił swym najbardziej ujmującym, najbardziej politycznym tonem: – Powiedz swemu panu, że jestem kupcem z Normandii i powracam z podróży na Wschód, w której niestety niezbyt mi się poszczęściło. Kilku z tych panów, co mi towarzyszą, brało udział w bitwie o Akrę. Przyłączyli się do mnie na Korfu i postanowiliśmy dla obopólnego bezpieczeństwa wracać razem lądem do Normandii. Oddaj moje uszanowanie panu na Zara i uprosz go, by; zezwolił nam przepędzić noc w swoich, zapewne gościn-Jnych zajazdach.

Człowiek skłonił się i oddalił z wolna, rozglądając się z ciekawością, po czym Ryszard rzekł: – Pójdźmy. Mówiono mi, że w drugim końcu miasta, na przedmieściu, jest gospoda. Spędzimy tu dzień zaopatrując się w żywność, a jutro ruszamy.

“Dobrze znaleźć się znowu w siodle – pomyślał Blondel. – Nieść się nad ziemią rytmicznie, swobodnie, bez tego kołysania, które dręczy bezradnego człowieka na morzu”. Uderzył dłonią o sakwę, przytroczoną z lewej strony. Nie połamano mu wioli! Ta myśl uszczęśliwiła go; zaczął nucić jedną z ułożonych przez siebie pieśni.

Po chwili przyłączył się do Ryszarda, Baudoina i Williama, którzy w asyście czterech sług na koniach wyprzedzili pozostałych i jechali klusem przez wąskie, pokryte kurzem uliczki. Mieszkańcy usuwali się z drogi i patrzyli za nimi. Blondel ponownie zwrócił uwagę na ich ciemną skórę i wschodni wygląd. Pomyślał, że dziwne mu się wyda, gdy znów znajdzie się wśród ludzi jasnowłosych. “Mieszkańcy północnej

Austrii to piękni ludzie" – myślał sobie Blondel, który zawsze wolał dzień od nocy. On sam miał jasną cerę, choć jego włosy były ciemne, prawie tak ciemne jak Ryszarda.

Weszli na rynek miasta, mały, nieładny placyk ze starą studnią w stylu romańskim. Na placu wznosił się nowy kościół, i Blondel, który wolał architekturę klasyczną, patrzył z niesmakiem na tę nowoczesną budowlę zdobną w ornamenty i rzeźbione rzygacze. Dookoła rynku stały stragany i wozy. Był to dzień targowy i ludzie krążyli nawołując się głośno, nie zwracając uwagi na obcych, pochłonięci sprawami dnia powszedniego.

Król rozejrzał się wokół, popatrzył na słońce i stwierdziwszy jego położenie, pokłusował przez tłum ku północnej stronie rynku, a za nim inni. – Myślę, że przy tej ulicy znajdziemy gospodę! – zawołał.

r:

;

Dwóch żołnierzy, pozostających, jak przypuszczał Blondel, w służbie pana na Zara, spojrzęło ku nim po- , g] dejrzliwie, słysząc francuską mowę. Zjechali pośpiesznie z rynku, kierując się szybkim kłusem w brudną, ■a ; cuchnącą moczem uliczkę.

Po kilku minutach Zara – gąszcz różowych i szarych 'i? budowli – pozostała w tyle, skrywając wody Adriatyku. Przed nimi otwierała się równina uprawnych ziem, ■ pocętkowana lepiankami wieśniaków niby skóra cho- l rego na morową zarazę. Na wzniesieniu stał mały, skromny zameczek; więcej nań poszło drzewa niż ka- 1 mienia. Był to niewątpliwie gród Zara. Przejechali jj

I wąski mostek, znaczący kraniec miasta. Nędznie ubrany żołnierz, zbrojny w kopię, przepuścił ich.

Blondel odetchnął głęboko. Powietrze było tu czyste i niesło znany mu zapach gnijących liści i wilgotnej 1 ziemi; wspomniął Artois i pikardyjskie wioski; tam jesienią bywało podobnie, lecz oczywiście piękniej, choć nie tak blisko morza. Jako dziecko Blondel kochał mo- 3 rze miłością ludzi, którzy nie mieszkają na samym wybrzeżu, lecz gdzieś nie opodal: kochał odgłos bijących fal, rozległą przestrzeń, grozę sztormów oglądanych z daleka, lecz przeżywanych tylko jako romantyczne echo w myślach patrzącego.

– Jesteśmy na miejscu – rzekł Ryszard, wskazując na wielki, jednopiętrowy budynek z drewna i tynku, mocno podniszczony. Oberżysta, wysoki, chudy mężczyzna z zepsutymi zębami, wyszedł z domu uśmiecha- jąc się, widocznie przestraszony.

– Jesteśmy kupcami – powiedział Ryszard z pań- j ską miną. – Właśnie przybyliśmy z wyspy Korfu. Sły- 1 szeliśmy, że udzielasz schronienia podróżnym.

Oberżysta zamrugął i odrzekł niepewnie po łacinie: – i Udzielam schronienia za pieniądze.

– To dobrze – rzekł Ryszard, zsiadając i konia. – Przyjmiesz nas trzech do siebie. Nasi słudzy mogą spać z końmi.

Mężczyzna skłonił się; królewska mina Ryszarda i kosztowny strój Baudoina niewątpliwie przejęły go szacunkiem. William i Blondel ubrani byli skromnie, zaś król w mnisim habicie najbardziej rzucił się w oczy.

Weszli do środka. Poczerniałe od dymu, ciężkie belki podtrzymywały niski strop. W obu końcach głównej izby stały pod ścianami długie stoły i ławy. Maty z sitowia okrywały podłogę, a po izbie kręciły się psy, węsząc w poszukiwaniu porzuconych kości.

– Okropność – powiedział Baudoin.

– Lepiej tu niż w niejednym zamku – odrzucił Blondel, dając swym tonem dyskretnie do zrozumienia, że ma na myśli zamek Baudoina.

– To zależy, naturalnie, gdzie się bywa – rzekł kwaśno Baudoin.

Ryszard odezwał się: – Wy, Baudoin i Williamie, umówicie się z gospodarzem o prowiant. Weźmiemy tyle, ile zdołamy unieść, bo od jutra będziemy się trzymać z dala od miast.

Obaj rycerze wyszli z izby na poszukiwanie oberżysty, a Ryszard zwrócił się do Blondela: – Teraz mi pomóż z tą balladą. Coś mi się pomyliło w środku... Wyszli z gospody, układając Ryszardową balladę.

Przed nimi ciągnęły się milami pola; pola, przecinane lasami, skupione wokół wiosek i rzadko porozrzucanych grodów. O tej porze roku były one ciemne, pokryte ściernią, o barwie ziemi, a słońce, gdy świeciło, świeciło jasno i mocno. Powietrze było czyste, a wiatr dał ostro, chłodząc je, nadając mu szczególną przejrzystość, strącając czerwone liście z drzew.

Nastąpiła jesień i opadły zeschnięte liście, zaścielając wąską, polną drogę, pobrużdżoną przez głębokie koleiny od licznych wozów. Drogi pokrywał kurz, bo dni były suche i pogodne. "Oto dobra pora na układanie ballad" – pomyślał Blondel i słowa składały mu się gładko, gdy tak jechali na zachód, na północny zachód, dążąc ku Austrii, ku wybrzeżom Europy, a wreszcie ku królewskiej wyspie.

Po dwóch dniach jazdy po równinie, wśród uprawnych pól, dotarli do niezalesionych pagórków, porosłych krzewami, winną latoroślą i mchem, a może też, o innej porze roku, dzikim kwieciami. Niewielu ludzi mieszkało wśród tych wzgórz. Ostrzegano ich przed rozbójnikami, lecz jak dotąd nie spotkali nikogo prócz pasterzy, brodatych, zdziczałych chłopów, onieśmielonych i przełęczonych na widok obcych.

Pewnego ranka, w trzecim dniu podróży, stanęli na szczycie pierwszego wzgórza i obejrzeni się za siebie. Zobaczyli brązową i urodzajną ziemię, spadającą stokami w migotliwe morze, i miasteczko Zarę – garść domków, bielejących jak rzucone kości na brzeg morza.

Potem odwrócili się plecami do morza i pognali konie w dół wąwozami między wzgórz, gdzie, jak zauważył Blondel, nie słyszało się wcale śpiewu ptaków. Była to dziwna, jasna okolica, najwidoczniej opustoszała, snująca swe dni w pogodzie i w ciszy. Wczesnym iankiem i późnym popołudniem na doliny kładły się cienie wielkich skał.

W dolinach rosły ogołocone już drzewa, a brązowe, gnijące na ziemi liście szeptały i szeleściły, gdy spadały na nie końskie podkowy, uderzając czasem z brzękiem o ukryty kamień.

Przez kilka dni jechali wzdłuż strumienia. Na brzegach rosły wierzby, a przejrzysty nurt rwał szybko, wirując i pieniąc się na kamyczkach i korzeniach drzew, obnażonych przez wodę. Nocą spali pod gołym niebem, a szum płynącej wody niósł im ukojenie.

Często Ryszard i Blondel śpiewali, jadąc obok siebie na czele małego orszaku, za nimi podążali Baudoin i William, potem służba z jukami. Blondel, który przedtem nie znał dobrze Williama, polubił go w czasie podróży. Liczył sobie niewiele ponad dwadzieścia lat, podobnie jak większość rycerzy z najbliższej świty Ryszarda, gdyż król wolał otaczać się młodymi; ludzie starsi byli nie tylko skłonni do ostrożności, lecz także – cóż za herezja! – do krytycyzmu, nawet w stosunku do królów. William był smagły, miał zrosnięte, proste brwi, zdawał się mrukiwy, lecz nim nie był; miły, niezbyt inteligentny młodzieniec, uległy, a co najważniejsze – całkowicie oddany królowi. Król

wolał go niż starszego odeń Baudoina, który, jak podejrzewał Blondel, zbyt dużo wiedział o życiu Ryszarda sprzed czasów Chinon.

Gdy Ryszard znużył się śpiewem, jechali w milczeniu wśród drzew, słuchając chrzęstu siodła i dolatujących z tyłu głosów służby. Raz, kiedy po dłuższej chwili milczenia przejeżdżali przez niezarośnięte wzgórze, skałki, rozrzucone na szczycie na kształt trupich czaszek, nasunęły królowi myśl o śmierci; zaczął mówić o swym bracie, Janie, i o następstwie tronu.

– On wie, że już ustanowiłem mojego następcę. – Ze sposobu, w jaki Ryszard wypowiedział słowo "on", Blondel poznał, że mówi o Janie. – On wie, że w razie mojej śmierci tron przejdzie na Artura. Więc cóż on wyprawia? Nie ma talentu do polityki, zupełnie nie ma; do intryg też niewiele – choć może w tym się mylę, a jednak... – Przerwał i spojrzął z ukosa ku zachodowi. Przed nimi były jeszcze wzgórza, za wzgórzami do-

dał ostro, chłodząc je, nadając mu szczególną przejrzystość, strącając czerwone liście z drzew.

Nastąpiła jesień i opadły zeschnięte liście, zaścielając wąską, pełną drogę, pobrużdżoną przez głębokie koleiny od licznych wozów. Drogi pokrywał kurz, bo dni były suche i pogodne. "Oto dobra pora na układanie ballad" – pomyślał Blondel i słowa składały mu się gładko, gdy tak jechali na zachód, na północny zachód, dążąc ku Austrii, ku wybrzeżom Europy, a wreszcie ku królewskiej wyspie.

Po dwóch dniach jazdy po równinie, wśród uprawnych pól, dotarli do niezalesionych pagórków, porośniętych krzewami, winną latoroślą i mchem, a może też, o innej porze roku, dzikim kwieciami. Niewielu ludzi mieszkało wśród tych wzgórz. Ostrzegano ich przed rozbójnikami, lecz jak dotąd nie spotkali nikogo prócz pasterzy, brodatych, zdziczałych chłopów, onieśmielonych i przelęknionych na widok obcych.

Pewnego ranka, w trzecim dniu podróży, stanęli na szczycie pierwszego wzgórza i obejrzeni się za siebie. Zobaczyli brązową i urodzajną ziemię, spadającą stokami w migotliwe morze, i miasteczko Zarę – garść domków, bielejących jak rzucone kości na brzeg morza.

Potem odwrócili się plecami do morza i pognali konie w dół wąwozami między wzgórzami, gdzie, jak zauważył Blondel, nie słyszano się wcale śpiewu ptaków. Była to dziwna, jasna okolica, najwidoczniej opustoszała, snująca swe dni w pogodzie i w ciszy. Wczesnym iankiem i późnym popołudniem na doliny kładły się cienie wielkich skał.

W dolinach rosły ogołocone już drzewa, a brązowe, gnijące na ziemi liście szeptały i szeleściły, gdy spadały na nie końskie podkowy, uderzając czasem z brzękiem o ukryte kamienie.

Przez kilka dni jechali wzdłuż strumienia. Na brzegach rosły wierzby, a przejrzysty nurt rwał szybko, wirując i pieniając się na kamyczkach i korzeniach drzew, obnażonych przez wodę. Nocą spali pod gołym niebem, a szum płynącej wody niósł im ukojenie.

Często Ryszard i Blondel śpiewali, jadąc obok siebie na czele małego orszaku, za nimi podążali Baudoin i William, potem służba z jukami. Blondel, który przedtem nie znał dobrze Williama, polubił go w czasie podróży. Liczył sobie niewiele ponad dwadzieścia lat, podobnie jak większość rycerzy z najbliższej świty Ryszarda, gdyż król wolał otaczać się młodymi; ludzie starsi byli nie tylko skłonni do ostrożności, lecz także – cóż za herezja! – do krytycyzmu, nawet w stosunku do królów. William był smagły, miał zrosnięte, proste brwi, zdawał się mrukiwy, lecz nim nie był; miły, niezbyt inteligentny młodzieniec, uległy, a co najważniejsze – całkowicie oddany królowi. Król wolał go niż starszego odeń Baudoina, który, jak podejrzewał Blondel, zbyt dużo wiedział o życiu Ryszarda sprzed czasów Chinon.

Gdy Ryszard znużył się śpiewem, jechali w milczeniu wśród drzew, słuchając chrzęstu siodła i dolatujących z tyłu głosów służby. Raz, kiedy po dłuższej chwili milczenia przejeżdżali przez niezarośnięte wzgórze, skałki, rozrzucone na szczycie na kształt trupich czaszek, nasunęły królowi myśl o śmierci; zaczął mówić o swym bracie, Janie, i o następstwie tronu.

– On wie, że już ustanowiłem mojego następcę. – Ze sposobu, w jaki Ryszard wypowiedział słowo "on", Blondel poznał, że mówi o Janie. – On wie, że w razie mojej śmierci tron przejdzie na Artura. Więc cóż on wyprawia? Nie ma talentu do polityki, zupełnie nie ma; do intryg też niewiele – choć może w tym się mylę, a jednak... – Przerwał i spojrzał z ukosa ku zachodowi. Przed nimi były jeszcze wzgórza, za wzgórzami do-
liny, a jeszcze dalej zarysy odległych, wysokich gór. Król zazwyczaj sprawdzał ich położenie dokładniej w nocy, według Gwiazdy Polarnej, lecz w dzień również określał kierunek drogi wedle słońca i z niezbyt dokładnej mapy, którą Blondel znalazł na Korfu.

Ze wzgórza zjechali znowu w lesistą dolinę o kształcie wyszczerbionej czaszy.

–Już oni zobaczą, co się będzie działo, gdy ja powrócę i Jan się przekona, że... – urwał nagle. Blondel wiedział, że król rzadko kiedy krytykował otwarcie swoją rodzinę, nie chcąc w ten sposób podawać w wątpliwość nieomyślności rodu Plantagenetów, a tym samym i własnej. Zaczął znowu, tym razem zniżając głos, z oczami utkwionymi w leżącą u stóp dolinę, w którą zjeżdżali:

– Sądzę, że zawinił tu Longchamp. Służy mi wiernie i mogę mu ufać, ale to jego jedyna zaleta. Wstyd doprawdy, że nie można wierzyć ludziom rzeczywiście zdolnym, a takim właśnie chciałoby się zaufać.

– Czy Anglicy go lubią? – Blondel wiedział doskonale, co myślą Anglicy o kanclerzu Ryszarda.

–Żadnego z nas nie lubią. Lecz czasem wydaje mi się, że byłoby jednak dobrze, gdyby nauczył się choć trochę angielskiego, bodaj tyle, żeby czytać swoje mowy.

– Myślałem, że mówi po angielsku.

– Nie, dotąd się nie nauczył, a takie właśnie rzeczy drażnią baronów. Ale to nie jest takie ważne. Natomiast powinien był stanowczo się sprzeciwić, gdy Jan starał się oddzielić księstwa. Tak łatwo było wkroczyć do Nottingham...

Jechali w milczeniu. Ryszard z godzinę chyba nic nie mówił, lecz gdy znów się odezwał, i tym razem zaczął o sukcesji. Dręczyły go te myśli, odkąd opuścił Anglię. Mówił o tych sprawach tak, jak by to był jakiś urzekający, choć oderwany problem, który musi rozważyć, czy ma na to ochotę, czy też nie.

Tej nocy spali w dolinie. O zachodzie słońca Ryszard obrał miejsce popasu na polanie, u stóp małego wzgórza. Niedawno obozowali tu inni podróżnicy, gdyż na środku polany leżał krąg płaskich kamieni, okalający garść popiołów i wystygłych, szerniałych resztek drewna. Na skraju polany, porośniętą wysoką trawą i paprocią, tryskało źródło.

Służba rozpałała ognisko, nanosiła wody i naszykowała wieczerzę.

Ryszard siedział na pniaku przy ognisku i oglądał, zamyślony i senny, rękojeść swego miecza. Baudoin sprawdzał stan koni i cichym głosem łajał koniuchów. Wszyscy mówili cicho, jak by z szacunku dla otaczającej ich zewsząd dzikiej głuszy. Blondel, który nie miał żadnych obowiązków, podszedł do stóp wzgórza, stanął przy wielkim, omszałym głazie i patrząc na polanę myślał o słowach. Zapadał zmierzch i srebrny punkcik Wenus rozbłysł na bladym niebie. Słońce zaszło za wzgórze, a na wschodzie, nad wysokimi drzewami, niebo nabrało zimnej, szarej barwy łupku.

Blondel, samotny, nieświadomy obecności innych, stał i patrzył, jak ciemność łukiem ogarnia niebo, wyrasta z lasu i sunie cieniem, upstrzonym teraz gwiazdami, ku wzgórzom koloru żelaza. Drzewa zrobiły się czarne niby cienie poskręcanych szkieletów; żaden powiew wiatru nie poruszał gałęzmi, na których parę uschniętych liści, kruchych i brunatnych, przerywało nieregularnym kształtem surowy rysunek konarów. Drzewa wyglądały jak zamarźnięte sylwetki armii szkieletów – wrogie, zrodzone z nocy pod baczynym okiem gwiazd.

Potem nagły blask ogniska ze środka polany przeistoczył niebo, las i cały nastrój. Czerwone światło pry snęło na najbliższe drzewa, a gdy ogień rósł, na skraju lasu zaczęły wirować cienie. Niebo przez kontrast stało się teraz czarne, a świecące na nim gwiazdy – zimne i dalekie. Ludzie skupili się przy ognisku. Jeden z nich, kucharz, piekł ubitą za dnia zwierzyinę, inni się przyglądali. Blondel poweselał na widok ogniska (ogień oznaczał dom), poszedł do źródła i obmył zakurzoną twarz i krótką, jasną brodę. Ludzie w Pikardii byli bardzo czysti, o wiele czystiejsi na przykład od Anglików; w Pikardii myło się całe ciało kilka razy na miesiąc, a twarz nawet częściej. Z umytą twarzą powrócił do króla.

Ryszard siedział przy ognisku, nieco na uboczu, i marzył. Blondel usiadł przy nim. Król miał twarz zmęczoną, a kąciki wąskich ust opadły pod ciemną brodą. Wpatrywał się w płomienie przymkniętymi oczyma. Buty miał zdjęte i w kierunku ognia wysunął kwadratowe stopy o nabrzmiałych żyłach. Nie odwracając głowy oparł rękę na ramieniu Blondela; nigdy prawie nih patrzył ludziom prosto w twarz, bo jego niebieskie, blisko osadzone oczy budziły w każdym niepokój; zimne, uważne oczy, które zdawały się tak wiele widzieć, a tymczasem, jak się przekonał Blondel, widziały tak mało i nie starały się, by dostrzec to, co dla innych było rzeczywistością lub marzeniem.

– Czy musimy przejeżdżać przez Austrię? – spytał Blondel. Ręka Ryszarda ciążyła mu na ramieniu.

– Tak – odrzekł król. Zdjął rękę, przeciągnął się, a potem objął kolana, wspierając brodę na dłoniach. – Podróż przez Italię trwałaby zbyt długo. Za dużo gór. Nie, musimy ryzykować i jechać przez Austrię. Wkrótce będziemy w Wiedniu.

– Jedziemy do Wiednia? – Blondel zdumiał się.

x– W każdym razie koło Wiednia. Nie możemy tego uniknąć.

–Byłoby mądrzej – rzekł nieśmiało Blondel – gdybyśmy tego uniknęli.

Ryszard nic nie odpowiedział. Wielkim palcem u nogi kreślił na piasku mapę: jedno kółko – Zara; drugie – Goritz (następne miasto na ich szlaku). Trzecie – Bar- rin, wreszcie większe kółko – Wiedeń. Potem narysował Dunaj i góry, wszystko to z wielką dokładnością. Pamięć miał doskonałą; pamiętał mapy, szczegóły miast, które raz w życiu widział, a także – rzecz bardzo pochlebna – wszystkie ballady Blondela. Za to z trudnością zapamiętywał nazwiska; ludzi nie pamiętał wcale.

–A rodzina Montferrata? – zagadnął ostrożnie Blondel; mimo całego respektu trzeba było o tym pomówić; nie rozmawiali o Montferracie od czasów Akry.

Ryszard wzruszył ramionami. – Musimy spróbować szczęścia. Przypuszczam, że w dalszym ciągu uważają, że to ja go kazałem zamordować, lecz skoro im powiedziałem, że nic z tym nie mam wspólnego, nie sądzę, żeby się odważyli napaść na mnie. Otóż to. Leopold mógłby to zrobić, ale ci inni nie. Zresztą to by oznaczało wojnę, a nie sądzę, żeby Leopold lub cesarz chcieli teraz wojny.

“Tak, Ryszard jest zatroskany” Ij§ pomyślał Blondel. Rzadko kiedy słyszał, żeby król przemawiał w ten sposób, żeby tak lekceważył niebezpieczeństwo.

– Ciekawym, kto naprawdę zabił Montferrata? – odezwał się nagle Blondel bez zastanowienia. Nie śmiał nigdy dotąd zagadnąć o to Ryszarda, gdyż w istocie jego podejrzewał zawsze o to morderstwo. Markiz de Montferrat posprzeczał się otwarcie z Ryszardem w Palestynie, stanął przeciw niemu po stronie Leopolda i wreszcie, jak twierdził Ryszard, spiskował, aby go zgładzić.

W czasie sporu Montferrata z królem (a spór ten powstał przy podziale łupów) markiz został zamordowany. I Wszyscy uważali, że odpowiedzialność za to ponosi Ryszard, i Leopold zażądał osądzenia go, co wymagało pewnej odwagi, ponieważ Ryszard stał na czele największej armii chrześcijańskiej, a do tego był zwycięzcą bitwy o Akre. Król natychmiast zaprzeczył, jakoby brał udział w morderstwie, powiedział wszakże, że śmierć ta przyszła, jak dla niego, bardzo w porę i że on ze swej strony nie będzie zabitego żałował. W Palestynie do niczego nie doszło, choć wielu zaprzysięgło zemstę, jak zazwyczaj w takich przypadkach, gdyż rodzina Montferrata była liczna i wpływowa. Jednym z nich był Maynard, pan na Goritz. Właśnie teraz zbliżali się do Goritz, a król nie miał z sobą żadnego wojska.

Nim odpowiedział, Ryszard spojrział na Blondela; oczy, czarne w ciemnościach, zapalały się tylko wtedy, gdy jaśniej błyskający płomień oświetlał mu twarz, wywołując cienie. – Nie – rzekł wreszcie. – Nie wiem, kto go zabił. Może Saraceni, może jego własni ludzie, może Leopold. Wiesz, że ci dwaj nigdy naprawdę nie byli w przyjaźni. Mogłoby się zdarzyć, że ja bym go zabił, ale ja go nie zabiłem.

– A co będzie z Maynardem z Goritz?

– Z Maynardem z Goritz? Będziemy w Goritz tylko przez kilka godzin. Nie ma żadnego powodu, by przypuszczać, że ja tam jestem, a jeśli poweźmie podejrzenie... – skubał brodę, zapominając dokończyć zdania; niewątpliwie ważył w myślach niebezpieczeństwo.

Człowiek pełniący funkcje kucharza oznajmił, że wieczerza gotowa. Blondel, Baudoin, William i król jedli pierwsi; mówili bardzo mało, a gdy który się odej zwał, głosy ich brzmiały cicho, stłumione pod wrażeniem ciemności i otaczającego ich boru. Potem posilała się służba. Gdy spożyli całe mięsiwo, pokładli się wkoło ogniska, szykując się do snu. Król rozciągnął dla siebie na ziemi wielki płaszcz podbity futrem; Blondel rozłożył w pobliżu swą wełnianą opończę. Ryszard owinał się w płaszcz i położył obok siebie obnażony miecz. – Spij spokojnie – rzekł do Blondela i Blondel poczuł, że się uśmiecha, choć twarz jego była ukryta w cieniu.

– Dobranoc – zawiąnął się w swą opończę. Konie przestępowały z nogi na nogę; ludzie posnęli, prócz tego, który trzymał straż.

Blondel leżał na wznak, twarzą zwrócony ku niebu. Noc była bezchmurna, a czarne niebo pełne gwiazd. Jak skrzydła świetlistej ćmy, smuga Mlecznej Drogi zataczała łuk na czerni, otoczona innymi gwiazdami, ułożonymi w regularne wzory – punkciki światła, które starożytni niegdyś uważali za palące się ognie.

Wśród obnażonych konarów drzew dał chłodny wiatr, a ciszę zakłócał tylko trzask i westchnienia gałęzi – jedyny odgłos, zagubiony wśród ciszy.

Blondel patrzył na gwiazdy i myśląc o nich czuł się bezcielesny, nierzeczywisty. Były takie dalekie, takie bezosobowe, jak odległe światła miast, które migoczą z oddali, lecz do których nie zbliżamy się nigdy, nawet w snach. Odczuwał ogrom nocy; niebo otaczało go sklepieniem jak pół globu, a on był w środku, w samym środku tej półkuli; gwiazdy istniały poza nim, on poza nimi, a jednak istniał między nimi jakiś tajemniczy i niewątpliwie związek. Był centralnym punktem tego ogromu i posiadał świadomość. Ogniste punkty zdawały się zimne wśród ciemności i myśląc o tym poczuł lęk, lęk przed śmiercią, która w jakiś nie znany jeszcze sposób przemieni ten układ i zjednoczy go, umniejszonego o świadomość, z tymi bezosobowymi gwiazdami. Odetchnął głęboko i napięcie zelżało.

Powietrze pachniało umarłymi liśćmi, wilgocia, dymem wypalonych dREW i nieokreśloną wonią nocy. Spojrzał na uspiętego Ryszarda, który otworzył usta i oddychał głośno jak dziecko. I zaraz potem Blondel usnął, także jak dziecko.

Jechali z wolna po twardej, pobrużdżonej koleinami drodze. Pola opustoszały; wieśniacy siedzieli w chatach, grzejąc się przy swoich ubogich kominach; wąskie wstążki dymów wznosiły się w niebo nad domami. Nad samym zaś miastem sunął obłok dymu. Blondel jechał u boku Ryszarda, przed nimi Baudoin i William. Z tyłu służba.

Blondel nerwowo podtrzymywał rozmowę: – Zobaczycie znów królową. Długoście jej nie widzieli, prawda?

– Tak – Ryszard obejrzał się przez ramię, jak by w strachu, czy go ktoś nie ściga. – Tak, a nie jest już młoda.

Blondel uśmiechnął się. – Myślałem o królowej, waszej małżonce.

–¹ Ach tak, o Berengarii. – Ryszard poślubił ją przed rokiem na Cyprze, nim odpłynął do Palestyny.

Było to ciekawe małżeństwo. Blondel znał tę sprawę. Ryszard miał poślubić Alicję, siostrę Filipa Augusta, króla Francji, lecz pokłócił się z nim na Sycylii. Poróżnili się o Tankreda i Ryszard, spragniony wojaczki, zdobył Medynę na Sycylii dla siebie i dla Tankreda i osadził w niej tego ostatniego. Filip oczywiście był oburzony. Potem Ryszard popłynął na Cypr, a że potrzeba mu było pieniędzy i prowiantu, zdobył tę wyspę dla siebie. Gdy tam przebywał, otrzymał list od matki, królowej Eleonory, która upominała go ostro, że może nie wrócić z krucjaty i dla dobra narodu winien pozostawić następcę.

Przejrzawszy znaną mu już listę nadających się do małżeństwa księżniczek, wybrał Berengarię z Nawary i zaproponował jej ojcu, by zaślubiny odbyły się natychmiast. Blondel pamiętał dzień, w którym przybyła na Cypr.

Była drobna, bardzo młoda, miała duże, ciemne oczy. Pamiętał nawet jej strój. Nosła mały, okrągły kwef na głowie, przytrzymany wieńcem z blaszanych listków. Tunikę miała białą – kolor dziewictwa, a płaszcz

o barwie nasyconej czerwieni – kolor królewski. Ryszard przyjął ją obojętnie/lecz łaskawie, i pozostawił jej jeden tydzień na przygotowania do ślubu. Ceremonia zaślubin była skromna. Baldwin z Canterbury dawał im ślub w małej kaplicy cypryjskiej twierdzy. Ryszard pozostał z nią przez kilka dni, a potem, osądziwszy (jak się później okazało mylnie), że dostarczył już koronie dziedzica, umieścił małżonkę na innym okręcie, a sam, uważając sprawę dziedzictwa za rozstrzygniętą, popłynął do Ziemi Świętej. Nieco później tego samego roku wysłano ją do domu, do Europy.

Blondel rozmyślał o tym, gdy zbliżali się do Goritz w milczeniu, baczni na niebezpieczeństwo.

Miasto było większe niż Zara. Nad przedmieściem górował wielki klasztor, zapewne benedyktynów, jak zgadywał Blondel. Zamek pana na Goritz nie przedstawiał się okazale i zdawał się chylić do ruiny. Samo miasto było stare i bardzo zniszczone, nie od wojen

1 gwałtów, lecz jak by zmożone narastającą z wolna niemocą jednostajnego życia. Ulice nie były ludne, a nieliczni mieszkańcy, którzy ich widzieli, nie okazywali ciekawości ani wrogości. Przeszło tędy wielu krzyżowców.

Domy były małe, kryte dachówką, o małych oknach, zawieszonych skórami, które nie wpuszczały zimna i nie wypuszczały dymu. Rychło odnaleźli gospodę i tu stanęli.

Powietrze w izbie było duszne. Blondel starał się nie oddychać zbyt głęboko i nie zważać na zaduch, w którym dym mieszał się ze swądem przypalonego mięsa i z odorem stęchłego wina. Przy stołach, wspartych na krzyżakach, siedziało zaledwie kilku podróżnych. Przyjrzeni się przybyszom.

Krzepki, krępy mężczyzna w poplamionej sukni wyszedł naprzeciw i oznajmił, że jest właścicielem gospody. Ryszard zamówił posiłek dla wszystkich przez jednego ze służby, tłumacza, którego znalazł na Korfu. Usiedli przy nie zajęтым stole: Ryszard plecami do ściany, Baudoin po prawej, Blondel po lewej stronie króla.

• – Niczym karczma w piekle – rzekł pokaszlując Baudoin. Dym gęstniał w miarę, jak szykowano dla nich posiłek. Z pieczonych na rożnie wieprzków ściekał do ognia tłuszcz, a polana syczała i dymiła.

Ryszard przytaknął z zażwionymi oczyma. – Nie pozostaniemy tu długo. Gdy skończymy, pošlesz ludzi na rynek po żywność. Zaraz ruszamy.

– Nie możemy tu spędzić nocy? – Baudoin pomimo dymu zdawał się zawiedziony.

– Nie, musimy omijać miasta. Zresztą zawsze przecież wolałeś popas pod gołym niebem, na świeżym powietrzu, bez dymu – zachichotał Ryszard.

Przyniesiono posiłek. Wzięli się łapczywie do jedzenia, rozdierając mięso rękoma, bez noży. Gdy się najedli do syta, a Blondel poczuł już błogi ucisk w żołądku, Baudoin rozkazał ludziom udać się na rynek po żywność. Wtedy dopiero odkryli, że nie mają pieniędzy. Skrzynia złotych monet, którą Ryszard kazał załadować w Zara, gdzie się zapodziała. Prawdopodobnie trafiła do oddziału, który szedł oddzielnie. Przez chwilę Blondel zastanawiał się, czy Ryszard nie zaproponuje zdobycia Goritz z tą garścią ludzi. Zdobył Medynę, aby

zaopatrzyć w pieniądze swą wyprawę krzyżową, a i Cypr wziął dla tej samej przyczyny. O pieniądze nigdy zbyt król się nie troszczył, gdyż tak łatwo można je było ukraść. – Będziemy musieli mimo wszystko jać się sprzedaży, jak kupcy – powiedział wreszcie, rozśmieszony. Podał Baudoinowi rubinowy pierścień, który zwykle nosił na wskazującym palcu. – Spytaj naszego gospodarza, czy wie, gdzie to można sprzedać. – Baudoin wraz z tłumaczem naradzali się z gospodarzem i w końcu, po długich naradach, Baudoin wrócił i powiedział, że pewien Żyd, pozostający w służbie u hrabiego, zapłaciłby za pierścień dobrą cenę – jeśli okaże się prawdziwy. Ryszard posłał go na dwór Goritz, a gdy czekali, Blondel wziął wiołę i zaczął improwizować balladę.

Po odśpiewaniu przestania zamilkł, a w uszach brzmiał mu jeszcze przez chwilę własny głos. Podobały mu się słowa i muzyka, które ułożył. Zapisze to przy pierwszej sposobności. Spojrzał na króla, czekając na pochwałę, a król uśmiechnął się. – Podobało mi się to. Smutne, ale one są zawsze takie.

–| Zaśpiewaj jeszcze – poprosił William, który był młody i wierzył balladom, a kochał kobiety, smutek i wojaczkę.

Blondel zaśpiewał dla niego jeszcze jedną balladę, a król nucił do wtóru. Spędzili z godzinę na śpiewaniu, śpiew Blondela odsuwał od króla myśli o Maynardzie, Leopoldzie i o bracie Janie. Gospodarz słuchał również z widoczną przyjemnością.

Drzwi gospody otwarto się i wszedł Baudoin z miną stroskaną, prowadząc ze sobą wysokiego, szczupłego mężczyznę. Blondel podszedł do okna i odsunawszy skózaną zasłonę ujrzał z tuzin zbrojnych, stojących na straży.

– Czy - wy jesteście kupcem i panem tej kompanii? – spytał wysoki mężczyzna dobrą francuszczyzną, zbliżając się do Ryszarda, który podniósł się i stanął przy stole.

– Tak. Zwę się Villiers, kupiec z Normandii, do waszych usług.

– Tak, tak. – Wysoki mężczyzna uśmiechnął się, a uśmiech pokrył mu policzki bruzdami. – A ja jestem Maynard z Goritz, do waszych usług, panie Villiers. Ciekaw byłem was poznać, gdy mój złotnik powiedział mi, że zaofiarowano mu na sprzedaż cenny rubin. Trzeba wam wiedzieć, że zbieram klejnoty i wasz rubin zaciekał mnie. To piękny kamień oczywiście, ale jeszcze ciekawsze jest jego pochodzenie. Znam dobrze wszystkie klejnoty koronne Europy. Nie tylko większe sztuki, lecz nawet takie drobiazgi, jak sprzączki i zastawy stołowe. Ale z pewnością takie rzeczy was nudzą, bo widocznie nie podzielacie mego zainteresowania historycznymi klejnotami. Gdyby było inaczej, nie rozstawalibyście się z takim skarbem. Henryk, nieżyjący już król angielski, podarował swej żonie, Eleonorze z Akwitanii, siedem pierścieni rubinowych, po jednym na każdy dzień tygodnia (nie sądzę, aby miały oznaczać siedem grzechów głównych). Na każdym pierścieniu wrył splecione litery H. i E. Ten wasz pierścień jest jednym z owego kompletu, panie Villiers, i muszę rzec, iż ciekaw jestem, skądęście go wzięli. – Hrabia urwał i spojrzął na Ryszarda.

Ryszard zamrugał powiekami i odrzekł: – Kupiłem go na Cyprze – a Blondel wzdrygnął się, bo król kłamał bardzo nieudolnie.

– Na Cyprze, mości Villiers? Od samego króla angielskiego?

– Nie... od złotników.

– A więc twierdzą, że pierścień został skradziony królowi, i muszę mu go odesłać do Londynu. Podobno

już tam dojechał albo jest w drodze. Może by mnie nawet wynagrodził, chociaż – i tu Goritz zachichotał – jesteśmy przysięgłymi wrogami. Widzicie, ja należę do rodziny Montferrat. Jestem dalekim krewnym, lecz co krew, to krew, moim zdaniem, a morderstwo pozostaje morderstwem. – Bruzdy, okalające mu usta, pogłębiły się.

– Ja... – zaczął Ryszard, a potem zachichotał i on.

–O ile wiem – rzekł hrabia – król angielski jest jeszcze w drodze, chociaż oczywiście mógł już powrócić. Mówiono mi, że miał przejeżdżać tędy do Normandii, lecz pewien jestem, że tego by nigdy nie uczynił. Onegdaj właśnie dostałem pismo od Leopolda, w którym zapytuje mnie, czy nic o nim nie słyszałem. Odpowiedziałem mu, że są jakieś pogłoski, plotki, ale nic więcej.

–To bardzo ciekawe – rzekł spokojnie Ryszard. – Nie chcę być natrętnym, ale jaką cenę dalibyście mi, panie, za ten rzadki pierścień?

–Ależ mój drogi Villiers, jak mogę wam coś za niego dawać, jeśli nie należy on do żadnego z nas? Muszę go, naturalnie, wysłać do Anglii.

–Ty... – Ryszard nagłym ruchem postąpił krok naprzód, a hrabia Goritz, już bez uśmiechu, cofnął się krok do tyłu.

–Moi ludzie stoją pod drzwiami – powiedział spokojnie hrabia. – Opuścisz natychmiast Goritz i bądź mi wdzięczny, że odjeżdżasz wolny. – Hrabia odwrócił się i wyszedł. Blondel patrzył, jak wsiada na koń.

Ryszard zaklął z wściekłością, uderzył w stół, kopnął stołek, aż przeleciał z trzaskiem po izbie. Gospodarz, przerażony teraz i przejęty lękiem i czcią na widok swego pana, wybiegł z pokoju. Wyszalawszy się Ryszard ochłonał. Przywołał ludzi do siebie: – Ba udoin, William i Blondel pojedą ze mną. Pozostali muszą wracać sami jak się da. Zgłosicie się do mnie w Londynie.. Będę o was pamiętał. Teraz się rozdzielimy. Ruszajmy w imię Boże.

Wyszli z gospody, pozostawiając nie zapłacony rachunek; niechże go płaci Goritz. Wsiedli na konia, podzielili się na dwie grupy i puścili się galopem przez kręte ulice Goritz, uchodząc z miasta na zimne, ścierniste pola, w lasy miotane wichrem, na zachód.

Po jakimś czasie droga przeszła w wąską ścieżkę, aż wreszcie zniknęła całkiem w spletanym poszyciu lasu.

Jechali jeden za drugim. Ciemne gałęzie wysokich drzew zamknęły się nad ich głowami. Bujne poszycie skrywało głązy i gnijące, powalone pnie. Blondel nie widział nigdy tak wielkich drzew; wyglądały jak brą-ż zowe kolumny, podtrzymujące niebo powalą splecionych gałęzi. W powietrzu czuć było wilgoć i zgniliznę, zapach grzybów i spleśniałych liści. Ptaki już odleciały, a na skraju lasu czekała zima.

– Czy wiesz – pytał William, jadący tuż za nim – co powiedział oberżysta z Goritz o tym borze? – Mówił tak cicho, że nie mógł go usłyszeć ani król, ani las.

Blondel potrząsnął głową i obejrzał się na niego przez ramię.

– Powiadał, że tu straszy.

– Wierzę – uśmiechnął się Blondel.

– Mówił, że tu było kiedyś wielkie miasto, lecz zjawił się smok i zamienił całe miasto w las.

Blondel kiwnął głową. Słyszał już o takich historiach. Ani w nie wierzył, ani nie wierzył. Gdyby tak o n miał, władzę i zniechęcił jakieś miasto, to na pewno by je w coś zamienił; chyba nie w las – ten pomysł nie był zbyt oryginalny, choć skuteczny. Takie rzeczy zdawały się prawdopodobne.

– Ów smok – ciągnął William – jeszcze żyje w lasach i nikt z tych, co znają okolicę, nie przeprowia się środkiem lasu, tak jak my. Smok zjada ludzi. – Blondel pomyślał, że młody William niepotrzebnie o tym mówi z takim zachwytem.

Wiedział, że jeden z podróżnych ostrzegał Ryszarda poprzedniego dnia, nie mówiąc wyraźnie, o co chodzi. Jednakże Ryszard postanowił próbować szczęścia i świadom korzyści przeprawy przez zaczarowany bór, gdzie okoliczni mieszkańcy nie odważyliby się ich ściagać, nie zważał na niebezpieczeństwo czarów.

W południe zatrzymali się na małej polance. Blondel zbadał ją starannie i osądził, że stworzyła ją tu sama natura. Grunt był skalisty, nieco zarośnięty pod drzewami, które okalały polankę. Ich gałęzie nie stykały się ściśle u góry, i przez ten otwór przyświecało jasno słońce. Jak się tego spodziewali, wśród głązów ukryte było źródło, a w nim woda, zimna i czysta jak kryształ, bulgotała tysiącem banieczek. Napili się i posilili z zapasów żywności, skradzionej w jednym z gospodarstw hrabiego na skraju lasu.

– Dziwne miejsce – powiedział Ryszard, ocierając wilgotną brodę.

– Powiadają, że cały bór jest zaczarowany. Podobno mieszka tu smok. – Blondel powtórzył słowa Williama, a ten przytaknął.

Ryszard uśmiechnął się. – Mam nadzieję, że się mylą – powiedział. – Dość mam kłopotów z Saracenami i z politykami. Smoki zostawiam zawsze błędnym rycerzom i trubadurom.

– Widzieliście, panie, kiedy smoka?

Ryszard potrząsnął głową. – Nie, ale gdy byłem dzieckiem, słyszałem, że koło Guyenny miał przebywać smok i od czasu do czasu, zdaje się na Świętego Jana, prowadzono mu do boru młodego mężczyznę. Nikt już potem młodzieńca nie widział, zresztą smoka też nikt nie oglądał.

– Pamiętam – rzekł Blondel – że oglądałem smocze czaszki w Artois. Hrabia de Blois, mój dawny pan, przechowywał kilka smoczycy kości. Ale były tak stare, że wyglądały jak kamienie.

Przez jakiś czas, niepamiętni polityki, rozprawiali o czarach, a potem dosiedli koni i zjechali z polany.

Mrok w borze działał przygnębiająco, teraz, gdy już żadne światło nie przenikało przez ściśle splecione gałęzie u góry. Nie słyhać było żadnego głosu, prócz tętentu kopyt końskich i chrzęstu uprzęży, gdy jechali w samo serce zaczarowanych mocy.

Nagle spoza wysokiej skały wysunęła się głowa smoka; podobna była do głowy węża, lecz tak wielka jak końska, błękitno-zielona i lśniąca jak metal. Oczy miał potwór małe, nieruchome. Z paszczy o dwóch rzędach zębów, białych i ostrych jak igły, wystrzeliło ku nim wężowe żądło. Oniemiali i przerażeni, niezdolni do żadnego ruchu, patrzyli, jak stwór wysuwa się z wolna zza skały.

Szyję miał długą i cienką, ciężki tułów z grubym, długim ogonem, pokrytym łuską, który lśnił przy każdym poruszeniu, odbijając słabe światło, przenikające przez gałęzie. Smok sunął ku nim z wolna, kołysząc głową w tył i w przód, a gałęzie i chrust z trzaskiem łamały się pod jego ciężarem. Ryszard krzyknął i czar przysł. Konie spłoszyły się i zaczęły się cofać; a potem Ryszard ruszył galopem, prowadząc ich w skały, by znaleźć jakieś obronne miejsce. Z tyłu słyszeli zbliżającego się smoka.

Ryszard rozkazał im zsiść z koni. Konie, ogarnięte teraz panicznym strachem, wepchnięto w załom skalny,

skąd nie mogły uciec. Potem Ryszard z mieczem w dłoni powiódł ich przez skały.

Stanęli oko w oko ze smokiem.

Potwór patrzył na nich i kołysząc głową czekał. W końcu, gdy żaden z nich się nie ruszał, począł się zbliżać, otwierając i zamykając paszczę. Przez tych kilka chwil, które nastąpiły, takie się wszczęło zamieszanie, że Blondel nigdy potem nie mógł sobie przypomnieć, co się właściwie stało. Ryszard uderzył na smoka, a on szedł przy boku Ryszarda; następnie pamiętał, że coś wyrzuciło go w powietrze i cisnęło z trzaskiem

o ziemię, tak, że stracił oddech. Przez chwilę leżał cicho na pokrytej kamieniami ziemi. Nie mógł złapać tchu

1 wił się na ziemi, dusząc się, usiłując chwycić trochę powietrza w płuca, dysząc jak ryba bez wody. Wreszcie, wraz z uczuciem bólu, powrócił mu oddech i wtedy przypomniał sobie smoka. Z trudnością stanął na nogi i ujrzął Baudoina, który leżał obok na ziemi, jęcząc. Ryszard stał plecami do skały, odpierając smoka. Blondel widział, że król nie może się ruszyć; powstrzymywał tylko potwora od zadania ciosu. Blondel gorączkowo rozejrzał się za swoim mieczem. Z drugiej strony smoka zobaczył Williama, stojącego z wyciągniętym mieczem, gotowego do ciosu.

Kilka stóp dalej znalazł swój miecz; chwycił go i rzucił się na smoka. W tej samej chwili William uderzył z przeciwnej strony. Ostrze miecza zatopiło się w cielsku smoka prawie po rękajeść, ześliznęło po żebrach, sięgając niemal serca. Stwór zwinął się i uderzył ciężkim ogonem wprost w Williama, wyrzucając go w powietrze. Blondel uskoczył, nim ogon zdążył go dosięgnąć, a wtedy Ryszard wbił swój własny miecz w ciało potwora. Szyja skręciła się, a ogon miotał się przez chwilę półkolistnie w tył i w przód, aż jego koniec ugodził Ryszarda, obalając go. Potwór ruszył naprzód, by go zmiażdżyć. Blondel z krzykiem skoczył na smoka z boku. Ciemna posoka trysnęła z ran na zieloną skórę i smok zakręcił się z bólu i rozwarł paszczę o ostre zębach, usiłując pochwycić Blondela.

Lecz w tejże chwili rzucili się Baudoin i William i smok uciekł w las brocząc krwią, tłukąc się na oslep

o drzewa, łamiąc krzewy potężnym cielskiem.

Blondel pomógł wstać Ryszardowi. Król był jeszcze trochę ogłuszony. Suknię miał podartą, płaszcz pokryty kurzem, oblepiony krwią smoka. Wszyscy byli umazani, twarze i ciała spocone, pokryte plamami zasychającej krwi.

– No, to ze smokiem skończone – rzekł Ryszard słabym głosem, a Blondel zaczął drżeć z ulgi.

Żaden z nich nie był poważnie ranny, lecz wszyscy mocno poturbowani, podrapani i brudni. Przy każdym głębszym oddechu Blondel odczuwał ból w piersiach. Miał nadzieję, że wszystkie żebra są całe. – Poszukajmy wody – powiedział Ryszard.

– Trzeba będzie daleko szukać – odrzekł Baudoin
I znów wsiedli na konie i pojechali w las.

Nim noc zapadła, znaleźli duże źródło, a raczej jezioro, w którym powierzchnia wody, gładka jak ciemne szkło, odbijała drzewa i skrawki nieba; z jeziora wypływał cichy strumień o kamienistych brzegach, ginąc w gęstwinie drzew. Rozpalili w pobliżu ognisko, a gdy się już urządzili, zdjęli odzież i zanurzyli się w chłodną wodę. Bór był cichy i ciągle tak samo niesamowity. Nie dochodził tu wiatr, a choć zima wisiała w powietrzu i czaiła się na ziemi, tutaj znaleźli przed nią schronienie, a nawet było im ciepło; osłaniały ich drzewa tego i nieruchomego lasu, tego odmienionego miasta, którym rządziły cienie, a strzegł srogi smok. Woda była przyjemnie chłodna, nie zimna, jak by się należało w zimowy dzień. “Może wypływa z ciepłych grot podziemnych” — pomyślał Blondel. Widywał takie źródła na Sycylii. Niektórzy ludzie utrzymywali, że głęboko w ziemi tli się ogień. Ta woda musiała gdzieś stamtąd wypływać.

Wstępując w jezioro, Blondel odczuł przyjemny dreszcz; chłód wody przyniósł mu ulgę. Zanurzył się ostrożnie. Dno jeziora pokrywały gładkie, zamulone głazy; zanurzwszy się głębiej, przechodził ostrożnie z głazu na głaz, poruszając się jak we śnie. William stał na brzegu, smukły i chłopięcy. Baudoin pływał swobodnie po jeziorze, a Ryszard stał zanurzony do pasa i chlustał wodę na twarz i piersi; krępy, muskularny w ramionach, silny w rękach, o piersi porośniętej miedzianym włosem w kształt krzyża.

Blondel spojrzał na własne ciało, unoszące się na powierzchni czarnej wody. Był silny, choć nie tak, jak król. Miał smuklejszą budowę, a włos zarastał mu pierś wąską, pionową linią. Nogi miał dłuższe od króla; zgiał je, napiął mięśnie, aż zadrgały pod wodą. Lecz sprawiło mu to ból, więc odprężył je i poddał się unoszącej wodzie. Cztery postacie wyglądały w czarnej wodzie jak blade widma. “A może tak wyglądały wody Le- ty?” – zastanawiał się Blondel. Nie było teraz żadnych problemów i żadnych niemal wspomnień. Spojrzał na Ryszarda, płynącego bezszelestnie przez jezioro, wolnego od udręki zwyczajnych myśli królewskich. Cztery. białe cienie bez wspomnień, bez przeszłości, sunące po czarnej wodzie w zaczarowanym lesie, gdzie żaden ptak nie śpiewał, gdzie nic nie mąciło ciszy prócz nich i postaci ze świata czarów. To było coś lepszego niż życie, być może coś bliskiego śmierci. Cztery widma, błędzące w zaczarowanym miejscu, blade jak lód, ciche jak powietrze.

Wkrótce po południu następnego dnia dotarli na skraj lasu i znaleźli się na otwartej przestrzeni; były tu też połacie uprawnej ziemi. Wyraźnie zarysowany trakt, bez wątpienia rzymski, biegł prostą linią wśród łagodnych wzgórz.

Baudoin westchnął i zwrócił się do Blondela niemal serdecznie: – Wyszliśmy stąd, Bogu dzięki.

Blondel chciał coś odrzec; zawsze jest trudno znaleźć odpowiedź na nadszpiewanie przyjazną uwagę kogoś, kogo się nie lubi. Na szczęście jednak wtrącił się William.

– Przynajmniej zabiliśmy smoka – rzekł z uśmiechem.
– Nie jestem tak bardzo pewny, czy został naprawdę zabity – rzekł Blondel. – Przecież jest podobno zaczarowany.

– Bzdury – powiedział Baudoin. – To było takiej samo zwierzę, jak każde inne. Znałem ludzi, którzy przebywali w Afryce i widzieli dużo dziwniejsze zwierzęta. I większe.

Może – rzekł William bez przekonania. – A jednak ten to był prawdziwy smok. Starzy ludzie opowiadają, że kiedyś w Europie żyły miliony smoków, ale wszystkie pozabijano. Zostało tylko kilka.

– Widziałem ich kości na Sycylii – powiedział Blondel. Spiał ostrogą konia i zrównał się z królem, i który jechał kilka jardów przed nimi.

– Żeby tu było tylko więcej drzew – mruknął Ryszard, gdy tak jechali.

Widać ich było wyraźnie w promieniu dziesiątków mil. Blondel rozglądał się po okolicy, szukając znaków życia. W oddali widział rozrzucone nieregularnie chaty wieśniaków, a daleko na wschodzie, na wzgórzu, nie różniącym się niczym od innych wzgórz, dostrzegł zarysy zamku z wieżyczkami, osadzonego na szczycie ni- by korona. – Spójrzcie! – wykrzyknął, ukazując go królowi.

Ryszard skinął głową. – Wiem, co to jest. Należy do pewnego bogatego rycerza, krewnego Leopolda. To Wszystko jego ziemie... gdybyż tylko była jakaś lepsza osłona.

Ujechali jeszcze kilka mil w zimowym słońcu, padającym ukośnie na ich twarze, gdy nagle William podskoczył i wydał okrzyk. Odwrócili się i ujrzeli oddział uzbrojonych mężczyzn w sukniach krzyżowców, nadjeżdżających ku nim galopem. Nie mogąc już uciec, osadzili konie i czekali. Zbrojni otoczyli ich kręgiem.

– Poddaj się, Ryszardzie! – zawołał dowódca po francusku.

Ryszard wyrwał miecz z pochwy, inni też dobyli mieczy. Król rozejrzał się, badając sytuację, a potem krzyknął komendę i rzucił się na dowódcę, a za nim Blondel. Wśród szczeru zbroi przerwali krąg, przywódca atakujących spadł z konia, a Ryszard puścił się galopem do wzgórz; Blondel trzymał się ciągle tuż za królem. Za nimi pędził William. Blondel obejrzał się raz tylko i zobaczył za sobą Williama. Baudoin walczył przy drodze z austriackimi żołnierzami.

Wiatr dął trubadurovi prosto w twarz, nogi miał mokre od końskiego potu, usta zaschły ze strachu i tak pędził za królem, wśród wzgórz, aż wreszcie poczuł, że są już bezpieczni, ukryci przed wzrokiem żołnierzy. W chwili gdy mieli się wreszcie zatrzymać w wyschlym, zarzuconym głazami łożysku rzeki, koń Ryszarda potknął się i zrzucił go na kamienie.

Blondel i William pomogli wstać królowi. Ręka mu krwawiła, kłął z wściekłością. Potem spojrzeli na konia i zobaczyli, że ma złamaną przednią nogę. William, najodważniejszy, zabił zwierzę, a Ryszard wsiadł na konia razem z Blondelem, zajmując miejsce z tyłu. – Musimy spróbować szczęścia w zamku. – Blondel nie sprzeciwił się. Wiedział teraz, że żaden z nich nie dojedzie do Anglii.

Tuż po zachodzie słońca przybyli do bram zamku. Nie rozmawiali ze sobą od chwili, gdy stoczyli walkę z odmiennym księżęcym. Pewni byli, że napadli ich Austriacy. Nikt też nie wspominał Baudoina i Blondel zastanawiał się, czy poległ, czy go wzięto do niewoli. Ryszard nie mówił nic, marszczył się i widocznie był przerażony.

Zamkowej bramy jeszcze nie zamknięto; odrzwia osadzone w kamiennym murze, stały na pół otwarte. Baszta obronna w stylu normandzkim, widać niedawno zbudowana, była drewniana.

– Kim jesteście i po co przybywacie? – Stał przed nimi zbrojny jeździec, strażnik bram.

– Krzyżowcy – odrzekł Ryszard. – Wracamy do Francji. Straciłem konia na drodze, w wypadku. Jako bracia rycerze i chrześcijanie pragniemy się pokłonić panu tego zamku.

Mężczyzna podniósł pochodnię i oświetlił ich twarze. Blondel wiedział, że z zakurzonymi twarzami i w podartych płaszczach wyglądali na złodziei, lecz nosili rycerskie kolczugi, gdyż Ryszard już dawno odrzucił zakonne suknie.

– Wejdźcie – powiedział niepewnie żołnierz. – Pań tego zamku, rycerz Eryk, sam powrócił niedawno z Palestyny. Właśnie ma wyprawiać wesele swojej siostrze, która poślubia waszego rodaka.

– A kogóż to? – spytał grzecznie Ryszard.

– Rycerza Rogera z Aubenton. Tenże...

– Aubenton! – Ryszard prawie krzyknął głośno z radości, po czym dodał: – Pan Roger to mój stary przyjaciel. Gdzie go można znaleźć? Czy jest teraz tutaj?

Na strażniku zrobiło to wrażenie i bez wątpienia go uspokoiło. – Dam wam żołnierza, żeby was do niego zaprowadził. – Zawołał jednego z ludzi, którzy grali w kości przy bramie. – Zaprowadź tego rycerza... jak się wołacie, panie?

– Ryszard... z Gujeny – rzekł król, używając swego dawnego tytułu.

– Zaprowadź rycerza Ryszarda do apartamentów pana Rogera. A jeśli spotkasz po drodze austriackiego kapitana, powiedz mu, że koń gotów.

Blondel zaczął w duchu odmawiać machinalnie modlitwy, wzywając wszystkich bogów i wszystkich świętych.

Dziedziniec pełen był ludzi i koni. We wszystkie strony biegali paziowie z pochodniami jak olbrzymie wałki, przekazując zlecenia, spełniając rozkazy. Z wąskich okien spływało światło i na chwilę Blondel uległ słabości i zapragnął, by ich zagarnięto do niewoli, żeby tylko mogli być znów między ludźmi, przebywać na pokojach, w świetle i w ciepłe. Zsiedli z koni i strażnik wprowadził ich do zamku.

Minęli wielką salę, gdzie służba szykowała wieczerzę, a na rogożach siedziały psy wpatrzone w mięsiwa obracane na rożnach. W małej komnacie za salą znaleźli pana Rogera; wciągał właśnie suknię przez głowę.

– Pan Ryszard z Gujeny – oznajmił strażnik.

– Kto? Ryszard z ... Wielki Boże! – naciągnął szybko suknię. – Zostaw nas, strażniku.

Gdy żołnierz odszedł, uściskał Ryszarda, odsunął się i patrzył na niego w osłupieniu. Wreszcie zaśmiał się i rzekł: – Rozumiem teraz, dlaczego przezwalili was "Lwie Serce". Wchodźcie wprost do zamku krewnych Leopolda tego samego dnia, gdy wysłano oddział żołnierzy, żeby was pochwycił... Wiecie, można by powiedzieć, żeś Wasza Królewska Mość zmysły postradał.

Ryszard zmęczony opadł na ławę, wspierając na kółka nie obandażowaną rękę (za bandaż posłużył kawałek Blondelowego płaszcza).

– Nie, - nie zwariowałem. Wiem o tym wszystkim. Ludzie księcia napadli nas kilka godzin temu. Zabili albo wzięli do niewoli Baudoina z Bethune, a myśmy, uszli. Potem mój koń złamał nogę. To był jedyny sposób, żeby znaleźć konia. A co do ryzyka... – Wzruszył ramionami.

Sir Roger skinął głową; był to blady mężczyzna z jasnymi włosami. – Baudoina wzięli tylko do niewoli i przypuszczam, że będą go trzymać dla okupu. Nie grozi żadne specjalne niebezpieczeństwo. Dziwię się, że j żoźnierz przy bramie niczego nie podejrzewał.

Ryszard uśmiechnął się słabo. – Myślę, że mu nie przyszło do głowy, żeby ścigany przyszedł do ścigających. Jaki on jest ten Eryk?

– Dostyc porządny chyba... protegowany księcia ; i bardzo ambitny. Wiecie chyba o tym, że tu pozostać nie możecie.

– Tak – odrzekł Ryszard – wiemy. Czy moglibyś- ^ cie się wystarać dla mnie o konia i prowiant? Nie mam zamiaru iść pieszo do Normandii.

Sir Roger kiwnął głową. – Czekajcie tu na mnie – powiedział i wyszedł. Blondel i William usiedli obok Ryszarda na ławie.

– Czy możecie mu wierzyć, panie? – spytał Wil- J liam.

– Muszę – odrzekł Ryszard i czekał dalej. Blonde- lowi ślina napływała do ust, gdy poczuł z wielkiej sali zapach pieczystego. W miarę jak zbierano się w sali, zgiełk pomieszanych głosów męskich i kobiecych rósł; ktoś grał na wioli i począł śpiewać (niezbyt dobrze) i Blondel rozpaczliwie zapragnął znaleźć się razem z nimi, w ciepłe, być znów między ludźmi, wystąpić przed słuchaczami. Lecz trzeba było jechać zaraz, je-

szcze tej nocy, przez zamarznęte pola i spać pod gołym niebem na twardej ziemi.

Zjawił się Roger. – Mam dla was konia, panie – rzekł śpiesznie. – Juki napelnione. Ale musicie zaraz odjeżdżać. Kapitan straży opowiedział coś Austriakom i bierze ich ciekawość, żeby was zobaczyć. Myślę, że was podejrzewają.

Ryszard wstał. – Dziękuję ci, Rogerze. – Uścisnął rękę rycerza. – Dopilnuj, żeby nie skrzywdzili Bau- doina.

– Dopilnuję.

– Jeśli przyjedziesz do Anglii, wynagrodzę cię.

– Dziękuję, panie.

Minęli wielką salę, nie zauważeni w tłumie. Pan Roger odprowadził ich do bramy i powiedział kapitanowi straży, że pan Ryszard wiezie listy do księcia w Wiedniu i nie będzie nocował w zamku.

Przesłali ręką pożegnanie Rogerowi, który stał w bramie, oświetlony od tyłu blaskiem pochodni. Odpowiedział im tak samo, po czym puścili się wolnym kłusem i zjechali z pagórka w puste pola. Nad ich głowami księżyc na nowiu w chmurzanej czapie oświecał mgliście ich ścieżki.

Jechali przez pół nocy. Księżyc rzucał słabe światło na drzewa i pagórki. Gdy wieśniacy spali w swych ciemnych chatkach, oni jechali i w końcu o tej porze, gdy ludzie w zamkach, zmęczeni miłością, gotują się do snu, rozbili obóz w korycie rzeki, rozpalili małe ognisko i zasnęli.

Blondel drżał z zimna, obolały od sińców. Ręce miał skostniałe, czerwone jak surowe mięso, i zastanawiał się, czy nie odmrozi ich ciągłym trzymaniem uzdy. Dał ostry wiatr, od którego mózg drętwiał i bolały uszy. Spojrzał na Ryszarda i zobaczył, że nie zwraca uwagi na zimno, jak to przystało królom. Lecz William, który był tylko rycerzem i to bardzo młodym rycerzem, cierpiał również. Jednakże zaciskał usta i naśladował króla. Blondel pozazdrościł mu, gdyż tamten wierzył jeszcze w tyle rzeczy, w które starszy mężczyzna już nie mógł wierzyć: że dzielni królowie nie czują niewygód, że Saraceni są źli, a chrześcijanie dobrzy, że krucjaty rozpoczęto, aby uwolnić grób Chrystusa. Blondel uśmiechnął się posepnie, gdy wiatr ciął go w usta. Na Wchodzie były skarby i szlaki handlowe do Indii, i kraje jedwabi. Każde państwo europejskie pragnęło władzy na Wschodzie i na szczęście ktoś przypomniał sobie, że w Jerozolimie znajdował się grób Chrystusa, więc królowie zebrali armie, otrzymali papieskie błogosławieństwo i popłynęli do Palestyny w asyście biskupów ubranych w mitry i tam walczyli z brązowym ludem, przekonani o słuszności swej sprawy i pewni, że śmierć pogan nic nie znaczy wobec uwolnienia grobu zmarłego Boga.

Ryszard przynajmniej nie był obłudnikiem w życiu prywatnym i Blondel był temu rad. Król mówił zawsze o łupach, o szlakach handlowych i pozycjach strategicznych. Święty grób wspominał jedynie w mowach przeznaczonych dla dostojników kościelnych i innych książąt, którzy z kolei wygłaszali podobne mowy dla niego przeznaczone.

Blondel wiedział, że to był także niezły pomysł, aby rycerze mieli takie miejsce, gdzie młodzi mogli się bić i zabijać, nie bojąc się nagany, gdzie mogli pokazać swą dzielność i zbierać nagrody, żyć wspólnie i razem dokonywać gwałtownych czynów, nie powściągani przez niewiasty i względnie spokojne społeczeństwo. Blondel osądził, że w tym świetle krucjaty były pożyteczne i te dobre strony przeważały, gdyby nawet na przeciwną szalę rzucić niewygody, ból, ostatnią ostrą strzałę lub zakrzywiony, miecz, który tak często kończył krwawo życie młodzieńca, urodzonego gdzieś w miejscu odległym o tysiąc z górą mil, w miejscu bardziej łaskawym, gdzie wzgórze były zielone, nie brązowe, nie usypane z piaszczystego pyłu. W pewnym sensie śmierć młodych ludzi w bitwie była piękna: nie pozwalała im zestarzeć się, zbrzydnąć, umierać na przewlekłe, wyniszczające choroby. Mieli szczęście umierać w nagłym starciu, młodzi jeszcze i silni, a ich krew na krótką chwilę przydawała blasku brązowej, smutnej ziemi palestyńskiej. Tak, lepiej było, aby się tutaj zjednoczyli i zabijali Saracenów, niżby mieli pozostać w rodzinnej Europie i z braku innych rozrywek zabijać się nawzajem. Pomówi o tym kiedyś z Ryszardem, gdy będą mogli zasiąść spokojnie przed kominkiem i rozpamiętywać – stary król i stary trubadur... jeśli dożyją obaj starości. Blondel czuł, że Ryszard rzekłby to samo: tak, to było dobre, zapewne okrutne, a jednak piękne; w tym zawierała się, jak we wszelkim pięknie, tragiczna proporcja. Jego własne ballady były smutne, nawet gdy mówił o miłości, co czynił prawie zawsze. Lecz choć śpiewał o miłości, wiedział, że miłość ma głębsze znaczenie od tego, co czuje mężczyzna do kobiety, mężczyzna proszący kobietę, aby go przyjęła: konwencjonalna treść ballady – prośba do Pani. Bo słowo Pani mogło wyrażać wiele: wszelką miłość, każde wielkie uczucie, bitwy. Pani – to było braterstwo rycerzy. Pani – to było - piękno. Pani była matką Boga. Stała się więc symbolem wszystkich potężnych uczuć i wszystkiego piękna na świecie.¹ Odkrył ją, gdy miał szesnaście lat, gdy szedł przez zielone tchnieniem lata pola w Artois, szedł po raz pierwszy z kimś innym, z młodą dziewczyną: z Panią.

xWszystkie jego ballady pisane były do Pani.

Za nimi wstawało teraz słońce, jaskrawe i zimne. Poczuł jego światło i nikłe ciepło na karku; wyobraził sobie, że jest mu ciepłej, że to światło go ogrzało. W myślach ujrzał kominki pełne trzaskających polan i żółtych płomieni; myślał o lecie na polach Artois, o miłosnych uściskach.

Zatrzymali się w południe, by się posilić, rozpalili ogień tak nikły, że zimno wydawało się jeszcze dotkliwsze przez kontrast. A potem upiorna jazda trwała dalej. Drzewa niby drwiące szkielety wszystkich pomordowanych Saracenów mijały ich jak na paradzie. Wzgórze patrzyły za nimi jak czaszki poległych żołnierzy. Przed nimi ciągnęły się równiny zamarzłymi brzdami aż po kraniec nieba – niby twarz martwego olbrzyma zwrócona ku niebu. Chwilami zdawało się, że sami ledwie się poruszają, a biegną drzewa, pagórki i pocięta bliznami ziemia, jak by pędziły do jakiejś dalekiej otchłani, do jakiegoś ostatecznego grobu, gdzieś poza ziemskie granice, mijając podróźnych, pozostawiając ich pustce w objęciach zimna. Słońce wschodziło, zataczało szeroki łuk od wschodu do zachodu i opadało, i znów wschodziło, aby opaść z wyżyn nieba w pasmo gór na zachodzie. Ich małe ogniska rozbłyskiwały jedno po drugim w różnych odstępach czasu niby jaskrawe róże rozsypane po śniegu.

Zimno było zawsze obecne, jechało tuż przy nich jako czwarty towarzysz. W nocy czyhało za małym, ciepłym kręgiem ognia, a gdy znów ruszali, jechało przy nich, dosiadając wiatru.

Król zachorował. Pewnego ranka obudził się z kaszlem, dysząc ciężko. Kiedy Blondel radził, by rozpałcić ognisko i popasać cały dzień lub przynajmniej z godzinę lub dwie, Ryszarda ogarnęła wściekłość; niepewnie dosiadł konia i ruszył na północ. Podążyli za nim.

Lecz na szczęście tego wieczoru przybyli nad szeroką rzekę, gdzie wznosiło się miasto zwane Oberhass – lub jakoś podobnie; trudno im było ustalić, gdyż dowiedzieli się od wieśniaka, który mówił tylko po niemiecku, a żaden z nich nie znał tego języka. Gdy jechali przez ulice, Blondel pomyślał, że tak wspaniałego miasta nie widział nigdy.

Domy były drewniane, solidnie zbudowane i niezbyt wysokie; dachy strome, kryte dachówką, większość okien osłonięta od zimna, a główna ulica miasta nowo wybrukowana. Miasto wydawało się zamożne i nowe. Rynek był zwyczajny, z typową na rynkach studnią – tym razem ozdobną, w stylu klasycznym, delfinami tryskającymi wodą, która dotknąwszy basenu zamarzała.

Nad rynkiem wznosił się kościół w stylu włoskim. Po dwóch stronach rynku stały domy bogaczy; bok czwarty na wprost kościoła mieścił pod arkadami targowisko. Lecz tego dnia wszędzie było pusto. Zatrzymali się przed kościołem i w tejże chwili z bocznych drzwi wyszedł ksiądz.

Blondel przemówił do niego swoją najlepszą łaciną. – Powiedzcie mi, ojczy, gdzie możemy znaleźć nocleg. – Ksiądz objaśnił ich, gdzie się znajduje dom, który przyjmuje chętnie podróżnych; podziękowali mu i wkrótce odnaleźli to miejsce.

W pierwszej chwili Blondel myślał, że zemdleje od upału panującego w izbie. Fale gorąca paliły mu twarz, w głowie huczało, uszy płonęły. Król zachwiał się i opadł na ławę kryjąc twarz w dłoniach, niezdolny się poruszyć. William stał niemy, zapatrzoney w ogień. Ostatecznie Blondel musiał omówić wszystko z gospodarzem. Powiedział mu, że odpoczną tu kilka dni; spojrzawszy przy tym na Ryszarda, spodziewając się protestu, lecz protestu nie spotkał. Byli francuskimi rycerzami, powracającymi do swego kraju; rzeczy im zrabowano, służbę wybito. Historia wypadła bardzo przekonywająco; mówił po łacinie, którą właściciel gospody rozumiał słabo, lecz jako człowiek z pretensjami udawał, że rozumie, i często potakiwał głową z wyrazem udanej bystrości. – Pomogli Ryszardowi położyć się. Dano mu najlepsze, a właściwie jedyne w gospodzie, łóżko. Blondel pomógł mu zdjąć kolczugę i położył mu miecz u boku; gdy naciągał na niego przykrycie, król był już nieprzytomny.

Potem Blondel i William usiedli przy kominie – popijali wino, grzejąc ręce. Blondel zastanawiał się, czy zdoła kiedykolwiek przepędzić zimno, które przeniknęło go do kości. Przynajmniej jednak krew w nim znów krążyła, pulsowała w uszach, zalewała rumieńcem twarz i skronie, jak gdyby chciała wytrysnąć przez skórę.

Koło niego William trzymał ręce tuż przy ogniu gotów, niby Scevola, wsadzić je w płomień. – Nareszcie! – westchnął. – Nareszcie – powiedział Blondel i miał jedno tylko pragnienie: nigdy nie ruszać się z tego domu, z tej izby, od tego komina.

Owej nocy Ryszard był nieprzytomny z gorączki. Blondel czuwał przy nim, owijając go w derki i płaszcze, które król zaraz zrzucał na podłogę. Od czasu do czasu podawał mu wodę. W drugim pokoju na rogoży przy ogniu William spał zwinięty w kłębek jak psiak.

Światło zaglądało już przez okna, gdy Ryszard zaczął się pocić i kaszel ustał. A wtedy zapadł w sen.

Blondel poczuł, że ktoś nim potrząsa. Przewrócił się na bok. Na chwilę chwycił go strach. Potem ujrzał, że to William. – Zbudź, się! Jest już po południu.

Blondel przeciągnął się na podłodze, – Jak on się czuje? – spytał wreszcie.

- Myślę, że lepiej. Już nie bredzi, ale bardzo słaby.
- Kaszel ustał?
- Prawie.

Rygzard leżał na wznak, patrząc na belki u sufitu. Oblicze miał żółtawobiałe i Blondel po raz pierwszy uświadomił sobie, że król nie był już młodym człowiekiem, że twarz jego była poorana zmarszczkami, a gdy mięśnie się rozprężyły, zmęczona i zgorzkniała. Nie wyglądał teraz jak Lwie Serce.

- Panie – przemówił cicho Blondel.

Zwrócił głowę ku niemu. W oczach widniały czerwone żyłki. Usta starały się przybrać zwykły rozkazujący wyraz, lecz wysiłek był zbyt wielki. – Źle spałem – wyrzekł wreszcie słabo, z irytacją.

- Wiem. Byłem przy was.

- To ty byłeś? Dobrze. Myślałem... Myślałem, że jestem gdzie indziej.

Minęło kilka dni, zanim król mógł stanąć o własnych siłach, a gdy wstał, chodził jak dziecko, niepewnie, a własne jego nogi zdawały mu się obce.

W wiele dni potem, gdy już powracał do zdrowia, siedzieli razem przy kominku, rozmawiali i robili plany podróży przez Austrię i Francję. Właściciel gospody objaśnił ich, że znajdują się zaledwie o kilka mil od Wiednia. Postanowili, że odjadą zaraz, jak król będzie mógł dosiąść konia. Na razie posiedzą tutaj, będą się grzali przy ogniu, będą rozmawiali.

Blondel przypomniał sobie pewien wieczór, gdy wojska sprzymierzone kwaterowały w Askalonie, o kilka mil od Jerozolimy. W tym miesiącu minął właśnie rok, jak tam stali. W namiocie Ryszarda odbywała się narada. Król siedział na krześle, które kiedyś należało do sara- ceńskiego księcia; na krześle wysadzonym drogimi kamieniami, inkrustowanym złotem. Tryumfował wtedy: czerwony na twarzy od słońca i wiatru, pewien zwycięstwa, już pan Akry – pierwszy z książąt chrześcijańskich na tej ziemi. Siedział z Guyem z Lusignan i z Konradem z Montferrat i sprzeczali się o to, kto ma rządzić Jerozolimą. Kłócili się o podział łupów i Ryszard nalegał łagodnie, żeby jemu powierzyć rozdzielenie skarbów między wszystkich, a oni, choć bardzo urażeni, nie mogli mu się sprzeciwić.

Wieczór ten malował się żywo we wspomnieniach Blondela. Były to wielkie chwile w palestyńskiej karierze Ryszarda. Wziął Akrę, a teraz miał wkrótce zdobyć Jerozolimę i wypędzić Saladyna na pustynię. Zwycięstwo uczyniło go hardym, groźnym niby Jowisz i nikt nie śmiał mu się sprzeciwić. Pewnego razu rozciągnął na ziemi jednego z baronów za to, że doradził inny plan ataku, nie ten, który podał Ryszard. Traktował wszystkich z lekceważeniem, obojętnie, wyniośle i drwiąco – wszystkich prócz Blondela, do którego odnosił się zawsze łagodnie; to był jego trubadur i przyjaciel.

Owej nocy Konrad siedział za stołem, popijając italskie wino, podczas gdy mówili o łupach. Guy z Lusignan, spokojny mężczyzna, tęgi i rumiany, słuchał i rzadko się odzywał. Blondel siedział sam w kącie namiotu trzymając na kolanach wiołę i czekał, aż się skończy, czy narada, gdyż potem miał grać królowi. Przegadali wiele godzin, a potem się posprzeczali; Konrad groził wycofaniem swych oddziałów, a Ryszard zaśmiał się i powiedział, że on właśnie bardzo by sobie życzył, żeby Montferrat wycofał swoje oddziały. Bardzo! W ten sposób uprości sprawę podziału łupów. Konrad wypadł z namiotu oszalały z gniewu, a Guy z Lusignan podążył za nim. Ryszard śmiał się, zażądał wina, a potem Blondel grał królowi. Niedługo po tym Konrad został zamordowany, a niebawem atak Ryszarda na Jerozolimę załamał się.

Ryszard wspominał o tym teraz przy kominku. Gdyby był zdobył Jerozolimę... ach, jakżeby inaczej wszystko wyglądało! Byłby większy od samego Cesarza Rzymskiego; a tak musiał zawrzeć rozejm z Saladynem, a figi tem z powodu tych waśni między Janem i Longcham- pem w Anglii nie miał czasu zerwać rozejmu i zdobyć Jerozolimy, bo musiał wracać do kraju.

Przypadkowo Blondel wspomniął o jeńcach saraceń- skich, na co Ryszard zmarszczył czoło i Blondel zły był na siebie, że o tym zagadnął. Armia Ryszarda wzięła do niewoli prawie trzy tysiące ludzi, po czym ku zgorszeniu innych książąt chrześcijańskich, których przecież niełatwo było zgorszyć, Ryszard kazał jeńców wy- tracić.

– To było konieczne – mówił król, patrząc w ogień spod namarszczonych brwi, obserwując kształty czer- wonożółtych płomieni, układające się w różne wzory. – Nie mogliśmy utrzymać tylu jeńców, a przecież nie mogliśmy ich uwolnić. Nic innego nie mogłem zrobić. Poza tym Kościół mi odpuścił. To byli tylko poganie. – Lecz Blondel widział, że go to dręczyło, i zastanawiał się dlaczego, bo Ryszard był żołnierzem na- wykłym do nieprzyjemnych konieczności wojny; może istniał jednak w ludziach jakiś instynkt oszczędzania życia, jeśli nawet nie tak silny jak instynkt zabijania, to przynajmniej zawsze obecny, by przeciwdziałać zniszczeniu: jakaś potrzeba potwierdzenia przez czyn tak obiektywny jak akt miłosierdzia doniosłości gestu jed- nostki wobec ogólnego i nieuniknionego faktu śmierci.

I jgak by to uznając, król ciągnął: – Oni zabijali naszych, nigdy nie brali jeńców. Ja robiłem to, co oni. Robiłem to, co każdy wódz, od Aleksandra poczynając a na mnie kończąc, musiał uczynić wcześniej czy później. A wreszcie jakie ma znaczenie miesiąc czy godzina śmierci człowieka? Albo sposób, w jaki umiera? Sub specie aeternitatis... – zacytował nagle i zatrzymał się, niepewny, czy czegoś przez to dowiódł, czy tą odrobiną łaciny wyraził jakąś myśl oryginalną. A potem: – Tak, kiedyś to wszystko nie będzie ważne. Za sto lat nowie, Saraceni, Plantageneci, wszyscy wymrą, inni generałowie będą prowadzili inne wojny w innych krajach, a my będziemy garścią prochu, spoczywającą w kamiennych grobach lub rozrzuconą po wzgórzach Palestyny. A wtedy któż się zatroszczy o to, czy Ryszard wybił dwa tysiące saraceńskich jeńców? A jeśli ktoś się tym zainteresuje, to cóż nas to obchodzi? Zabito ich pewnego wtorku; wielu z nich poległoby w bitwie jeszcze w tym samym tygodniu, więcej w przeciągu¹ miesiąca, jeszcze więcej za rok, a za pięćdziesiąt lat większość wymarłaby od chorób. Może było mi przeznaczone, abym im zgotował wspólny dzień zgonu. Byłem narzędziem szybkiej śmierci. Bóg uczynił mnie królem, a los, który Jemu podlega, posłał mnie do tego kraju: nie ja więc byłem przyczyną ich śmierci, tak jak oni nie byli przyczyną tego, że się urodziłem. – Przerwał, a potem zwrócił się do Blondela i spytał: – Czy myślisz kiedy o śmierci?

– Tak...

– Nie, oczywiście, że myślisz, ale mnie chodzi o to, czy rozmyślasz o niej, czy rozważasz i wgłębiasz się w te myśli tak bardzo, że ci się aż w głowie kręci?

Blondel skinął głową ze zrozumieniem, zdziwiony, że takie myśli mógł mieć Ryszard. – Tak, rozmyślałem o niej, pojąłem, że nie sposób jej uniknąć.

Ryszard warknął: – Choroba zrobiła ze mnie filozofa. Lepiej walczyć i nie myśleć, zabijać po trzy tysiące ludzi, jeżeli trzeba. Wszystko jest lepsze niż myślenie. –

Uderzył się dłonią po udzie. – To ciało wkrótce

1 tak odpadnie od kości. Obejdzie się bez rozmyślań o tym.

Zaczęli więc rozmawiać o trubadurach.

Z każdym dniem królowi przybywało sił; widać było, że wkrótce będzie mógł dosiąść konia. Właściciel gospody, człowiek przyjemny, wysłuchał bez żadnych uwag polecenia Blondela, by nie wspominał nikomu o ich bytności w tym miejscu. Blondel podał mu przyczyny, które uważał za przekonywające i czuli się tak bezpieczni, jak tylko można było się czuć w bliskości Wiednia.

Pewnego popołudnia, gdy William spał, a Ryszard pomagał sługom w naprawie złamanego różna, Blondel poszedł się przejść do miasta.

Zwiedził kościół, który mu się nie podobał; zbyt dużo światła i barw. Wszystko było jaśniejsze niż w angielskich i normandzkich kościołach. Wolał tajemniczość, obietnicę cudowności w ciemnych, przepaścistych wnętrzach kościołów swej ojczyzny, choć jego upodobania estetyczne skłaniały się raczej do klasycyzmu. Gdy stał u wyjścia, podszedł do niego ksiądz, ten sam, z którym rozmawiał pierwszego dnia, i zapytał o jego towarzyszy.

Blondel powiedział mu, że jeden z nich zachorował. Ksiądz współczująco pokiwał głową. – To zwykła w tych stronach choroba. Ludzie często umierają od gorączki i kaszlu. Jesteście z Francji, nieprawdaż?

Blondel powiedział, że tak. – Ja pochodzę z Artois, a moi przyjaciele z Paryża. Byliśmy w służbie Filipa Augusta.

– Szlachetny monarcha chrześcijański – rzekł nabożnie ksiądz. Był to mały, okrągły człowieczek, dłonie miał miękkie, pulchne i różowe, z dołeczkami. – I oczywiście walczyliście z niewiernymi. Och, jakże wam zazdrościć! Nieraz prosiłem mego biskupa, żeby mi pozwolił udać się tam i robić, co w mojej skromnej mocy, dla naszej sprawy, lecz niestety, jestem i tutaj potrzebny. Każdy musi służyć, jak mu przeznaczono. – Ksiądz zerknął czule na swoje ręce, jak by podziwiał ich miękkość.

Blondel wykręcił się od dalszej rozmowy. Słyszał już przedtem tę osobliwą skargę, i to nie tylko od księży

xSzedł z wolna przez rynek. Niebo było blade, bezbarwne, a wiatr – za słaby, żeby wzburzyć zimno, wiszące w powietrzu. Pod arkadami kręciło się kilkoro, ludzi, sprzedając i kupując. Zatrzymał się przy studni i przyglądał się kobietom, które rozbijały kamieniami lód i nabierały wodę. Delfiny sączyły wodę przez oblodzone pyski.

Przyglądał się kobietom, gdy nagle poczuł, że ktoś za nim stoi. Odwrócił się z wolna; nie chciał okazać zdziwienia. Za nim stało siedmiu zbrojnych. Musieli stać na rynku przez jakiś czas, gdyż nie słyszał tętentu koni. Jeden z nich zbliżył się do niego i spytał po francusku, dokąd zmierza.

Podał fałszywe imię i odrzekł, że powraca do Artois. Zza ramienia żołnierza wyglądała okrągła twarz księdza, który mu się przyglądał.

Oficer zadał jeszcze kilka pytań: – Od jak dawna tu przebywa? Z kim? Dlaczego tak długo zostawali w mieście? – Na wszystkie te pytania odpowiadał spokojnie; sam się dziwił swemu opanowaniu. Oczywiście był na to przygotowany od wielu dni. Jedyne, co go niepokoiło, to tłum kobiet, patrzących na niego, i bogobojna mina księdza. Następnie oficer zagadnął go uprzejmie, czy rycerz, który chorował, nie jest przypadkiem Ryszardem, królem angielskim.

– Oczywiście, że nie – udało mu się nawet roześmiać. – Jesteśmy francuskimi rycerzami.

– Ale ja mam powody, aby przypuszczać, że wasz towarzysz to Ryszard. Oszczędziłoby to wszystkim wiele kłopotu, gdybyście się przyznali od razu.

– Spytajcie go sami – rzekł Blondel i zamierzał odejść. Oficer zatrzymał go. – Wolimy was zapytać powiedział. Wówczas Blondel zrozumiał. Nie śmiel wymuszać

przyznania się na Ryszardzie; księżę prawdopodobnie zabronił im tknąć króla. Jedynym sposobem

było zmuszenie jego samego albo Williama do wyznania prawdy.

– Proponuję, żebyśmy przeszli do kościoła – rzekł oficer i Blondela zaprowadzono do kościoła. Przyjął ich ksiądz, który skłonił się lekko i prowadził wąskimi schodami w dół, do wilgotnej, lodowatej krypty. Zapalił pochodnię i wycofał się, znów z ukłonem. Jeden z ludzi bez słowa ściągnął z Blondela płaszcz i tunikę, a drugi przywiązał mu ręce do pierścienia, przytwierdzonego do ściany. Skóra na piersiach skurczyła mu się od zimna. Jeden z ludzi podał oficerowi bicz, a Blondel tak zgłupiał, że dziwił się, skąd go tak prędko wzięli. Czy mieli go cały czas przy sobie? Czy też dostarczył go ksiądz?

– Czy twoim towarzyszem jest król Ryszard? – spytał oficer łagodnym tonem.

– Nie – rzekł Blondel i czekał długo, aż spadnie bicz, i po chwili, która wydała mu się bardzo długa, usłyszał w powietrzu jego świst. Bicz spadł z trzaskiem na jego plecy. Nogi się pod nim ugięły i zawisł na uwiązanych rękach. Potem bicz znów uderzył, tym razem zbyt szybko. Zobaczył wszystkie gwiazdy. Zaciśkał mocno powieki, żeby nie dopuścić bólu do wnętrza, jeśli to było możliwe, żeby uczynić go mniej rzeczywistym, upodobnić go do snu. Teraz chyba bicz uderzał w jego plecy regularnie, raz po raz, ciął tak ostro, że środkiem plecy zdrętwiały i tylko tam, gdzie koniec bicia związał się jak żądło, czuł palący, nieznośny ból. Po jakimś czasie całe ciało zwiotczało, i zwisał tak bezwładnie, ledwie że zaczepiony na samym śliskim skraju świadomości. Olśniewające konstelacje gwiazd zmieniły się w pasma zamglonego światła, a gdzieś zza tego światła głos pytał bezustannie: – Czy ten człowiek to król?

W końcu, po to tylko, by przerwać skomlenie bicia, przeszywającego powietrze, wyszeptał: – Tak, to

xkról. – Przez chwilę nie było nic. Potem poczuł, że się z nim coś dzieje. Otworzył oczy i ujrzał, że zdejmują go z konia. Byli przed gospodą; ponieważ nie mógł iść, zaciągnęli go do środka i rzucili na podłogę, gdzie leżał bez ruchu, rad, że zostawili go w spokoju. Tunika przy- sychała mu do pleców pokrytych krzepnącą krwią; ruch sprawiał mu ból, lecz wiedział, że musi się poruszyć. Uniósł się na łokciu.

Ryszard bez zbroi, zaskoczony, stał na palenisku z przerażonym sługą; przytwierdzali przed chwilą rożen. >

– Ten człowiek powiada, że jesteście królem Ryszardem – powiedział oficer.

Blondel usiłował wstać, eoś powiedzieć, wszystko jedno co, żeby się wytłumaczyć, lecz Ryszard, widząc krew na plecach jego sukni, rzucił po angielsku: – Rozumiem. – Potem, zwracając się do oficera, rzekł zimno, i ostrym głosem, który zawsze przerażał ludzi: – Jak śmiałeś tknąć mego trubadura? Jak śmiałeś, odpowiedź!

– To... to było konieczne, panie – wyrzekł oficer; reagował na gniew Ryszarda tak jak wszyscy. – Nie chciał wyznać, że tu jesteście.

– A dlaczego miałby wyznać? Cóż was to obchodzi, że jadę przez Austrię? Z czyjzego rozkazu jesteś tutaj?

– Z rozkazu księcia Leopolda, panie.

– A jaki masz rozkaz?

– Aresztować was, panie, i przywieźć do Wiednia, i Nastała cisza. Ryszard wpatrywał się w oficera, aż

nieszczęśliwiec odwrócił wzrok; potem rzekł spokojnie: – Odmawiam. Ani ty, ani Leopold, ani cesarz nie macie prawa mnie aresztować.

– W takim razie... musimy was ująć jakimkolwiek sposobem.

Ryszard pochwyił rożen, ostry pręt metalowy, który mógł się stać równie niebezpieczny jak miecz. –j Próbuje – powiedział i przez ramię krzyknął na Willia-

ma. Chłopiec z wyciągniętym mieczem stanął przy nim na palenisku.

– Utrudniacie nam sprawę, panie – powiedział oficer.

– O to mi właśnie chodzi – rzekł Ryszard ujmującym tonem. – Razem z Williamem pozabijamy wielu z was, zanim mnie schwytacie. Ciekaw jestem, którzy zostaną zabici.

– Ależ jesteście w Austrii, panie. Cały kraj przeciwko wam. Łatwo by przyszło was zabić.

– O, wcale nie tak łatwo – odrzekł Ryszard. – Gdybym gościł w waszym zamku, byłoby łatwo, bo moglibyście mnie otruć, a świat dowiedziałby się, że umarłem z choroby. Lecz tutaj, w małym mieście, gdzie jest tylu świadków, to nie będzie takie proste. Jesteś człowiekiem wykształconym. Wiesz, co oznacza słowo królobójstwo... i jaka jest za to kara.

– Wiem.

– Cała Austria mogłaby zostać wyklęta za moją śmierć, nie mówiąc już o wojnie z Anglią.

– Wiem to wszystko, panie. Księżę kazał mi wziąć was żywym.

– Bardzo rozsądnie z jego strony. Okup, który za mnie otrzyma, wyciągnie go z długów. Ja jednak odmawiam poddania się tobie. Idź, powiedz Leopoldowi, żeby przyszedł sam, może on mnie potrafi namówić do poddania się. Właściwie rzecz biorąc, mogę się poddać tylko cesarzowi, lecz na nieszczęście najbliższy cesarz jest we Frankfurcie. Więc sprowadź mi księcia. – Ryszard uśmiechnął się do nich i zaczął wywijać różnem.

Oficer, nie widząc wyjścia z tej sytuacji, wzruszył w końcu ramionami i rzekł: – Gospoda będzie strzeżona, póki nie dostanę rozkazów z Wiednia, więc nie próbujcie uciekać. Żegnajcie, panie. – Zasalutował i odszedł.

r]

Ryszard z Williamem zanieśli Blondela do sypialni. William przyniósł wody i płótna, które dał mu oberżysta. Ryszard delikatnie obmył plecy Blondela. – Już ja im pokażę. Pokażę całej tej bandzie, razem z Leopoldem. Nie przypuszczałem nigdy, że ośmieli się zrobić mi coś takiego, i zresztą nie śmiałyby na własną rękę. Cesarz musiał wyrazić zgodę, a to oznacza, że... Jak się czujesz?

– Lepiej. – Blondel ukrył twarz w derce. – Przebaczcie mi – powiedział. Miał ochotę zapłakać jak dziecko. A Ryszard niby ojciec rzekł: – Dobrze już, dobrze. Trzeba im było powiedzieć od razu, jak cię spytali. To by nie zrobiło różnicy. Musieli mnie znaleźć wcześniej czy później. – Opatrzył mu plecy nadzwyczaj delikatnie, a potem kazał spać i Blondel zasnął. Obudziły go jakieś głosy.

Przy każdym poruszeniu bolały go wszystkie stawy; całe ciało miał obolałe, a usta zaschnięte, spieczone gorączką. Z sąsiedniej izby słyszał rozmowę. Ostrożnie, z bólem wstał z łóżka i nie mogąc utrzymać się na nogach, podpełznął do drzwi swego pokoju. W drzwiach wisiała zasłona ze zgrzebnego płótna; uchylił ją z jednego rogu i ujrzął Ryszarda i Williama, stojących znów na palenisku, z obnażonymi mieczami. Oberżysta kręcił się z nieszczęśliwą miną, a z zewnątrz słychać było stąpanie koni i zgiewk liczących głosów.

Zastukano do frontowych drzwi i oberżysta, który przez cały czas składał ręce pod długą brodą, zapewne odmawiając modlitwy, otworzył drzwi. Do izby wszedł wysoki, jasnowłosy mężczyzna, młody jeszcze, ubrany w ciemny płaszcz i karmazynową tunikę, a za nim świta! i straż. Blondel poznał go natychmiast: był to książę

Leopold, dość przystojny mężczyzna, o twarzy bez charakteru, z nikłym podbródkiem. Na widok Ryszarda

uprzejmie się uśmiechnął, skłonił ceremonialnie i po-

zdrowił go doskonałą łaciną, wymieniając bezbłędnie i z szacunkiem wszystkie jego tytuły.

Ryszard odwzajemnił pozdrowienie równie ceremonialnie.

– ■ Zrobiliście mi przykrość, Wasza Królewska Mość – mówił książę płynnie – odmawiając memu zaproszeniu do Wiednia. Pojmuję, że było ono niezręcznie przedstawione, i proszę o wybaczenie. Przed kilkoma tygodniami usłyszałem, że przebywacie, panie, w moim kraju, lecz dopiero kilka dni temu dowiedziałem się dokładnie, gdzieście się zatrzymali. Czy już przyszliście całkiem do zdrowia?

– Tak.

– Rad jestem. Byłoby mi bardzo miło, gdybyście zechcieli przyjąć gościnę u mnie w Wiedniu. Jeśli mnie pamięć nie myli, od czasów Akry nie spotykaliśmy się zbyt często.

– Czy cesarz wie o tym?

Leopold zrobił zdumioną minę. – Ależ oczywiście, naturalnie. – Powiedział to zbyt szybko. – r Myślę, że może nawet zawita niebawem do nas, do Wiednia. '

Ryszard zamyślił się, marszcząc czoło. Ludzie Leopolda przyglądali mu się z ciekawością. Więc to był ów legendarny król angielski. Oglądali go, jak gdyby był jakimś dzikim zwierzęciem, jakimś lwem.

– Przyjmuję wasze zaproszenie – rzekł wreszcie Ryszard.

Leopold uśmiechnął się radośnie. – Wielki to dla mnie zaszczyt – powiedział, rumieniąc się jak dziewczyna.

– Pozwólcie mi załatwić kilka spraw – rzekł Ryszard i skierował się do drzwi sypialni. – Och, czy nie macie przypadkiem trochę austriackich pieniędzy? Będę musiał zapłacić oberżyście.

Leopold zaśmiał się, wziął sakiewkę od jednego ze świty i wręczył ją Ryszardowi.

– Odplacę się wam – rzekł Ryszard.

– Och, spodziewam się – odpowiedział Leopold.

Ryszard wszedł do sypialni. – Masz – szepnął do

Blondela i wysypał na łóżko połowę zawartości sakiewki. – Będziesz ich potrzebował. Może się zdarzyć, że nie zabiorą cię razem z nami. Jeśli tak się zdarzy, wracaj do Anglii i... masz, weź ten pierścień. Dała mi go Be- rengaria. Oddaj go jej, a potem opowiedz wszystko Longchampowi: że zostałem wzięty do niewoli i że ma zapłacić okup, gdy tylko się o tym dowie. Rozumiesz?

Blondel skinął głową. Ryszard pomógł mu wstać i uściskał go. – Powodzenia – szepnął. Po czym wziął swój ciężki płaszcz i hełm i nim Blondel zdążył coś odrzec, wyszedł z pokoju.

– Wasza Wysokość gotowa?

– Jestem gotów, Leopoldzie. Mój rycerz, William z Etoug, oczywiście pojedzie ze mną.

– Ach, oczywiście... ale czy nie było z wami...

– Kiedy widzieliście po raz ostatni cesarza? – spytał szybko Ryszard.

– Kogo? Cesarza? Zaraz, niech sobie przypomnę. Kilka miesięcy temu. Myślę, że w październiku. Tak, w październiku. Byłem przez kilka dni we Frankfurcie.

– Jakże jego zdrowie?

– Och, doskonale. Jak wiecie zapewne, ten ród cieszy się zawsze dobrym zdrowiem. Ale oczywiście, musicie o tym wiedzieć, przecież jesteście z nim spokrewnieni.

– Wszyscy jesteśmy spokrewnieni – odparł sucho Ryszard.

– To szczerza prawda, kuzynie – potwierdził z uśmiechem Leopold. – Czy możemy już jechać?

– Zapłacę wpieryw oberżyście.

Blondel stał za drzwiami, wsparty o ścianę. Potem chwiejnym krokiem wrócił do łóżka i upadł na posłanie. Słyszał szczęk podkutych kopyt końskich uderzających o kamienistą drogę. Potem stracił przytomność i na jakiś czas przeniósł się w świat bez snów i myśli, bez Ryszarda, bez bólu i pamięci.

Część druga

Zima 1192-1193

POSZUKIWANIE 1

Nazajutrz po pojmaniu króla Blondel zapłacił oberżyście i udał się do pewnego domu na skraju miasta, gdzie ukrywał się przez kilka dni. W mieście było jeszcze pełno książęcych żołnierzy i Blondel zdawał sobie sprawę, ile miał szczęścia; w podnieceniu wywołanym schwytaniem Ryszarda o nim zapomnieli. Lecz teraz na rynku odczytano odezwę i naznaczono nagrodę za schwytanie trubadura Blondela.

Siedział przy małym kominku i układał plany; dom należał do pewnej wdowy po kowalu, dużej, kościstej kobiety, matki kilkorga dzieci; przyjęła go do siebie, otrzymała sowitą zapłatę i przysięgła, że nie wyda go żołnierzom. Pozostał u niej przez kilka dni. Opatrywała mu plecy różnymi ziołami i okładami z błota i pajęczyny, a w dzień, gdy pracowała w kuźni, Blondel siedział sam przy kominku i zastanawiał się, co ma dalej robić.

Najpierw oczywiście musiał przesłać do Anglii wiadomość o tym, że Ryszard został wzięty do niewoli. Ale czy miał jechać sam? Naturalnie, że ktoś musiał jechać, i to prędko. Ryszarda nie spodziewano się w kraju wcześniej niż za miesiąc, a za miesiąc... Blondel nie mógł nawet pomyśleć o śmierci Ryszarda. Nie, Anglicy muszą się dowiedzieć natychmiast i im prędzej nawiążą rokowania z Leopoldem, a jeśli

zajdzie potrzeba, im

prędzej zbiorą armię i odwołają się do papieża, tym lepiej dla Ryszarda. Tylko – i tu urywał się jego plan – nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie trzymano króla – i po co. Chyba że chodziło o okup – to by była racja oczywista. Jeśli Leopold pragnął okupu, Ryszard był bezpieczny, lecz gdyby próbował ucieczki, co na pewno uczyni – mogliby go zabić. A nawet po otrzymaniu okupu Leopold mógł kazać zgładzić Ryszarda i powiedzieć, że zmarł na jakąś chorobę. Możliwość była nieskończona ilość i od tych rozważań bolała go głowa, gdy sobie uświadamiał swą odpowiedzialność i bezradność. Co miał począć? Patrzył w ogień, lecz nic mu nie przy- . chodziło do głowy: czerwone, błękitne i żółte płomienie migotały, nieme.

– Musicie dzisiaj odejść – rzekła kobieta. Blondel drgnął; nie wiedział, że weszła do pokoju.

– Jestem gotów – powiedział, rad, że go zmuszają J do działania.

– Żołnierze przetrząsają za wami całe miasto. Dziś wieczór albo jutro przyjdą tutaj.

– Muszę odejść w każdym wypadku – odrzekł. Mówił teraz trochę po niemiecku.

– Byłaś dobra dla mnie – zaczął niezręcznie. ,

– Możecie mi się odplącić -r^ powiedziała spokoj-3 nie. – Dacie mi jeszcze trochę pieniędzy i przyrzeknie^ cie, że nie zdradzicie mojego imienia, jeżeli was złapią – a złapią na pewno.

Dał jej pieniądze i przyrzekł. Uśmiechnął się, składając przyrzeczenie, gdyż nie znał nawet jej imienia.

Wyreperowała porządnie jego płaszcz, a kilka dni przedtem kupiła mu grubą, wełnianą spodnią szatę. Przynajmniej będzie mu ciepło, gdy powędruje; konia zabrali mu książęcy ludzie. Włożył płaszcz, zaciągając go szczelnie spinką. Gdy ciężkie sukno opadło na pokryte bliznami, ledwie że zagojone ramiona, syknął, bar-

dziej z przyzwyczajenia niż z bólu. Dzięki tej kobiecie i jej ziołom plecy zagoiły się bez zakażenia. Przewiesił wiołę przez ramię, a sakiewkę uwiązał u szyi i wsunął pod zwierzchnią suknię. Przez chwilę ścisnął w dłoni pierścień Ryszarda; był to ciężki, złoty pierścień, w którym zamiast kamienia tkwił herb Plantagenetów; potem, prawie bezmyślnie, wsunął go na palec. Postanowił, że najpierw odnajdzie króla, a później powróci do Anglii z wiadomością. Jeśli nie zdoła odnaleźć króla za kilka tygodni, będzie musiał przesać wiadomość przez kogoś innego, a sam będzie szukał go dalej.

Na dworze było zimno, lecz nie tak zimno jak przedtem; nie było wiatru, a idąc pieszo szybko się rozgrzał. Od razu wszedł na drogę, prowadzącą do Wiednia; biegła niedaleko domu i na szczęście nie potrzebował przechodzić przez miasto.

Na drodze ruch był niewielki. Minął go w galopie jakiś rycerz ze swym giermkim; wolniej, spokojnym kłusem przejechało dwóch księży, a jakiś kupiec z czeladzią posuwał się wolno pieszo w stronę Wiednia. Po obu stronach traktu ciągnęły się lasy, które dawały mu poczucie bezpieczeństwa: to dobra kryjówka.

Zauważył, że był to trakt rzymski i idąc myślał o Rzymie, zastanawiał się, jak to być mogło, żeby jakieś państwo doszło aż do takiej potęgi. Na przykład dzisiaj żaden kraj nie budował dróg nawet w połowie tak dobrych, jak te, które pozostawili Rzymianie – dróg, które pokrywały Europę niby kamienną siecią. Naturalnie, nie mógł sobie wyobrazić żadnego państwa, które by panowało nad całą Europą, tak jak Rzym. Henryk niemiecki przezwiał się władcą Świętego Cesarstwa Rzymskiego, lecz, jak powiadano, nie był ani świętym, ani rzymskim, ani też, przy bliższym zbadaniu sprawy, tak bardzo cesarzem. Filip, król francuski, nazwał się – nieco optymistycznie – Augustus i był w mniejszym

klub większym stopniu dziedzicem Karola Wielkiego, I lecz jego potęga nie mogła się równać z potęgą wielkie- J go Karola, a już na pewno nie z potęgą cesarów. Cza 1 sami zdawało się Blondelowi, że Ryszard mógłby zo- stać nowym panem całej Europy, lecz raczej w to 1 wąpił. Musiałby wpiery dokonać zjednoczenia włas- 1 nych wysp brytyjskich, a to zajęłoby mu całe życie M i mogłoby się w końcu okazać niemożliwe. Następnie, -M nie był pewny, czy Ryszarda pociąga władza polityczna, a czy chciałby zostać cezarem. Bardziej go interesowały j wojny i pieniądze. Gdy wstąpił na tron, posprzedawał M biskupstwa, zagarnął dobra szlachciców, którym był M niechętny, i odprzedał je znów z zyskiem. Praktycznie j biorąc sprzedał Szkocję za pokazną sumę Wilhelmowi, 1 którego również przezywano "Lwem". Wyruszył na tę J swoją krucjatę z wyraźnym zamiarem osobistego wzbo- i gacenia się i w tym względzie okazał więcej zmysłu 9 praktycznego niż którykolwiek z jego poprzedników Gdyby uważał, że mu się to opłaci (i miał po temu środ- Jfl ki), mógłby pewnego razu postanowić, że podbije Euro- 9 pę, lecz Blondel, który nie miał co do niego złudzeń, wiedział, że Ryszard nie był mężem stanu, jak Filip czy J Henryk, i ze swoim temperamentem, jako polityk i i dyplomata, znacznie im ustępował. Ryszard walczył 1 z Saracenami dla zdobycia łupów wojennych i dla sa- J mej walki, którą lubił. Tacy ludzie rzadko kiedy wzno- fl sili cesarstwa, a jeśli tak się zdarzyło, cesarstwa takie 1 rozpadały się zwykle z ich śmiercią.

Odetchnął zimnym powietrzem; czy odważyłby się te- l raz zaśpiewać? Nie, nie tutaj. Ktoś mógłby go usłyszeć,;j1 a trubadur, śpiewający po francusku, może wzbudzićj] podejrzenia. Jednak po raz pierwszy od wielu tygodni R zapragnął śpiewać.

Przez pewien czas trakt prowadził wzdłuż szerokiej rzeki i Blońdel, który uważał Francję za najpiękniejszy | kraj świata, musiał jednak przyznać, że ten krajobraz był piękny nawet zimą; miał w sobie surowe dostojęństwo, a także coś posepnego. Po drugiej stronie bystrej, brunatnej rzeki widniały pola i doliny; pagórki, wioski, góry i zamki; blada, błękitnobiała

mgła leżała we wgłębieniach dolin niby dym lub nieruchomy puch, podobna skrawkom zimowego nieba.

Na brzegach rzeki rosły drzewa; wierzby pochylały się i muskały wodę bezlistnymi gałęziami. Małe łódeczki sunęły z prądem, unosząc rybaków. Przypomnił sobie, że jako dziecko wypływał często na Atlantyk w rybackich łodziach swoich krewnych i pamiętał doskonale upalne słońce, odbite w jaskrawozielonym morzu, i twarde, brązowe ramiona kuzynów, zarzucających sieci. Zatęsknił nagle do tego ciepła, choć samotny marsz przez tę zimową krainę nie był mu nieprzyjemny. Do głowy cisnęły się fragmenty wierszy. Znał pewną panią w Blois... Jak jej też było na imię? Była jego Panią w kilku balladach i teraz wrócił do niej myślą. Może ułoży po drodze nową balladę. Słowa, zdania i rymy napływały mu do głowy i na próbę zaczął coś nucić; potem przypomniał sobie Ryszarda i zamilkł w poczuciu winy. Teraz nie powinien dopuszczać do siebie uczucia szczęścia, które zawsze budziło się przy układaniu ballad. Jeśli ma skomponować balladę, powinna to być ballada o Ryszardzie. Jakie słowo rymuje się ze słowem Ryszard? Zastanawiał się.

Gdy przybył do Wiednia, zapadła już noc. Nawet w ciemnościach uświadamiał sobie, że jest to duże miasto, czuł jego niespokojny oddech. Budynki różnej wysokości miały strome, ostro zakończone dachy; ulice były wąskie, niekiedy brukowane kamieniami. Ludzie powiadali, że Wiedeń będzie kiedyś największym miastem Europy, większym i piękniejszym od Rzymu i Paryża. A Leopold miał podobno bardzo ambitne plany, tak dla siebie jak i dla swego miasta.

Noc była mglista, światło księżyca rozproszone, a na strome dachy wpełzała ciemność. Widział dzwonnice dużego kościoła, a nie opodal fasadę jak by pałacu. Jeźdźcy na koniach pędzili szybko przez ulicę, podkowy dzwoniły o bruk. Pachołkowie dymiącymi pochodniami oświetlali drogę dworzanom, podążającym z jakąś ważną misją w lektykach, niesionych na ramionach krzepkich wieśniaków. J

Wędrował przez ulice z ręką opartą stale na rękojeści miecza, bo ulice miasta zawsze były niebezpieczne, pełne złodziei i zasadzek dla obcego przybysza, aż wreszcie znalazł gospodę. W dawnych czasach istniały tylko kuchnie dla podróżnych i winiarnie, a podróżnicy spali pod gołym niebem albo w stajniach, lub też, kto miał szczęście, w zaniku jakiegoś szlachcica bądź w klasztorze, gdzie bogatych przyjmowano z gościnnością, a biednych z miłosierdzia. Lecz teraz były takie miejsca, gdzie mogłeś za pieniądze zjeść, napić się i przespać, czasem w łożu, częściej na podłodze przed murowanym kominem.

Zastukał do ciężkich drzwi; otworzył oberżysta, a widząc, że przychodzi sam i z pozorów niegroźny, wpuścił go. Umówili się o nocleg po niemiecku.

Potem Blondel siadł przy końcu długiego stołu, wspartego na kozłach. Siedziało tu kilkunastu mężczyzn, samych Austriaków, jedząc i pijąc z wielkim hałasem. Gdy wszedł, przerwali i przyglądali mu się z ciekawością, a potem, zaspokoiwszy swą ciekawość, znów się zajęli jedzeniem i rozmową.

– Tyś trubadur? – spytał jeden z nich, tęgi mężczyzna. Mówił głośno, starannie wymawiając słowa, tak, jak to robią ludzie, rozmawiając z cudzoziemcami.

Blondel instynktownie dotknął swej wioli i powiedział, że tak, jest trubadurem.

– Więc nam zaśpiewaj – rzekł człowiek o szczurzej twarzy, widocznie kupiec, bo na czapce miał kawałek futra, a suknię z tkaniny poźłocistej, połyskującej w miejscach niesplamionych winem i tłuszczem.

– Śpiewam tylko po francusku – odrzekł Blondel, rozrywając palcami kawał baraniny; czuł się zmęczony, a nogi bolały go od marszu; a gdy o tym sobie przypomniał, bolały go również plecy.

– My znamy trochę francuski, to nam wystarczy – rzekła dumnie szczurza twarz.

– Jak skończę jeść... o ile to kiedykolwiek nastąpi – dodał po francusku i żaden z nich tego nie zrozumiał. Pokiwali wolno głowami. Gdy zmęczył się jedzeniem, a od ognia i wina zrobiło mu się ciepło i przyjemnie, wysunął stołek przed komin, ustawił go w bezpiecznej odległości od ognia, bo jego plecy były wrażliwe na gorąco, a potem od niechcienia zaczął przygrywać na wioli, zastanawiając się, co śpiewać; czy zaśpiewać jakąś starą pieśń, czy improwizować... Postanowił, że zaśpiewa coś starego, bo dla improwizacji potrzebował podniecenia, publiczności, która umiałaby go ocenić, obecności rywali. Zaczął z cicha od jeánej ze swych starych ballad o Pani z Blois. Już dawno nie śpiewał w takiej izbie i w ogóle pod dachem. Głos miał swobodny i dźwięczny. Wprawdzie nie posiadał skali Peire Vidala i nie umiał sztuczek śpiewackich Raimbauda z Vacque-rias, lecz jego głos, jak dobrze wiedział, miał dowcipną lekkość i czułość, która wzruszała zarówno kobiety, jak i mężczyzn; potrafił, gdy chciał, pobudzić do łez słuchaczy – nawet austriackich kupców.

Śpiewając o Pani, zastanawiał się, którą to Panią opiewa jego ballada. Gdy zaczynał, zdawało mu się, że to Pani z Blois, lecz teraz nie miał tej pewności; była to

późniejsza ballada, a Panią była prawdopodobnie Adelajda. Kochał ją przez jakiś czas; smukła kobieta o długiej szyi, bardzo blada, z białymi, nierównymi zębami. Jej mąż odjechał do Italii i Blondel był przez jakiś czas jej stałym towarzyszem. Jego ballady mówiły o daremnych westchnieniach, o bezustannym zabieganiu o jej łaski; były to konwencjonalne ballady, których nie należało brać dosłownie. Obyczaj kazał pisać tęsknie o niedosiężnej Pani, której oczy, dalekie i bezlitosne, lśniły lodem, która użyczała co najwyżej kwiatka lub litościwego uśmiechu, przynosząc w ten sposób ulgę straszliwym cierpieniom wymownego kochanka.

Tyle znał Pań, tyle kobiet, i mało było takich, których nie poznał tak dobrze, jak tylko sobie życzył. Lecz ze względu na formę, na rodzaj jego sztuki i na jej ustalone wzory pisał o wiecznych udrękach i wszystkie Panie czuły się pochlebzione, gdyż widziały się takimi, jakimi pragnęły być: piękne, dalekie i nieprzeniknione, bardzo ukochane. Śpiewając uśmiechał się do tych myśli. O ile sobie przypominał, patrząc w przeszłość, kochał jedną tylko kobietę. Na imię jej było Małgorzata i miała dziewiętnaście lat wtedy, gdy Blondel, niewiele od niej starszy, był trubadurem u dworu w Blois. Pewni jego lata chodzili razem nad brzegami Loary, on trzy-, mał ją za rękę, śpiewał, improwizował dla niej, a ona patrzyła na niego dużymi, szarymi oczyma, pogodna i zadowolona, gdyż mieć dziewiętnaście lat i być kochaną, to wszystko, czego może pragnąć kobieta.

Następnego roku wydano ją za szlachcica z Lorraine, a Blondel, choć i tak wiedział, że wyjdzie za mąż i opuści go, że wieśniak taki jak on nie może jej poślubić, to jednak często płakał owego lata i chodził samotny nad rzeką, obojętny na blaski żółtozielonych wzgórz i na śpiew ptaków. Skomponował wszakże wiele ballad; były tak smutne, że wszyscy na dworze ochoczo wylewali łzy, ilekroć je śpiewał.

Poza tym bywało wiele różnych Pań. Tyle że zapomniał je wszystkie, prócz tych kilku, dla których ułożył ballady. Wszystkim im schlebiało, że miały trubadura za kochanka, bowiem trubadurów było najślawniejsi z ludzi i nawet królowie, jak na przykład Ryszard, próbowali układać i śpiewać ballady, starali się być trubadurami. Ballady Ryszarda często bywały doskonałe, dobrze skonstruowane, romantyczne; lecz na nieszczęście Ryszard nie miał głosu; jednakże śpiewał dużo i bardzo go oklaskiwano: Neron, zbierający laury w Atenach.

Gdy Blondel śpiewał teraz o miłości, nie myślał o nikim; jedynie o miłosnych pieśniodach, o cierpieniach i o smutku rozstania. Myślał nawet o królu, ale raczej jak o pewnej idei, a nie o rzeczywistej osobie. Myślał o ogrodach i o rzece Loarze, o Pikardii, o zamku w Blois i o tych dniach, kiedy był młody i zawsze było mu ciepło, nie tak zimno jak teraz w tym życiu ciągłej zimy, jakie prowadził, odkąd zaczęła się wyprawa krzyżowa. Tyle Pań, tyle ogrodów... Spostrzegł, że w jego oczach też zjawily się łzy, gdy cicho śpiewał przesłanie. Był to znak starości.

Austriacy, choć prawie nic nie rozumieli, niemniej jednak płakali z wielką przyjemnością, wzruszeni jego głosem, wspomnieniami, które wszyscy mieli lub uważali, że je mieć powinni; nawet szczurza twarz uwierzyła widać, że była niegdyś urodziwa i zabiegała, choć próżno, o łaski zimnej księżniczki. Prosili o więcej, a Blondel poddał się nastrojowi płonącego ognia na kominku i rymowania i śpiewał o francuskiej wiosnie, i zapomniał o zimie i o obcym, wrogim mieście.

Po chwili zmęczył się i przestał. Choć go prosili, nie chciał już śpiewać i siedział, milczący i smutny, smutniejszy nawet od swych ballad. Podszedł do niego jakiś człowiek i stanawszy za nim, rzekł po normandzku: – Czy nie jesteś trubadurem Ryszarda? Czyś ty nie Blondel?

Podniósł oczy i ujrzał wysokiego, jasnowłosego mężczyznę w sukniach pielgrzyma, okrywających, jak osądził, żelazny pancerz. – Tak – odrzekł ku swemu własnemu zdumieniu, ufając tamtemu. – A wy?

– Jestem angielskim rycerzem, powracającym z Palestyny.

– Siadajcie – powiedział Blondel, wskazując mu miejsce przy sobie na podłodze. Gdy mężczyzna sadowił się na ziemi, szczęknęły blachy. Blondel rozejrzał się po pokoju i zobaczył, że Austriacy zajęli się własnymi sprawami: jedni pili, drudzy przygotowywali się do snu na ławach lub na podłodze... nikt nie zwracał uwagi na dwóch ludzi przy kominku.

→ Słyszeliście nowinę? – spytał Blondel.

– Tylko pogłoski... co się stało?

Anglik zdumiał się, wysłuchawszy Blondela. – Jak się odważyli go tknąć? Dlaczego Leopold go schwytał? Będzie wojna.

Blondel wzruszył ramionami. – Okup, no i stary spór. Poza tym myślę, że cesarz rozkazał.

– Czy byliście z nim, gdy to się stało? Z Ryszardem?

– Tak – i Blondel opowiedział całe wydarzenie. Gdy skończył, angielski rycerz westchnął. – Teraz Jan będzie królem, a wtedy koniec z nami. Ryszard był idealnym królem normandzkim. Nigdy go nie było w Anglii. Za to Jan jej nigdy nie opuści.

– Ryszard jeszcze nie umarł – rzekł Blondel ostro.

– Lepiej dla niego, żeby umarł, jeżeli się prędko nie dostanie z powrotem do Anglii. Słyszałem, że Long- champ został złożony z urzędu i że Jan rządzi. Zawarł przymierze z Filipem. Och, nie tracił czasu pod nieobecność brata.

– Wieści z Anglii muszą być przesadzone, zanim dotrą tak daleko. – Lecz Blondel wystraszył się nieco.

– Może.

– Macie konia? – spytał Blondel.

– Oczywiście.

– ■ W takim razie chciałbym, żebyście zawieźli wiadomość królowej Eleonorze. Uczynicie to?

Rycerz skinął głową. – Ja nie jestem za Janem. Blondel znalazł w swej sakwie kawałek pergaminu i ostro zakończonym kawałkiem zwęglonego drzewa, wyciągniętego z ognia, opisał krótko po łacinie schwywanie Ryszarda i początek swych

poszukiwań. Po skończeniu wziął pierścień Ryszarda, potarł zwęglonym drzewem herb i odcisnął go niby pieczęć pod swoim własnym podpisem. Wręczył pismo rycerzowi, który schował je do swej sakwy.

– Będę przez kilka dni w Normandii. Gdzie odnajdę królową?

– Nie wiem, ale znajdziecie ją. – Usnęli obok siebie przy kominku i Blondel mimo bolących pleców spał dobrze. Rankiem, gdy się obudził, angielskiego rycerza już nie było; żałował, że nie zapytał o jego imię.

Tego dnia włóczył się ulicami Wiednia, wysłuchując plotek po szynkach. Następował na pięty przechodzącym szlachcicom, starając się podsłuchać ich rozmowy. W końcu, nie usłyszawszy nic prócz nieważnych plotek o cenach i poglądach obywateli na bieżące sprawy, udał się do kościoła. Ksiądz, pogodny, życzliwy człowiek, dowiedziawszy się, że Blondel jest Francuzem i niedawno przybył z Palestyny, wdał się z nim w rozmowę. A więc był trubadurem. Dobrych trubadurów bardzo w Austrii lubiano. A zwłaszcza Leopold. Gdzie jest teraz książę? Ano, dziś rano właśnie słyszał, że książę wyruszył do zamku w Tiernstein, kawałek drogi od Wiednia. Były także ciekawe pogłoski, że Lwie Serce jedzie wraz z księciem jako gość, a jak twierdzą niektórzy, jako więzień. Zapewne nie ma w tym prawdy, bo każdy wie, że były jakieś spory w Akrze, ja jeśli tak, to po cóż by Ryszard miał przyjeżdżać do Austrii? A jednak mówiono mu nie dalej jak dziś rano...

Gdyby miał pieniądze, na pewno kupiłby konia, a gdyby miał okazję, na pewno by go ukradł, lecz ponieważ nie miał ani pieniędzy, ani okazji, poszedł piechotą.

Dni były jeszcze zimne, lecz na szczęście niezbyt wietrzne, a jego droga wiodła przeważnie przez lasy, ciemne austriackie bory, które miały swój własny klimat, odmienny od otwartych przestrzeni, gdzie mieszkali ludzie.

W lasach spotykał niewiele ludzi, gdyż wieśniacy obawiali się złych duchów i złodziei, którzy zamieszkiwali owe ciemne głusze, a milczące korytarze wśród starych drzew nawiedzane były jedynie przez smoki i olbrzymy. Złych duchów nie widział nigdy, a jedyni złodzieje, których napotkał, chcieli go zatrzymać u siebie, aby im śpiewał, bo w lesie nie było muzyki.

Droga do Tiernstein, która biegła wśród pól szerokim, pooranym koleinami traktem, w lesie zwęzła się w ścieżkę. Szedł nucąc sobie i myślał, jak by ułożyć balladę, opiewającą bór w zimie. Porównałby swoje zziębnięte serce do zimy; a może to było zbyt oczywiste? – "Czarne drzewa jak palce wśród lodu... w gałęziach zmarzłe ptaki... skostniała w locie grudka lodu... wycie wilków..." — po czym zapomniał o balladzie i zaczął myśleć na serio o wilkach. Była to oczywiście pora na wilki, a on szedł samotny przez las, zamieszkały na pewno wyłącznie przez wilki. Idąc rozglądał się, szukał jakiegoś znaku, śladu... lecz ziemia była zbyt stwardniała, a zresztą w dzień czuł się bezpieczny. W nocy będzie spał w gałęziach drzew.

Tej nocy była pełnia księżyca. Świecił okrągły, dziwnie pozbawiony blasku, wsparty o dwa ostre wierzchołki drzew, jak czaszka widma nadziana na dwie włócznie.

Blondel rozpałił ognisko, ogrzał się. Za nim stało drzewo o rozłożystych gałęziach, które obiecywały stosunkowo wygodne schronienie. A przynajmniej łatwo mu będzie wspiąć się nań, niby po drabinie. Nie wspinał się na drzewa od czasów dzieciństwa w Pikardii, a drzewa jego dzieciństwa były jasne, odmienne od tych posępnych kształtów; może wszystkie lasy austriackie to miasta, odmienione magiczną sztuką, zaklęte przez czarowników, czekające na księcia, na śmierć smoka, na przebudzenie strzeżonej w wieży księżniczki.

Gdy się posilał, usłyszał, tak jak przewidywał, wysokie, przeciągłe wycie wilków, przeszywające leśną ciszę. Dorzucił więcej drow do ognia. Widział już albo może

sobie wyobrażał czerwone ślepia, patrzące na niego z ciemności, rozjarzone jak ogień. Wspiął się na swoje drzewo; dwa konary rosły blisko siebie; Blondel ułożył się na nich, owinał szczelnie płaszczem i wyciągnął do połowy miecz z pochwy. Ogień u stóp drzewa dawał nikłe ciepło. Dygocząc z zimna zamknął oczy i usiłował zasnąć, lecz podrywał się za każdym razem, gdy usłyszał wycie wilka; postanowił, że odtąd będzie spał w dzień, a podróżował nocą. Czuł, że gdy będzie przytomny, potrafi sobie poradzić z wilkami.

Musiał się zdrzemnąć, bo gdy się ocknął, poczuł, że ciało ma sztywne i zdrętwiałe; jak zwierzę zwietrzył niebezpieczeństwo. Trupia czaszka księżycy zsunęła się z włóchni, znikła z oczu; z pewnością stoczyła się po czarnych wzgórzach poza krawędź ziemi. Ognisko niemal wygasło, żarzyło się tylko kilka zwęglonych drzew. Zmarzył bardzo i plecy miał obolałe od ucisku gałęzi. Zmieniał pozycję, gdy nagle zawył wilk tak blisko, że Blondelomal nie stracił równowagi. Wyciągnął miecz i przy tym rzeczywiście stracił równowagę. Spadł z drzewa z mieczem w rękę i wywinąwszy kozła, stanął na nogach. Rozejrzał się dookoła, lecz nic nie zobaczył, nawet świecących oczu. Może wycie dochodziło z większego oddalenia, niż mu się zdawało; w pustym lesie zimą głos niósł daleko.

Potem usłyszał z tyłu jakiś szmer. Odwrócił się i ujrzał stojącego pod drzewem człowieka. Był silnie zbudowany, muskularny, z długą, siwiejącą brodą. Odziany był w opończę z wilczych skór.

- Kim jesteś? – spytał Blondel po niemiecku, niepewnym głosem.
- Ponieważ jesteś tu na cudzym gruncie, muszę ciebie o to zapytać. Kim jesteś? – odrzekł tamten.
- Blondel, francuski trubadur, powracający z Ziemi Świętej. – Powiedział to szybko, szczerze, aby prawdomównością odwrócić niebezpieczeństwo.
- Trubadur? – Mężczyzna patrzył z namysłem na wiołę Blondela.
- A ty? – spytał Blondel.
- Stefan... król wilkołaków.

Przemknęło mu przez myśl, że gdyby zemdlał, to wszystko zniknęłoby jak sen – las, noc, wilkołak...

Stefan uśmiechnął się. – Tak. Jest nas tu wielu w tych lasach. Lecz zamiast żywić się ludzkim mięsem, żyjemy ze złota, odbieranego ludziom, którzy tu zawitają.

To już było lepsze. Ze złodziejami mógł sobie poradzić. – Nie mam złota... – zaczął.

– Ale umiesz śpiewać. Pójdź – rzekł Stefan i Blondel posłusznie podążył za nim. Przeszli tylko kawałek: nora wilkołaków znajdowała się w pobliżu. Była to pieczara pod małym wzgórzem. Ciężkie, żelazem okute, drewniane drzwi stały otworem. Blondel spostrzegł, że nad wejściem zawieszono pędy winnej latorośli, które po zamknięciu drzwi stawały się widoczne na zboczu pagórka. Weszli do pieczary i Blondel znalazł się w dużej komnacie ziemnej z drewnianymi filarami, podtrzymującymi niskie sklepienie; w odległym kącie sali na kamiennym palenisku płonął ogień, otwór w pułapie wyciągał dym z pieczary. Na całą szerokość komnaty rozstawiono stół, a na ławach za stołem siedzieli zbóje- wilkołaki, wszyscy odziani w wilcze skóry, jak ich herszt. Jedząc i mówiąc głośno, spoglądali podejrzliwie na Blondela, lecz nic nie uczynili, gdyż przyszedł ze Stefanem. W końcu sali, na wzniesieniu stało krzesło i stół. Stefan skinął na jednego z chłopców, usługujących przy wielkim stole. – Przynies stółek dla trubadura i jedzenie dla nas obu. – Odwrócił się do Blondela. – Niedługo wszędzie słońce – rzekł – i pora będzie spać. Dzisiejszej nocy polowaliśmy przez wiele godzin.

- Powiodło się?

– O, tak. W naszym lesie łowy są zawsze dobre. – Wskazał na jelenia, który piekł się nad ogniskiem.

– Życie tedy z lasu?

– Iz podróżnych. – Stefan uśmiechnął się i Blondel zauważył z trwogą, że jego zęby były żółte i spiczaste. Czy ludzie rzeczywiście mogli się zmieniać w wilki? Czy to możliwe, żeby nagle w tej pieczarze znalazł się wśród wilków? Wzdrygnął się, a Stefan, Widząc to, wybuchnął śmiechem i rzekł: – Nas interesują tylko bogaci podróżni: opaci, księża, kupcy z towarami i szlachetni panowie, podróżujący z niedostatecznym

pocztem zbrojnych. Rozbój uprawia się na ogół w dzień, gdyż obecnie, z obawy przed wilkami, mało ludzi podróżuje nocą w moim borze.

Chłopak postawił zydę za stołem i Blondel usiadł naprzeciwko Stefana. Drugi chłopiec przyniósł pieczone i wino. Talerze były z ciężkiego srebra, a kubki szczerzane. – To własność jednego z książąt Kościoła – powiedział Stefan, obracając w palcach swój kubek. – Przyjemnie mi, jak sobie czasem pomyślę, że sam Ojciec święty pił może z tego kubka. – I na tę myśl przeżegnał się nabożnie.

Gdy zjedli, Stefan oprowadził Blondela po sali i pokazał mu zaryglowane drzwi do skarbców i do korytarzy, które biegły pod ziemią w lesie. W razie bezpośredniego ataku na pieczarę ludzie-wilkołaki mogli w jednej chwili zniknąć w głębi ziemi. Stefan napomknął, że większość skarbów w każdym razie nie była tutaj ukryta. Mężczyźni, zebrani teraz przy kominiarce, popijali i grali w kości. – No, dobrze, mój trubadurze. Płać za wieczerzę. – Więc Blondel wziął swą wiołę i grał rozbójnikom. Śpiewając zapomniał o wilkołakach i o niebezpieczeństwie, a nawet o uwięzionym królu.

A gdy w końcu, zmęczony, chciał przestać, mężczyźni zakrzyknęli, żeby śpiewał dalej, więc śpiewał, aż ochrypl, a za otwartymi drzwiami las mu zbiegał w oczach porannym światłem. Wreszcie przestał, pozwolono mu przestać; ludzie posnęli na ziemi, poowijani w futra, wielki ogień syczał i trzaskał, senny strażnik kiwał się przy drzwiach, a na stole pozostały ogryzione kości i kałuże rozlanego wina.

– Zostań z nami – rzekł Stefan. W całej sali tylko ich dwóch nie spało.

– Nie mogę – odparł Blondel i opowiedział mu o schwytaniu Ryszarda.

Stefan kiwał głową, nie okazując zdziwienia. – Sły-

I szeliśmy już o tym w lesie. Przejeżdżał tędy Leopold ze swoim dworem, zdążając do Tiernstein. Ktoś mówił, że jedzie z nim Lwie Serce. – Stefan westchnął. – Często myślę, jak by to było pięknie, gdyby książę przejeżdżał tędy z małym orszakiem... Ale on zawsze wozi ze sobą całą armię. – Stefan wstał i podszedł do jednej ze skrzyń stojących za jego krzesłem. Otworzył ją i wyjął srebrny medalion zawieszony na łańcuchu. Podał go Blondelowi. – Weź to – powiedział. – To pentagram, nasz znak. Możesz z nim przebyć bezpiecznie wszystkie lasy w Austrii. Blondel podziękował mu i włożył łańcuch na szyję. – Nigdy byś tu do nas nie trafił – rzekł Stefan – ale gdybyś kiedyś znów przechodził przez mój las i gdyby ję cię zatrzymał któryś z moich ludzi, powiedz mu, żeby cię tu przyprowadził. Muzyka jest nam potrzebna, trubadurze. Brak nam jej tutaj. – Stefan zamyślił się, wyszczerzając żółte zęby, a potem rzekł: – Pójdź, pokażę ci drogę do Tiernstein.

W gałęziach swiergotało kilka zimowych ptaków. Przez chwilę przyglądał im się jelen, potem umknął, j Powietrze było zimne, pachniało mchem i wilgotnym kamieniem, drzewem i dymem z płonących dębów. Znaleźli znów ścieżkę i Blondel rozglądając się wokół stwierdził ze zdumieniem, że nie ma pojęcia, z której strony przyszedł.

– Do widzenia – rzekł Stefan i serdecznie uściskał Blondela. – Ta droga prowadzi do Tiernstein. – Blondel spojrział w tym kierunku i zobaczył ledwie dostrzeżony ślad drogi, ginący w lesie. Potem odwrócił się, aby pożegnać Stefana, lecz tamtego już nie było.

Zamek stał na wzgórzu surowy i nieozdobny. Austriackie zamki niewiele się różniły od normandyjskich, tyle że często bywały bardziej masywne – miały stawić opór nie tylko wojującym armiom chrześcijańskich królów, lecz także barbarzyńcom: wielkim pogańskim hordom azjatyckim, które od czasu do czasu zalewały Europę, grabiąc i mordując.

Kapitan straży powitał Blondela bardziej życzliwie, niż strażę zwykłą witać cudzoziemców. Był to wysmukły, dorodny mężczyzna, miał proste włosy koloru srebra i błękitnofioletkowe oczy.

– Trubadur! Byłbyś się nam przydał w zeszłym tygodniu, ale wejdźże, wejdź. Z Francji? Najlepsi trubadurowie to Francuzi, zawsze to mówię. Za mało ich tu oglądamy w Tiernstein. Wiedeń – oto miejsce na przyjemności! Właśnie stamtąd przybywasz? Przez las? Sam? To wymaga odwagi, wiesz, że to kraj wilkołaków; wilkołaków i złodziei. Miałeś szczęście, żeś żadnego z nich nie spotkał. – Zaprowadził Blondela do wartowni obok bramy, usiadł na ławie.

– Jak długo myślisz tu pozostać? Tak sobie podróżujesz? O tak, ja wiem, jak to jest, kiedy ma się ochotę wędrować po obcych krajach, znaleźć się o setki, tysiące mil od ludzi, których się znało przez całe życie. Ja chciałbym bardzo odwiedzić Italię. Byłeś tam? Powiadają, że na Południu nigdy nie jest zimno, że nigdy nie pada śnieg. To by mi się podobało. Czy mam mówić po francusku? Rozumiesz mnie? To dobrze. Jakie to dziwne, że ludzie mają różne języki, że ich dzielą słowa. – Kapitan straży zamyślił się przez chwilę i twarz jego okryła się smutkiem. Była to twarz nordyckiego boga, jednego z tych bogów pięknych, a dziwnie słabych: bóg, który stracił swą moc, gdy jego lud zwrócił się do Boga chrześcijan i nie składał mu już kwiatów na ołtarzach.

– Zostaniesz tu jakiś czas – mówił niemal prosząco. – Będziesz nam śpiewał, oczywiście. Tak rzadko słuchamy muzyki. Tutaj słyszy się tylko nędzne zawodzenie wiejskich śpiewaków, a od czasu do czasu zajdzie tu jakiś trubadur, przeważnie stary, ze zdartym głosem. Ty nie masz zdartego głosu, to już mogą powiedzieć, no i naturalnie jesteś młody. Przybywasz z Palestyny? Byłem tam przez jakiś czas, ale musiałem wyjechać, nim padła Akra. To prawdziwe życie dla mężczyzny: wojsko i jakaś wielka sprawa, taka czy owaka. Ale ból jest czymś złym. – Przesunął białą, muskularną dłoń po srebrzystych włosach. – Gdyby bitwy nie łączyły się z bólem, to by była doskonałość. Człowiek przegrywa bitwę i zamienia się w dym, bez krwi, bez wypadających wnętrzności... bez wrzasków... – Wstrząsnął się, a Blondel mimo zmęczenia i głodu słuchał i także sobie przypominał, jak wyglądały parapety okienne Akry tego ranka, gdy Ryszard zdobył cytadelę. – Tak, najgorszą rzeczą jest ból. Ale wy, trubadurowie, nigdy o tym nie śpiewacie. Myślę, że nie moglibyście śpiewać

O tym, bo do takich słów, do pieśni o bólu nie ma muzyki. – Drapał się w szyję, zamyślony. Blondel zauważył w wycięciu jego sukni kędzierzawe, twarde, jasne włosy, które jakoś dziwnie nie pasowały do srebrzystych włosów, okrywających mu głowę. – A jednak życie w wojsku jest najprzyjemniejsze dla mężczyzny... Oczywiście z wyjątkiem takiego życia jak twoje. W wojsku człowiek nigdy nie czuje się samotny. Naturalnie twoje życie jest inne, całkiem samotne. Ale jaka swoboda, no i układanie pieśni, i śpiewanie ich – to musi być cudowne. – Kapitan straży spojrział na niego

1 uśmiechnął się, ukazując zęby białe i równe, chyba najbielsze zęby, jakie Blondel widział u dorosłego mężczyzny. – Ale jak mówiłem, powinieneś być przyjąć tydzień temu, kiedyśmy tu mieli naszego księcia Leopolda. On wie, co to dobra muzyka.

– To księżę odjechał?

– Tak, przedwczoraj. Do Frankfurtu, jak sądzę, ma może z powrotem do Wiednia. Jakies się tam teraz ważą wielkie sprawy i podobno ma się wkrótce spotkać z cesarzem. Mam nadzieję, że gotują nową wyprawę krzyżową.

– Powiadają, że król Ryszard jest jego więźniem? – rzekł Blondel, postanawiając przypuścić atak wprost.

Kapitan zmarszczył się. – Gdzie to słyszałeś?

– Och, w Wiedniu. Wszyscy o tym gadają.

– Chyba nic na świecie nie da się utrzymać w tajemnicy – powiedział z irytacją młody kapitan. – Ryszard był gościem księcia. Mimo wszystko jest królem i nie prowadzimy wojny z Anglią. Jakżeby mógł być więźniem?

– A był tu z księciem?

– Tak, był tutaj.

– Co to za człowiek? – spytał Blondel szybko, starając się nadać swym słowom pozór próżnej ciekawości, a równocześnie nie zdradzić się ze zbyt zainterесowaniem.

– Wygląda na siłacza, ma kwadratową twarz i duży nos, dość delikatny, jak na Normana. Był bardzo... – przerwał i patrzył w skupieniu, lekko zezując, jak gdyby chciał uprzytomnić sobie jaśniej jakieś wspomnienie, jakiś obraz, który zapadł mu w pamięć.

– Miałem raz przed nim śpiewać, tuż po upadku Akry – rzekł Blondel z ożywieniem, grając swą rolę. – Miałem przed nim śpiewać, lecz wtedy zaszło to nieporozumienie z królem Filipem, wiecie, a potem oczywiście już nie mogłem. To było tuż przed powrotem Filipa do Francji.

– Mówią, że zupełnie nie umie nad sobą panować. Podobno zabił Konrada de Montferrat. Nie, nie twierdzą, żeby to była wielka szkoda dla świata... Ale my tu sobie rozmawiamy o tym wszystkim, a ty pewnie jesteś zmęczony tą drogą przez las. Ach, móc chodzić wszędzie... chodzić lasami i oglądać italskie miasta. – Wstał. – Pokażą ci, gdzie możesz zjeść i przespać się, a później wieczorem nam zaśpiewasz. Powiem panu na Tiernstein, że tu jesteś. Jak się nazywasz?

– Rajmund z Tuluzy – rzekł Blondel, przygotowany na to pytanie. Rajmund był sławnym śpiewakiem, jego znajomym, który na szczęście nie jeździł do Palestyny i Blondel był pewny, że nikt z Tiernstein go nigdy nie widział. Ale zapewne znali jego pieśni.

– Czyżby ten sławny Rajmund?

Blondel uśmiechnął się skromnie i skinął głową, zastanawiając się, jakie wrażenie wywarłoby na młodym dzieńcu jego własne imię; niestety, chyba się nigdy tego nie dowie. Kapitan był zachwycony i przedstawił mu się jako Otto. – Toż to będzie uroczystość dla Tiernstein – mówił. Spojrzał na zniszczoną suknię Blondela. – Dostarczę ci też jakiejś odzieży – dodał.

Gdy Blondel w błękitno-żółtej szacie, ze srebrnym łańcuchem na szyi (ale z medalionem ukrytym) wchodził do wielkiej sali, rozległ się szmer podniecenia. Odmówił zaprezentowania się panu i pani na Tiernstein przed swoim występem. Już dawno się nauczył cenić efekt teatralnych występów. W czasie wieczerzy siedział w jednym z mniejszych pokoi obok sali.

Otto zaglądał do niego co chwila, opowiadając mu, ile osób zgromadziło się w sali (było ich ze dwieście, przeważnie goście zaproszeni dla asysty księcia, którzy, jak to z gośćmi bywa, pozostali kilka dni dłużej). Przyniósł mu jedzenie i częstował winem, którego Blondel nigdy nie pijał przed występem. Twarz Ottona jaśniała podnieceniem. Wreszcie na rozkaz pana na Tiernstein Blondel pojawił się w wielkiej sali i przeszedł z wolna między rzędami stołów do wzniesienia, gdzie przy osobnym, mniejszym stole siedzieli pan i pani oraz kilku znaczniejszych gości.

Pan na Tiernstein był mężczyzną niezwyklej tuszy. Miał dwa podbródki, półksiężycze cielska, zwisające pod właściwą brodą, twarz purpurowo-białą, a oczy wylupiaste jak u żaby; nawet głos trochę podobny do rechotu żaby, chrapliwy i donośny. Witając Blondela przebierał palcami po złotych łańcuchach zawieszonych na szyi.

– Witaj nam w naszym zamku, Rajmundzie z Tuluzy – zaskrzeczał toporną francuszczyzną. – Z radością posłuchamy twego śpiewu.

Blondel skłonił się głęboko i zwrócił się, jak było w zwyczaju, do pani tego zamku. Była tak chuda, jak gruby był pan. Piersi miała płaskie, o wiele mniejsze od męża, twarz pożółkła, a zasłonę na jej głowie wieńczył złoty diadem, o nader wyszukanym kształcie. Ubrana była w zieloną szatę, przetykaną złotem, które to barwy nadawały jej twarzy odcień zgliwiałego sera. Usta szerokie, z wystającą szczęką, a oczy nienaturalnie bystre i czujne.

Wygłosił do nich krótką przemowę, patrząc przez cały czas wprost na nią, i bliski był śmiechu, gdy spuściła skromnie wzrok na talerz, unikając jego oczu.

Blondel śpiewał, a gdy skończył, rozległy się głośne oklaski. Na ostatek zaimprovizował balladę poświęconą pięknej pani z Tiernstein, która słuchając jego śpiewu oblała się rumieńcem, przy czym jej twarz przybrała kolor pomarańczowy, a ręce jej bezradnie błędziły po własnym ciele, jak gdyby chciały się upewnić o urokach opiewanych przez trubadura. Pan, wielce zadowolony, podał Blondelowi sakiewkę i powiedział, że może pozostać w Tiernstein, jak długo mu się podoba.

■m

Blondel szykował się do spania, gdy zjawił się Otto. – Nigdy nie słyszałem takiego śpiewu – zapewniał entuzjastycznie. – Nawet w Wiedniu. – Blondel grzecznie się uśmiechał, gdy Otto opowiadał dalej, jakie wrażenie zrobił na wszystkich, jak wszystkie kobiety na zamku były w nim zakochane. Jak każdy trubadur i większość ludzi, Blondel lubił pochwały i przyjmował podziw młodego Ottona wdzięcznie i z przyjemnością.

Rozmawiali przez godzinę i Otto nie zważał na ziewanie Blondela. Kiedy Blondel zastanawiał się, czy ma go poprosić, żeby sobie poszedł i pozwolił mu zasnąć, uchylono zasłony u wejścia i młoda kobieta, sądząc ze stroju służebna, szepnęła tajemniczo, bez żadnych wyjaśnień: – Pójdź ze mną.

Blondel spojrzał pytająco na Ottona, który westchnął smutnie, kiwnął głową i rzekł: – Zobaczymy się jutro rano.

Służebna przeprowadziła Blondela przez wielką salę; węgle żarzyły się, rozjaśniając ciemności czerwienią i rzucając cienie. Służba spała na podłodze – nieświadoma publiczności tego tańca cieni.

Zatrzymali się przy końcu długiego krużganka, u drewnianych drzwi, które służebna otworzyła. Przez chwilę Blondel mrużył oczy, oślepiiony jasnością. Potem zobaczył obszerny apartament, wiele świec, dwa okna w głębokich wnękach, podłogę zarzuconą futrami i bogato rzeźbione łoże, a w pośrodku tej komnaty stała pani na Tiernstein w prostej, obcisłej sukni, która ukazywała wszystkie wady jej osobliwej figury.

– Wejdziesz, Rajmundzie – rzekła doskonałą francuszczyzną. – Czułam po tym wieczorze, że byłoby niewłaściwe z mojej strony, gdybym cię nie przyjęła. Wiem, jacy są młodzi mężczyźni... a zwłaszcza trubadurów – zachichotała.

Skłonił się, nie wiedząc, co rzec. – Tyle zaszczytu, i szlachetna pani.

– Pójdź, usiądź przy mnie. – Zaprowadziła go do S ławy, która mogła pomieścić tylko dwoje ludzi i to nie- zbyt wygodnie – chyba, że byli kochankami.

– Teraz opowiedz mi o swoich podróżach, Rajmun- 1 dzie – rzekła, a jedna z jej długich, ruchliwych dłoni ['A muskała nerwowo to jego rękaw, to ramię.

– Tak dużo byłoby do opowiadania – zaczął zaże-fi nowany, a potem, żeby zagmatwać sprawę, dodał: –|| ... i tak mało.

– Och, jakże nienawidzę tej bezlitosnej pani, o któ-'^ rej śpiewałaś dzisiejszego wieczora – wykrzyknęła; współczująco. – Chyba nie miała wcale serca. Ja na 1 jej miejscu byłabym zupełnie inna. – Znów zachicho-'' tała piskliwym, cienkim jak u myszy głosem.

“Zapowiada się bardzo nieprzyjemnie” – pomyślał^ Blondel. Będzie musiał jakoś przebrnąć przez to uwiedzenie albo opuścić Tiernstein jeszcze tej nocy, a nie uśmiechała mu się myśl spędzenia jeszcze jednej nocy w lesie; lecz gdy zerknął na panią i to wydawało się równie nieprzyjemne. Potem przypomniał sobie, po co przybył do Tiernstein i że jeszcze nie zdobył żadnych 1 wiadomości o Ryszardzie: może stanie się jakiś cud i jeszcze ujdzie cało.

– Tak mało kobiet ma serce, szlachetna pani – rzekł cicho, nie patrząc na nią.

– Lecz nie wszystkie z nas są tak zimne, drogi Rajmundzie. Niektóre oddałyby wszystko, nawet – tu przerwała na chwilę – nawet naszą cnotę człowiekowi, który nas pokocha.

– Tak niewiele kobiet posiada tyle dobroci, tyle miłosierdzia, szlachetna pani – odrzekł, myśląc z rozpaczą, czy uda mu się kiedykolwiek zwrócić rozmowę na Ryszarda lub w ogóle na jakikolwiek inny temat. Koś- xcistę kolano tuliło się do jego kolana; bardzo ostrożnie odsunął nogę.

– Ja... ja bardzo żałuję, szlachetna pani – usiłował przejść do innych spraw tak delikatnie, jak tylko się dało – że nie mogłem zaśpiewać przed księciem i królem Ryszardem.

– O... tak, słuchanie twego śpiewu sprawiłoby im przyjemność. Nazywaj mnie Jadwigą, Rajmundzie.

– Co to za człowiek ten Ryszard?

– Och... – ten nowy temat najwidoczniej jej nie interesował. – Impetyk, bardzo romantyczny... Byłam straszliwie zmieszana, bo zalecał się do mnie w obecności mego męża. Pomyśl tylko! Oczywiście czułam się zaszczycona, lecz nigdy bym nie mogła odwzajemnić jego miłości, chociaż jest królem. – Uśmiechnęła się, robiąc cnotliwą minkę. Miała brzydkie zęby.

– Powrócił z księciem do Wiednia, nieprawdaż?

– Tak, odjechali razem do Wiednia. Sądzę, że będzie gościem u księcia przez dłuższy czas. – Teraz już wiedział i mógł odjechać. Rozmawiali jeszcze przez kilka minut; ona rozważała zalety różnych serc kobiecych, on napomykał smutnie o swej długotrwałej wierności pewnej damie z Prowansji. Potem wstał, aby odejść.

– Nie jestem już w stanie opanować się –■ rzekł stłumionym głosem, udając powściąganą z trudem namiętność. Lecz pani wie, że nie mogę pozostać. Nie władam sobą. – Teraz, gdy odchodził, pozwolił sobie, w poczuciu ulgi, na odegranie małej komedii. – Zbyt wiele mam szacunku dla szlachetnego stanu pani, dla jej cnoty i muszę uszanować gościnność szlachetnego pana. Poza tym – przyłożył rękę do

piersi, gdyż przejął się zapalem, oczywistą komedią, jaką odgrywał – przysięgłem sobie, że nie będę kochał żadnej kobiety, póki nie zyskam łask mojej damy z Prowansji. – Urwał, nie śmiejąc spojrzeć na nią, i czekał.

Gdy w końcu podniósł wzrok, zobaczył, że stoi przed nim, a jej żółta twarz przybrała dziwny wyraz. – Jeżeli opuścisz teraz ten pokój – rzekła stanowczym głosem – pójdę natychmiast do mego męża i powiem, że wdarłeś się do moich apartamentów i napadłeś mnie.

Blondel, zdumiony i przerażony, stał przez chwilę bez ruchu, a potem uśmiechnął się i rzekł: – Na pewno zostanę, szlachetna pani.

A ona zachichotała mysim głosikiem i rzekła nieśmiało, przymilnie: – Pomówimy o miłości, trubadurze?

– Koniecznie... Jadwigo – odparł żwawo; i w ciągu tej okropnej nocy zapytywał się wiele razy, jakiemu królowi służył tak wiernie, jak on służył Ryszardowi.

3

Następnego dnia stawiał się przed obliczem pana na Tiernstein i powiedział mu, że musi niestety podjąć drogę powrotną do Francji, przerwaną w tak przyjemny sposób. Dostojny pan rozumiał to i poważnie skinął głową, topiąc swą właściwą brodę w purpurowym cielsku półksiężyców. – Musisz nas znów kiedyś odwiedzić, trubadurze – powiedział.

Blondel zwrócił się do pani na Tiernstein: – Będę zawsze pamiętał pani łaskawość, dobroć i piękność – rzekł ceremonialnie.

Jadwiga podała mu rękę z uśmiechem zadowolenia. Tego ranka była pogodna, spokojna, długie ręce nareszcie się uspokoiły. – Sprawileś nam wielką przyjemność, Rajmundzie z Tuluzy – rzekła oficjalnie, rozciągając w uśmiechu szerokie usta.

Następnie Otto odprowadził go do bramy. – Byłeś u starej Jadwigi, prawda? – Blondel kiwnął głową, zdumiony pełnym gorzkiego tonem, jakim mówił kapi-tan o pani tego zamku. Otto ze złością tupnął nogą, wzbijając kłęby kurzu. § Powinienem być się domyślić, że cię złapie – powiedział. – Gdybym cię ostrzegł, mógłbyś się przespać razem z żołnierzami. Nie mogłaby przysyłać po ciebie wobec tych wszystkich ludzi. Choć, prawdę mówiąc, zdążyła się już do tego czasu przespać z całym garnizorem.

– Z tobą też?

Otto potrząsnął głową. – Nie, jestem siostrzeńcem Tiernsteina i można rzec, jego ulubieńcem, więc jakoś nie śmiała mieć coś ze mną. To ona jest jednym z powodów, dla których podobał mi się Ryszard, gdy tu przebywał. Pierwszego wieczoru po obiedzie siedziało nas kilkoro w apartamencie księcia. Ona flirtowała – bardzo oględnie jak na nią – z królem, gdy nagle Ryszard oznajmił, że jeśli chodzi o kobiety, to jemu podobają się tylko młode, wiejskie dziewczyny. Gdy to mówił, patrzył cały czas na nią, a ona – myślałem, że ucieknie z pokoju. – Otto roześmiał się i wziął Blondela pod ramię. – Naprawdę, spodziewałem się, że będziesz tu mógł przez jakiś czas pozostać. O tylu rzeczach chciałem z tobą porozmawiać – rzekł zadumany. Blondel uśmiechnął się i spojrzał na niego. Bolały go plecy i zastanawiał się, czy Jadwiga spostrzegła jego blizny. Dolegały mu mocno dzisiejszego ranka. Nic o nich nie wspominała. Ale naprawdę trzeba myśleć o czymś innym i słuchać, co mówi Otto.

– Mam przyjaciela, Stefana z Dreisen. To jeden z rycerzy księcia, w moim wieku. Mam nadzieję, że spotkasz go w Wiedniu. Jest na dworze, na pewno go polubisz. Może cię przedstawić księciu, gdybyś chciał śpiewać na jego dworze. – Doszli teraz do bramy. Słońce świeciło złościście, a niebo było lodowatobłękitne bezchmurne. W słońcu zdawało się być ciepło. Blon-

del odetchnął głęboko. Niemal się cieszył na drogę powrotną do Wiednia.

– A więc... do widzenia – rzekł Otto, ujmując dłoń Blondela w obie ręce. – Być może, że się znowu zobaczymy. – Blondel spostrzegł, że Otto jest naprawdę wzruszony.

– Mam nadzieję, Ottonie. – Zdumiewało go, że tyle sympatii wzbudził w nim ten młody człowiek, który nie czuł się szczęśliwy w austriackich borach, z dala od ciepłych krajów, gdzie on sam spędził tyle lat, gdy tamten wciąż do nich tęsknił.

Uścisnęli sobie ręce, Blondel odwrócił się i począł schodzić z zamkowego wzgórza. Obejrzał się tylko raz i zobaczył, że Otto stoi jeszcze w bramie i patrzy za nim.

Dzień za dniem upływał, a Blondel wędrował przez lasy i rozległe równiny, między górami i przez wzgórza. Zapomniał, że musi się śpieszyć. Rytm poruszającego się ciała ograniczał jego myśli do bieżącej chwili i rzadko kiedy zdawał sobie sprawę, że zdąża do jakiegoś wydarzenia, którego nie można przewidzieć – choć dobrze to wiedział i pamięć o tym kryła się gdzieś w głębi duszy. Lecz rozumiał, idąc tak, że to, co się działo w obecnej chwili, było ważne, a to, co się mogło zdarzyć, nie miało wagi, gdyż jeszcze nie istniało; kształt przyszłości pozostawał w jego myślach nieokreślony i daleki. Tego tylko mógł być pewien w przyszłości, że umrze, a przecież nie mógł przewidzieć ani też – nawet przez chwilę – pojąć tego, czym naprawdę będzie śmierć, jaką będzie miała postać i jakie znaczenie. Więc po prostu szedł przez ten kraj spowity zimą, szedł ku miastu, a idąc rozmyślał o przeszłości, urywkami, bez związku; o przeszłości, która w obecnej chwili, będącej jedyną rzeczywistością, istniała tylko jako wspomnienie, jako

mglisty świat jakichś czynów, dokonanych w miej scach, które się gdzieś zapodziały; zamki, krajobrazy, a nawet twarze często kryły się w cieniu, zacierały się; komnacie mogło zbraknąć na przykład sufitu, a twarze przyjaciela z lat dzieciennych – nosa lub oczu. Wymazane z pamięci, wymazane z życia. Lecz co zdołał zapamiętać, to wspominał. I tak, żyjąc terażniejszością, lecz pozwalając jej związać się z bladym światem przypomnianych zdarzeń, nie dawał przystępu myślom o przyszłości, o śmierci: o chwili, gdy serce zatrzepocze się bezsilnie, a ostatni, krótki oddech uwięźnie w krtani. Gdy to się zdarzy, przeszłość, terażniejszość i przyszłość złączą się na chwilę w jedność, w jedną chwilę wszelkiego czasu, a potem przejdą w nicość poza czasem. Lecz teraz był żywy i myślał o swym życiu we Francji, w Anglii, w Palestynie. Tyle podróżował i z taką szybkością – na najszybszych koniach, na chyżych okrętach; a teraz szedł piechotą sam, usiłując odnaleźć przyjaciela, uwięzionego w jakimś nie znanym jeszcze zamku, przyjaciela, o którym wcale nie wiedział, czy nie leży gdzieś martwy pod wilgotną ziemią, przygniatającą błękitne oczy.

Czas przestał go niepokoić, gdy poddał się rytmowi poruszającego się ciała. Był zadowolony, że nie ma z kim rozmawiać, nie ma żadnych konfliktów ze światem; czas nie istniał; istniał ruch. Jadł, spał, rozpałał ogniska. Czasem śpiewał, a czasem mówił do siebie, powołując na nowo do życia pewne sceny, odgrywając je raz jeszcze, bardziej dla siebie korzystnie, i w ten sposób z łatwością zmieniał obraz przeszłości i nadawał beładnym wspomnieniom przyjemne kształty. I z czasem pojął, że przeszłość była tylko tym, czym chciał ją mieć: jego osobistym królestwem, gdzie był panem i królował niepodzielnie. Puścił wodze swej pamięci, aby błądziła, gdzie zechce: Blois i kobieta; Cypr i inna

kobieta. Akra i spory... dni spędzone z Ryszardem. Gdy zechciał, tyle miał rzeczy do wspomnienia. Szedł, śpiewając – istota na chwilę oderwana od czasu, nie związana ze światem. Istniał teraz i to mu wystarczało; poruszał się, jak samotna gwiazda – od ciemności do ciemności.

Pewnego wieczoru dotarł do wioski. Kilka małych chat, kamienna kapliczka zamiast kościoła, dwie krzyżujące się, zamarznęte drogi, to było wszystko – żadnego zamku, żadnej fortecy. Ludzie z tej wioski uprawiali ziemię dla pana, który mieszkał gdzieś dalej.

– Możesz u nas pozostać – rzekł właściciel największej chaty, białowłosy wieśniak, kłaniając się z wielką godnością i wsuwając do swej sakiewki monetę, którą dał mu Blondel.

Tego wieczoru siedział z całą rodziną przy prostym, drewnianym stole; wypytywali go o świat, leżący poza ich wioską; żadne z nich nie widziało nigdy miasta; nikt nie był nawet w pobliskim Wiedniu.

Żona wieśniaka, stara już kobieta, była żeńskim wydaniem swego męża. Mieli dwóch dorosłych synów, muskularnych młodzieńców o jasnych, jedwabistych włosach i brodach; skromni, dobrodusznicy, nieżonaci jeszcze, ale, jak dowiedział się Blondel, wkrótce mieli się żenić. Do stołu podawała im siostrzenica starych, która usiadła potem na zydłu na końcu stołu i słuchała opowieści Blondela. Była to ładna dziewczyna o bardzo jasnych włosach, jaśniejszych nawet od jej kuzynów, prawie tak białych, jak włosy wuja i ciotki. I^osiła je splecione w dwa długie warkoczki; suknię miała błękitną, żadnej zasłony, żadnego ozdobnego paska... Przypominała mu dziewczyny, które znał jako młody chłopak w Pikardii: dziewczyny, proste jak zwierzątka, które dużo się śmiały, kochały, wychodziły za męża, rodziły dzieci i szybko traciły urodę i wesołość. Lecz ta dziewczyna nie była tak całkiem do nich podobna; inaczej się zachowywała: siedziała cicho i rzadko się uśmiechała, a gdy przemówiła, głos jej brzmiał nisko, nie cienko i piskliwie, jak zwykle głosy dziewcząt wiejskich... a jeśli idzie o ścisłość, to również i wielkich pań – pomyślał, przypomniawszy sobie Jadwigę z Tiernstein. Twarz tej dziewczyny, nawet gdy słuchała jego opowieści z Akry, pozostała poważna, pogodna. Rysy miała drobne i regularne, skórę jasną niby perła, w której odbija się blask ognia. Palce krótkie, a dłonie, jak spostrzegł, czerwone od pracy na zimnie.

– Czy naprawdę widzieliście króla Lwie Serce? – spytała nagle przyciszonym głosem. Była to pierwsza jej uwaga tego wieczoru. – Co to za człowiek? Słyszałam... słyszeliśmy, że to najdzielniejszy mąż, jaki żył kiedykolwiek. §j■ Wuj spojrzał na nią surowo; nie uchodziło jej mówić tak wiele, zwłaszcza do obcego. Lecz nie zwróciła na niego uwagi.

– Jest bardzo mężny – odrzekł Blondel, namyślając się, którą z historyjek wybrać do opowiedzenia. – Widziałem raz, jak schwycił dwóch uzbrojonych Saracenów, podniósł ich do góry i rzucił na dwóch innych, którzy strzegli bram; wszyscy spadli z murów. Och, w Akrze walczył jak lew. Jego głos słyhać było z jednego krańca bitwy na drugi. W tej bitwie jechał na czarnym koniu i od razu z wyglądu można było poznać, że to król, a to się nie często zdarza, bo królowie zwykle wyglądają tak samo, jak inni ludzie. Ale owego dnia Ryszard wydawał się ogromny niby wieża i chwilami myślałem, że z ust zamiast słów zaczęły mu buchać płomienie i dym. Pamiętam go teraz, jak jechał wąską ulicą z garścią ludzi zaledwie, bo reszta wojska została daleko w tyle. A kłął, a krzyczał... Stu Saracenów stało przy końcu ulicy, a on wszystkich pozabijał. Krew płynęła ulicami, a jego miecz dymił...

Blondela poniosły własne słowa; gdy mówił, widział nieomal ów upalny, szalony dzień, gdy słońce przemieniało zbroje w roztopiony metal, parzący im skórą; pamiętał odór martwych ciał, pokrytych przez muchy, całe roje much. Lecz gdy się mówi o bohaterach, upał i muchy nic nie znaczą i zresztą pewien był, że nie istniały dla Ryszarda, pochłoniętego walką, zabijaniem: bezlitosny bóg wojny. Wspaniał był tego dnia i każdy, kto go wówczas widział, odczuwał grozę i, jak Blondel, musiał

zapamiętać tę szaleńczą wspaniałość, a zapomnieć o muchach, upale, o krzykach i jękach – zwykłej muzyce, towarzyszącej ludziom takim jak Ryszard. ||

Pozostał u wieśniaków przez kilka dni i znowu nie myślał o tym, że czas nagli. Pomagał w budowaniu chlewu dla świń, choć zazwyczaj nie cierpiał pracy fizycznej; lecz był silny i umiał pracować. Wprawdzie nigdy nie posiadał zręczności w rękach i pod tym względem był jeszcze gorszy od Ryszarda. Uśmiechnął się, gdy wspomniał, jak Ryszard oprawiał rożen w dniu, kiedy go ujęto.

Rozmawiał z Amelią, siostrzenicą starych, lecz uważał, żeby nie okazać jej zbyt dużego zainteresowania, bo spostrzegł, iż ciotka ich obserwuje.

Pewnej nocy w domu sąsiada odbywały się wiejskie obrzędowe tańce, zwyczaj sięgający czasów dawniejszych niż opiewają kroniki historii, a sądząc z dźwięków muzyki – tak niemal stary jak ona. Blondel udał się na tańce z rodziną swego gospodarza. Wypito dużo wina i prawie cała wieś tańczyła, a kilku miejscowych grajków przygrywało hałaśliwie.

Gdy zmęczony się tańcem, usiadł z Amelią na ławie w głębi izby, w ciemnym zakątku, gdzie siedziały młode pary, i podniecony winem objął ją ramieniem. Spostrzegł, że dziewczyna oddycha szybko, lecz twarz jej pozostała pogodna, choć zarumieniła się lekko od tańca. Rozparł się przed nimi spocony młodzian ze swą dziewczyną, skrywając ich przed spojrzeniami pozostałych.

– Wracajmy do domu – szepnął Blondel. Dziewczyna skinęła głową. Wymknęli się tylnym wejściem i niepomni zimna, szli do domu, trzymając się za ręce w jaskrawym, martwym blasku księżyca. Było jeszcze wcześniej i mieli przed sobą wiele godzin. Żadne z nich nie pomyślało, że jej krewnym wyda się dziwne, gdy odkryją ich nieobecność. Wszystko zdawało się proste jak we śnie, wszystko roztopiło się w pożądaniu. Wszystko było pełnią doskonałości, a jednak trochę smutne, jak zawsze bywa w tych sprawach – albo twierdzą tak tylko trubadurówie.

Przez chwilę rozmawiali, jeszcze przytuleni do siebie.

– Wiesz, że będę musiał niedługo odejść – powiedział.

– Tak, wiem o tym. – Była smutna, lecz nic więcej. – Tego właśnie pragnęłam – szepnęła wreszcie tak cicho, że ledwie ją usłyszał. – To się powinno zdarzyć raz, właśnie tak. Teraz mogę wyjść za jednego z chłopców z wioski i mieć dzieci, i być taką, jak wszystkie inne kobiety tutaj, tylko że będę mogła czasem o tym wspominać. – Westchnęła, a potem: – Ale zawsze będę szczęśliwa, kiedy o tym pomyślę.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zabrać jej ze sobą do Francji.

Wiedziała, o czym myśli, gdyż szepnęła: – Ja tu muszę pozostać na zawsze. Będę o wiele szczęśliwsza, jeżeli zostanę tym, czym miałam być, a przecież będę miała co wspominać, wspominać o tym, co było inne w moim życiu. Czy odejdziesz jutro? – Czy chcesz, żebym odszedł?

– Tak, chcę, żebyś odszedł. Ja zostanę z moim wspomnieniem.

–Więc odejdę. – Potem, po długiej chwili w ich ciemność padł promień światła. Odkoczyli od siebie, przerażeni. Blondel szamotał się ze swoją suknią w ciemnej izbie. Światło padało przez małe okienko z zapalanej przed domem pochodni; usłyszał głos wuja. Serce w nim zamarło. Przyciskał do siebie suknię. Zdawało mu się, że dach runie mu na głowę. Wieśniak stał w drzwiach, przez ramię zaglądała jego żona z posępnym uśmiechem.

Amelia załatwiła wszystko. Powiedziała im, że Blondel się z nią ożeni, że się kochają, że zabierze ją ze sobą do Francji, że da wujowi piękną sumę pieniędzy i nie będzie żądał posagu. Zaledwie słyszał jej głos, tak donośnie, niby dzwon, biło mu serce.

Wuj złożył mu życzenia trochę nieufnie i wreszcie pozwolono mu się ubrać i pójść na spoczynek. Nie mógł wymknąć się tej nocy, ponieważ bracia spali przy drzwiach.

Następny ranek był dla niego jednym z najprzykrzejszych w życiu. Bracia składali mu szczerze życzenia i wyrażali radość, że wchodzi do ich rodziny, a stara spoglądała na niego z namysłem i raz się nawet uśmiechnęła. Wuj był serdeczny, lecz obserwował ich czujnie i nie zdawał się przekonany. Potem młodzieńcy wraz z ojcem poszli do swej roboty przy chlewie, pozostawiając Amelię i Blondela w domu ze starą. Amelia pociągnęła go w kąt izby, gdzie przyglądająca im się ciotka nie mogła ich usłyszeć. – Teraz możesz iść – powiedziała. – Biegnij do skrzyżowania: jedna droga wiedzie przez las, a druga z powrotem do miejsca, skąd przyszedłeś; trzecia prowadzi na wzgórze – idź tą drogą. Mówią, że na tych wzgórzach mieszka olbrzym. Może mieszka, a może i nie; w każdym razie mój wuj nigdy by się nie odważył cię tam ścigać. Nikt z naszej wioski nie odwiedza nigdy tych wzgórz.

Trzymał przez chwilę jej rękę, a ona uśmiechnęła się. – Już się stało – rzekła.

Podszedł szybko do drzwi i ruszył biegiem w stronę skrzyżowania, a w uszach brzmiał mu krzyk zdumionej ciotki. Nie śmiał się obejrzeć, póki nie stanął, zdyszany i wyczerpany, na pierwszym wzgórzu olbrzyma. Spojrzał w dół i zobaczył u stóp leżącą wioskę. Amelia stała przed domem, a bliżej wzgórza, na skrzyżowaniu, trzech mężczyzn patrzyli za nim. Przesłał ręką pożegnanie Amelii i nareszcie wolny, szedł na drugą stronę pagórka.

Znów był w drodze, lecz teraz mniej zadowolony niż przedtem. Zbyt wiele dni stracił w wiosce. Szedł szybko, w poczuciu winy, aby nadrobić stracony czas, znów do Wiednia, do króla. Droga przez Wzgórze była najtrudniejszym dojściem do miasta i to sprawiało mu w pewnym sensie radość, jako zadośćuczynienie.

Wzgórze pokrywały małe, nagie drzewa, a ich cienkie gałązki tworzyły brązową sieć, przez którą świeciło jasne, zimowe światło dnia, białe i zimne. Między wzgórzami leżały kamieniste doliny i zamarznęte strumienie – wąskie skrawki lodu, które w następnej porze roku zamieniają się w wezbrane rzeki, pełne kry i wody z deszczów, padających na wzgórzach. Chłodny wiatr dął w zagajnikach, a od jego oddechu zamarzało mu w nozdrzach, a twarz płonęła.

Szedł za szlakiem, mijając pieczary skalne, zamieszkałe na pewno przez wilkołaki i inne, bardziej dla niego przerażające stworzenia. Lecz odchodząc z jednego niebezpieczeństwa, aby zdążyć w drugie, najwięcej myślał o Amelii. Dziwna dziewczyna. Dziwił się, jak taka mądra, niezwykła kobieta mogła się urodzić w tym dzikim kraju, w kraju nieruchawych mężczyzn i chichoczących kobiet.

Oczywiście, wszędzie się wszystko mogło zdarzyć. W zachodnich krajach spotkał kilka kobiet, podobnych do niej, lecz z pewnością niewiele. Gdyby pochodziła z jakiegoś zachodniego dworu, umiałaby czytać, a gdyby nawet nie umiała czytać, to nasłuchałaby się o miłości z plotek i z ballad trubadurów. Ale niewiele było kobiet, nawet tych, które posiadały owe korzyści, tak mądrych jak ona, umiejących się decydować, umiejących kochać. Kiedy kobieta z Zachodu znalazła mężczyznę, który jej się podobał, nie było dla niego ucieczki bez scen, gróźb i awantur. Ano, o ile wiedział, dwie niezwykle kobiety żyły w Austrii: Jadwiga i Amelia. Obie zdecydowane, a jedna z nich przynajmniej zostawiła mu przyjemne wspomnienie. Może kiedyś... i zaczął rozmyślać prawie poważnie

o powrocie do tej wioski i o zabraniu jej do Francji. Nauczyłby ją, jak się zostaje wielką damą. Galatea.

1 poprosiłby Ryszarda, żeby dał mu tytuł, po to, by ona mogła go nosić. Ubierałaby się w piękne szaty, a wszyscy na dworach normandzkich i angielskich zazdrościliby mu tego, że ma mądrą i śliczną żonę. Idąc marzył o tym, jakie byłoby jego życie z

Amelią. Z Blois pojechaliby do Paryża, do Chinon, do Londynu. Ale potem przypomniał sobie, że kobieta nie mogłaby podróżować tak, jak trubadur, nie mogłaby spać pod gołym niebem albo w chatach wieśniaczych. Amelia-wieś- niaczka może by mogła, ale Amelia-hrabina – nie. To by sprawiło zbyt wiele trudności. Tak, ona miała rację. Lepiej zetknąć się z kimś na chwilę, przytulić czyjeś ciało do swojego, stać się na chwilę jedną istotą, częścią tej drugiej, ożywioną tą samą wolą, a potem rozstać się, porzucić tę czarodziejską chwilę dla zwykłego życia, dla pogoni za królem, unosząc tylko przyjemne wspomnienie; rozstać się, nim nuda zniweczy czar uścisku ramion, nim nastąpi przebudzenie, świadomość, że

dotykało się kogoś innego, osobę obcą i nieznaną...

O wiele lepiej iść od kochanki do kochanki, od chwili do chwili, dokonując obrządku spełnienia, a potem z nowym wspomnieniem odejść znów w świeży, zimowy dzień, pamiętając tylko uniesienie, zgodny rytm czyjegoś ciała, które wreszcie stało się wyłącznie wytworem własnej fantazji, którego nie dzieli się z nikim, które się wreszcie posiadało; wspomnienie płomienia, tak stałe, jak niestały jest płomień. Słusznie kazała mu odejść. Będzie miała teraz wspomnienie na całe życie, a on będzie także pamiętał – przez jakiś czas.

Teraz musi myśleć o swej podróży i o przestrojach Amelii. Słyszał o olbrzymach. Znał ludzi, którzy utrzymywali, że widzieli olbrzymów, tak wielkich jak katedra, i zawsze im nie dowierzał. Zawsze wątpił o tym, czego nigdy nie .widział: o olbrzymach, smokach, czarownicach, o żywotach Świętych i o Zmartwychwstaniu Chrystusa. Lecz teraz, gdy raz ujrzał smoka, był gotów, bardziej niż przedtem, wierzyć w rzeczy wyjątkowe.

Na godzinę przed zapadnięciem nocy, gdy niebo okrył szary zmierzch, a wiatr przycichł i uspokoiły się gałęzie, Blondel przechodził przez wąwóz, zarzucony głazami,

1 tu ujrzał stojącego na skale najwyższego człowieka, jakiego kiedykolwiek widział.

– Stać – rzekł olbrzym. Miał cienki głos. Był o połowę wyższy od zwyczajnego człowieka, od Blondela. Głowa zwyczajnego człowieka mogła się schować w jego jednej dłoni. Nosił starą, brudną suknię; brodę miał splątana i wyglądał jak męczennik z czasów pierwszych chrześcijan, tylko jak gdyby powiększony.

– Kim jesteś, ty, co się wdzierasz w cudze ziemie? – spytał olbrzym, schodząc ze swej skały powoli i niezręcznie. Stał przed Blondelem i patrzył na niego z góry. “Ależ to rzeczywiście brudas” – pomyślał Blondel, któremu zazwyczaj takie rzeczy nie przeszka-

dzały. Strach nie dawał mu uciec, przykuł go do miejsca, każąc stać tutaj i myśleć, jaki też to był brudas z tego olbrzyma. – Ja... ja jestem Rajmund – rzekł wreszcie. – Trubadur z Tuluzy.

– Trubadur? – Olbrzym widocznie się zainteresował; przestał marszczyć czoło. – W takim razie musisz ze mną pozostać – rzekł z zadziwiającą łaskawością. – Mieszkam tu niedaleko w pieczarze. Trochę po chłopsku oczywiście, ale jest mi całkiem wygodnie. Tędy, idź za mną. – Prowadził Blondela między skałami. – Ale, ale, czy wolisz, żebyśmy rozmawiali po francusku, czy po łacinie, ponieważ, jak widzę, nie mówisz naszym językiem zbyt swobodnie. Moja francuszczyzna nie jest najlepsza, ale z łaciny jestem szczególnie dumny, mimo że brak mi wprawy.

To już było nader nieoczekiwane. — Stanowczo po łacinie – odrzekł Blondel.

– Doskonale. Jesteśmy na miejscu. – Stał z boku i gestem zapraszał Blondela do wejścia, wiodącego do ukrytej w skałach pieczary. Nieco przestraszony, Blondel wszedł.

Pieczara miała bardzo wysokie sklepienie, stosownie do rozmiarów właściciela, ale poza tym nie było zbyt przestronnie. W jednym końcu leżało palenisko. W drugim stały krzesło i stół, jedno i drugie olbrzymich rozmiarów. Żadnych innych mebli, prócz połamanej skrzyni obok paleniska. Blondel usiadł na gładzie koło paleniska, a olbrzym zapalił pochodnię; potem starannie rozniecił ogień i wreszcie, wykonawszy w ten sposób gospodarskie czynności, przysunął krzesło do gładzi Blondela.

– Zaprosiłbym cię na to krzesło – rzekł grzecznie – ale jego wielkość... – Zrobił delikatny, wymowny ruch ręką.

– Jest mi całkiem wygodnie – powiedział Blondel.

– A więc jesteś trubadurem. Ano, w innych okolicznościach – i znów uczynił ręką delikatny gest – sam bym został trubadurem. Jako chłopiec byłem chórzystą i póki nie ujawnił się mój wzrost, wszyscy byli pewni, że zostanę trubadurem. Ach... życie jest tak pełne niespełnionych nadziei – mówił i wzdychał jak miech. – Ale teraz musisz mi zaśpiewać jakąś pieśń. Jedną z tych miłych ballad, które wy, Francuzi, tak ładnie śpiewacie... o nielitościwej pani.

Blondel zaśpiewał mu jedną balladę i olbrzym wielce się rozczulił. – Bardzo wzruszające – odchrząknął. – Czy pozwolisz, że sobie ją zapiszę? To pewnie twój własny utwór?

– Och, tak. – Ku jego zdumieniu olbrzym podszedł do stołu i wziął pióro i kawałek pergaminu. – Mógłbyś mi teraz podyktować słowa? – poprosił, trzymając pióro w ręku. Blondel wyrecytował balladę.

– Dziwisz się, że umiem pisać? – zapytał olbrzym, siadając znów na swym krześle obok Blondela.

– Właściwie... to jest naprawdę zdumiewające – przyznał Blondel, który sam nauczył się pisać z wielkim trudem. Najlepsi trubadurówie nie umieli czasem czytać i pisać i korzystali z usług skrybów przy zapisywaniu swych ballad.

– Byłem niezwykle uzdolnionym dzieckiem – oznajmił olbrzym z całą swobodą, wyciągając nogi tak, że sięgały niemal ognia. – Urodziłem się w małej wiosce pod Rzymem. Nie różniłem się od innych dzieci, jeśli chodzi o... o rozmiary, ale byłem znacznie bystrzejszy, urodzony szolarz. Gdy miałem lat dziesięć, wpadłem w oko dwóm mnichom z Rzymu i namówili moją rodzinę, z przykrością muszę przyznać, że bez trudu, aby pozwolili im zabrać mnie do klasztoru na naukę. W klasztorze czułem się bardzo szczęśliwy. Śpiewałem w chórze, a pewnego dnia przyszedł kardynał i po wy-

xśluchaniu mnie powiedział, że mam doskonały głos.łl Och, pamiętam ten dzień tak dobrze, jak by to było wczoraj. Lepiej chyba, bo wczorajszy dzień jest tak podobny do tych wszystkich dni, do tych lat, jakie spędziłem tutaj... Lecz opowiem dalej: Nauczono mnie czytać i pisać, kopiować manuskrypty, a nawet w niedojrzałym wieku lat dwunastu otrzymałem pozwolenie iluminowania kilku pergaminów... zaszczyt niebywały, trzeba ci wiedzieć, lecz moje umiejętności na to zasługiwały. – Odchrząknął, przerywając potok wytwornej łaciny. “Niewielu księży mówiło tak płynnie, a żaden chyba nie miał tak pięknego stylu” – pomyślał Blondel, olśniony.

– Przez kilka lat żyłem szczęśliwie w klasztorze. Mnisi byli przekonani, że z czasem zostanę jednym z nich, lecz ja marzyłem o tym, by zostać trubadurem, i w tajemnicy pisałem pieśni i śpiewałem je sobie. Jednakże, tak jak wszystkie dobre rzeczy mają swój koniec, tak i ten okres mego życia, który uważam za okres słoneczny, gwałtownie się skończył, gdy całkiem niespodziewanie zostałem obdarzony moim wzrostem. Dobrzy braciszczowie uważali to za diabelskie sprawki i po licznych naradach nakazali mi opuścić klasztor.

– Możesz sobie wyobrazić, co odczuwał młodzieniec, wrażliwy, a nawet lotny, wychowany przez tych świętych mężów, oderwany od spraw tego świata, pełen ufności, gdy go wypuszczono nagle w świat z niezwykłą postacią. Udałem się do Rzymu, gdzie przez czas jakiś byłem zatrudniony jako trubadur u pewnego szlachetnego pana; jednakże uciekłem stamtąd, gdy się dowiedziałem, że jego goście nie zwracają żadnej uwagi na mój głos i pieśni, a interesują się tylko moim wzrostem; nawet śmieli się ze mnie, gdy śpiewałem. To było zbyt ciężkie do zniesienia. Uciekłem z Rzymu na północ. Nie będę cię nudził opowiadaniem o moich podróżach. Dość powiedzieć, że cierpiałem. Szedłem od miasta do miasta, od zamku do zamku. Czasem zatrzymywałem się na krótko, podziwiany jako osobliwość. Częściej bywało, że przepędzano mnie w pola i obrzucano na ulicach kamieniami. Po latach takiego życia przybyłem do Austrii, znalazłem tę pieczarę i osiadłem tutaj jako straszliwy potwór. Wyobraź to sobie! Lecz przynajmniej zostawiają mnie teraz w spokoju i żyję tu sobie zacisznie – urwał i spoglądał marząco w ogień.

– To nadzwyczajna historia – rzekł współczująco Blondel. – I tragiczna.

– Tak, uważam, że ma w sobie element tragiczny. Jednak staram się czymś zająć. Piszę wiersze po łacinie, na sposób starożytnych. To są, oczywiście, jedyne wielcy poeci, jedyne wzory dla człowieka o wyrobionym smaku. Nie mamy obecnie nikogo, kogo by można porównać ze zmarłymi Rzymianami; nikogo absolutnie... Ciekaw jestem, czy chciałbyś usłyszeć jeden z moich własnych utworów? Sielankę?

– Oczywiście, chciałbym bardzo – powiedział Blondel.

Z uśmiechem szczęścia olbrzym wyjął stos rękopisów ze swego stołu i położył na kolanach. Wziął pierwszy rękopis.

Czytał z górą godzinę i Blondel zastanawiał się, czy wytrzyma to czytanie choćby jedną chwilę dłużej. Wiersze, choć poprawnie skonstruowane, były najgorsze, jakie kiedykolwiek słyszał; pełne chrześcijańskiego sentymentalizmu i młodych pasterzy, wszystkie banały chrześcijańskie i pogańskie, zmieszane razem. Blondel, trochę osłupiały, zeszytniały od siedzenia na niewygodnym gładzie i senny, stracił w końcu całą nadzieję, gdy olbrzym przerwał. Zapanowała żenująca cisza; potem odezwał się autor, z drżeniem oczekujący oceny: – Co o tym myślisz?

– Olśniewające – rzekł Blondel zmęczonym tonem, który można było sobie tłumaczyć jako głos stłumiony podziwem, i tak z pewnością został zrozumiany.

– Och, jak się cieszę – odrzekł olbrzym z promiennym uśmiechem. – Wiesz, że jest to jedyna rzecz niezadowolająca w moim obecnym życiu: brak słuchaczy, brak inteligentnej krytyki. Tak rzadko się zdarza, żeby przechodził tędy jakiś kulturalny człowiek taki jak ty. Jednak sądzę, że samo tworzenie powinno wystarczyć; oto jedyny miernik prawdziwego powołania poety: praca bez publiczności, bez szans zdobycia sławy, taka jak moja, praca z czystego powołania. A jednak ile to musi przynosić zadowolenia pisać dla wielu ludzi... ano, każdy musi się poddać swojej Muzie i swemu Przeznaczeniu. Moim przeznaczeniem jest życie prawdziwego poety. Poświęciłem się wypowiedaniu tego, co muszę mówić, obojętny na brak słuchaczy. Tak, myślę, że jestem całkowicie na to obojętny, gdy pracuję. Staram się tylko zadowolić siebie. – Urwał, upozowany w taki sposób, jak gdyby przeglądał się w zwierciadle.

– Myślę, że masz dużo racji – rzekł poważnie Blondel. – Ale czy nie czujesz się tutaj samotny? – spytał, zmieniając temat, niweczając piękną pozę poety, odkładając na razie jego misję na stronę. – Takie samotne życie rok za rokiem...

– Początkowo rzeczywiście sprawiało mi to przykrość, ale teraz dobrze się czuję w samotności. Piszę i poluję. Poza tym spotyka się wielu pastuszków na tych wzgórzach. Lubię ich.

– Ach, naturalnie – rzekł Blondel. To ostatnie było cokolwiek niepokojące; nigdy dotąd nie przychodziło mu do głowy, że olbrzym jest istotą, posiadającą płeć, a już

olbrzym, zdradzający pociąg do pastuszków, był czymś niepokojącym. Blondel wiedział, że jest zbyt stary, aby go wzięto za chłopca, lecz mimo wszystko... przyglądał

się z niepokojem olbrzymowi. To mogło stać się niebezpieczne. We Francji tylko podstarzali szlachcice czuli sympatię do pastuszków; tyle przynajmniej wiedział z własnego doświadczenia. Lecz olbrzym ciągnął dalej, nieświadomy trwogi swego gościa.

– Ale teraz – mówił – musisz być głodny. Siedź sobie dalej, a ja coś przygotuję. – Zniknął w ciemnych głębinach pieczary, a Blondel mierzył oczyma odległość do drzwi. Jeśli okaże się konieczne, będzie uciekał. Jeżeli się da, wołałby jednak najpierw coś zjeść. Olbrzym zjawił się znowu z kawałem pieczeni na rożnie i z butelką wina. Umieścił rożen na ogniu, a butelkę postawił między nimi na stole.

Gawędzili o różnych trubadurach i o ich zaletach, a Blondel stwierdził, że jego gospodarz jest doskonale zorientowany. – Uważałem zawsze balladę za trudną formę wypowiedzenia się – zauważył olbrzym. – Może z powodu mojego ściśle klasycznego tła i techniki. Ale oczywiście jest to urocza ludowa forma, choć nie dość precyzyjna, żeby mnie zadowolić. Ach, pieczeń się zagrzała. – Ukrajał kawałek dla Blondela i drugi dla siebie; jedli bez talerzy. Blondel był głodny, a pieczeń dobra: poprosił o jeszcze.

– Smakuje ci to? – spytał olbrzym, krając drugi kawałek i uśmiechając się z zadowoleniem dobrego gospodarza i kucharza.

– Tak, bardzo.

– Tak się cieszę. To był dorodny chłopak, miał około szesnastu lat, jak sędzę; najlepszy wiek. Obawiałem się, że będzie zbyt łykowaty, ale jest naprawdę całkiem miękki. Miał doskonały głos, oczywiście nieszkolony, ale znał dużo wiejskich pieśni, których nigdy przedtem nie słyszałem. Zapisałem je i jeżeli chcesz, zaśpiewam ci później... Ale cóż się z tobą dzieje? Zdawało mi się, iż mówiłeś, że ci smakuje? – Blondel dostał mdłości.

– Och, tak mi przykro. Powinienem być cię uprzedzić i dać ci zamiast tego baraniny albo coś innego. Wybacz mi. Zaraz, poczekaj chwileczkę –^L zerwał się szybko, ale Blondel był jeszcze szybszy. Wybiegł z pieczary, klucząc w ciemnościach od skały do skały. Słyszał błagalny głos olbrzymia, odbity echem w wąwozie: – Wróć, proszę cię, wróć!

Lecz Blondel biegł dotąd, aż poczuł się zupełnie bezpieczny, i wtedy, dysząc, z bijącym szaleńczo sercem[^] upadł na twarz i raz jeszcze wymiotował.

Tej nocy siedział w gałęziach drzewa, niezdolny zasnąć, niezdolny zapomnieć tego, co się zdarzyło. Gwiazdy świeciły wśród czerni, nie rzucając cieni i dając niewiele światła. Oczekiwał wschodu słońca.

4

W Wiedniu padał śnieg. Płatki były duże i miękkie i topniały bardzo powoli; jeden leżał mu na rzęsach przez chwilę, nim zamienił się w strużkę wody. Głęboki, miękki śnieg spiętrzał się na ulicach, pokrywając bruk, przysypując śmieci; ulice wyglądały jak z białego marmuru. Śnieg gromadził się na stromych dachach; śnieg skrywał wieże kościołów i pałaców, zacierając kontury, najbliższych nawet budynków. W mieście nie słyszało się żadnego niemal dźwięku, choć ludzie chodzili po ulicach, a konni przesuwali się z dzwonieniem podków, zamierającym w bieli. Ranek zdawał się taki, jak wieczór – bezsłoneczny, cichy i szary, a głosy ludzkie stłumione śnieżną białością.

Blondel zmęczył się i zaczęły go boleć nogi; na szczęście dzień nie był zimny. Mięśnie na udach sterczały mu jak guzy od nadmiernych marszów. Zatrzymał się

chwilę na ulicy dla wypoczynku. Postanowił już, że zgłosi się w pałacu księcia jako trubadur; jeżeli Ryszard tam będzie, odnajdzie go; jeżeli nie, dowie się bardzo szybko, gdzie jest. Na dworze nie było tajemnic. A potem... potem znów puści się w drogę.

Poszedł dalej ulicą i napotkawszy pierwszy szyld gospody, wszedł do środka i zjadł obfity posiłek. Ludzie, którzy siedzieli przy jednym stole z Blondelem, opowiadali sobie plotki z miasta i nowiny dnia. Podobno cesarz właśnie przybył na dwór księcia. Były pogłoski, że Leopold porwał papieża, wziął do niewoli Saladyna, zamordował Filipa Francuskiego, uwięził Ryszarda, króla angielskiego; nikt nie wiedział dokładnie, co się stało, lecz każdy miał swoje zdanie i nie ukrywał go.

Następnie, niczego się nie dowiedziawszy prócz ogólnie znanego faktu, że cesarz przebywa w Wiedniu, Blondel poszedł do sklepu, gdzie sprzedawano suknie, i kupił sobie ciemnozieloną szatę, gdyż, jak wiedział od dawna, kolor ten uwydatniał znakomicie barwę jego oczu. Miał trochę złota i dużo srebrnych monet z pieniędzy otrzymanych w Tiernstein; to mogło mu wystarczyć na życie jeszcze przez jakiś czas, lecz nie starczyłoby na kupno konia. Umył się w misce, którą podał mu mistrz krawiecki; następnie wciągnął suknię przez głowę i przejrzał się w małym lusterku. Był szczuplejszy i bardziej krzepki niż przed wylądowaniem w Zará. Twarz zbrązowiła mu od wiatrów i zimna, a koło oczu zarysowały się nowe zmarszczki, lecz plecy zagoiły się wreszcie i czuł się dobrze. Mistrz krawiecki objaśnił mu drogę do pałacu.

U Jestem trubaduremJjj oznajmił ceremonialnie. – Rajmund z Perpignan. W Wiedniu mogli się znaleźć ludzie, którzy znali Rajmunda z Tuluzy; będzie teraz zmyślnym trubadurem. – Przybyłem właśnie z Palestyny, jestem w drodze do Paryża. Słyszałem w mieście, że księżę przyjmuje cesarza, i pomyślałem, że z przyjemnością zaśpiewałbym przed nimi, jeśli pragnienie to nie jest zbyt wygórowane. Byłoby to dla mnie wielkim zaszczytem. – Strażnik przepuścił go. W małym, wysoko sklepionym pokoju, pełnym przeciągów|| przyjął go chudy mężczyzna w czerni, który został mu przedstawiony jako jeden z szambelanów.

- Rajmund z Perpignan? Twoim królem jest Filip?
- Oczywiście że Filip, Wasza Ekscelencjo.
- Gdzie śpiewałeś uprzednio? Na jakich dworach? . j
- W Marsylii, w Blois, u króla w Paryżu.
- Byłeś z Filipem w Palestynie?
- Tak.
- Dlaczego nie wróciłeś razem z nim?
- Chorowałem przez pewien czas w Askalonie. Podróżuję teraz powoli przez Europę, odwiedzając różne dwory.
- Gdzie śpiewałeś w Austrii?
- Ostatnio w Tiernstein.

Szambelan kiwnął głową. – Pan i pani z Tiernstein przybędą tu za tydzień mniej więcej. – Blondel zdecydował, że przedtem odjedzie. – Teraz zaśpiewaj mi. – I Blondel zaśpiewał krótką balladę, a szambelan skinął głową z zadowoleniem. – Doskonały głos, mości Rajmundzie, i pieśń dobra. Możesz się przyłączyć dziś wieczór do innych trubadurów. Jak sądzę, odbędzie się turniej i księżę, który ma doskonały głos i wielki dar improwizacji, też może zaśpiewa. Naturalnie improwizujesz?

- Oczywiście, ale tylko po francusku.
- Sądzę, że wszyscy będą śpiewać po francusku. Ci inni to przeważnie Francuzi. Teraz, skoro masz śpiewać przed cesarzem, musisz poznać ceremoniał. – I szam-

belan objaśnił go, jak się ma zachować przy prezentacji. Następnie wprowadzono go do pokoju, który miał dzielić z dwoma innymi trubadurami, po czym zostawiono go samego; turniej miał się rozpocząć dopiero późnym wieczorem, po skończonej uczcie w wielkiej sali.

Chodził po pałacu, przez długie korytarze wśród straży i sług, którzy śmieli się, rozmawiali i załatwiali polecenia. W końcu trafił do długiego pokoju, zdobnego w kobierce i obficie rzeźbione ławy. Ozdobny stół ciągnął się wzdłuż okien, osadzonych w głębokich wnękach. Znajdowało się tu ze stu dworzan, wśród których były i damy. Wszyscy gawędzili, niektórzy przechadzali się parami w przyległej galerii, bez wątplenia knując intrygi i załatwiając sprawy państwowe. Oto był dwór austriacki. Kobiety były tęższe od Francuzek i nie tak wysokie jak Saksonki; większość z nich miała jasne włosy, a kilka było rudych; Blondel czuł specjalne upodobanie do rudych kobiet; tak niewiele się ich widywało w tej części Francji, gdzie spędził większą część życia. Głosy Austriaczek były wysokie, a kiedy się śmiały piskliwie, ich śmiech brzmiał podobnie do krzyku tych kolorowych ptaków, które podróżnicy przywozili niekiedy z Afryki. Fryzury miały na ogół wyszukane, przyozdobione klejnotami, a ich kwefy były z jedwabiu bardzo kunsztownie utkanych. W tym zamieszaniu nie zwracano nań uwagi; chodził wśród nich niedostrzeżony, niby widz na przedstawieniu mimowolnych aktorów. Mężczyźni, póki młodzi, mieli figury krzepkie i smukłe, ale ci po trzydziestce prawie wszyscy byli tędzy i mieli czerwone twarze – podobnie jak pan na Tiernstein. Rozmawiali z ożywieniem i zdawało się, że są sobie życzliwi, w przeciwieństwie do dworzan innych krajów. Niektórzy mówili po niemiecku, wielu , po łacinie, a kilku po francusku ze złym akcentem. Co jakiś czas otwierały się jedne z wysokich drzwi w końcu pokoju naprzeciwko krużganka i szambelan wywoływał po imieniu któregoś z dworzan, zaszczyconego audi en- 31 cją u cesarza.

Z zasłyszanych rozmów Blondel dowiedział się, że ce- M sarz ma pozostać w Wiedniu przez kilka tygodni, że po- j1 wstał jakiś spór między nim a księciem i że przyczynąj9 sporu była pewna tajemnica, znana im wszystkim^« uśmiechali się do siebie, mrugali i napomykali, że księżę J znalazł się w trudnej sytuacji.

W końcu, znużony nasłuchiwaniami, a bardziej je- M szcze zmęczony staniami, Blondel przysiadł na ławie. J Nigdy w życiu nie czuł się tak pozbawiony poczucia rze- 1 czywistości i tak osamotniony. Zapragnął nagle znaleźć) się z powrotem we Francji, mieć znów szesnaście lat, 'j mieć matkę i pracować co dzień w polu, w ciepłe słońca. Wspomnił księdza, który go uczył czytać; wspomnił | barona z pobliskiego zamku, który kazał mu śpiewać, - gdy miał dopiero siedemnaście lat, a głowę pełną słów i dźwięków; oczekiwał wtedy jakichś pouczeń i wskazó- i wek, lecz ostatecznie nauczył się sam, gdy śpiewał przed publicznością, która go słuchała i oklaskiwała.

Potem jeździł z jednego dworu na drugi, przejechał przez Francję, przybył do Anglii, raz był w Italii, a w końcu przyszła wyprawa krzyżowa z Ryszardem. Teraz, po wielu latach, zapragnął wrócić, osiąść na jednym miejscu z kimś, kto by był dla niego więcej niż przyjacielem, kto by się nim opiekował; może z Ryszardem, a może z kobietą taką jak Amelia; z kimś dobrym i mądrzejszym od niego. Teraz poczuł się zagubiony, pozbawiony oparcia, zupełnie samotny i przeraził się. Takiego uczucia nie zaznał od lat chłopięcych. Przez chwilę cały świat zdawał mu się groźny, a co gorsze, pełen okrucieństwa. Był częstką nieustannie zachodzących przemian. Postarzeje się, jego ciało osłabnie, a twarz zwiotczeje, stanie się groteskowa. Straci głos i cóż pocznie wtedy? Dokąd się uda, by przeżyć ostatnie lata swego życia, lata szpetoty? Gdyby coś się stało z Ryszardem, byłby zgubiony, pozbawiony opieki; inni przyjaźni mu wielcy panowie nie byli z nim tak życzliwi, nie dawali mu poczucia bezpieczeństwa, żadnej ochrony przed grozą życia. Zrobiło mu się zimno, wstrząsały nim dreszcze, dłonie spocły się. A wokół niego roześmiani,

rozzgadani, otyli panowie i krzepkie niewiasty austriackiego dworu, a każde z nich miało kamienne grody, tłum krewnych i szlacheckich przodków, rozległe ziemie i złoto. Większość z nich dożyje późnego wieku, otoczona honorami i czcią w swych zamkach, a bogactwo ochroni ich od lęku, podczas gdy on jest tylko przejezdnym trubadurem, który nie ma żadnego zamku, gdzie by mógł znaleźć schronienie. Wszystko, co posiada na świecie – to przyjaźń uwięzionego króla. Dla pokrzepienia zaczął myśleć o Ryszardzie. Wspomnił jego szorstki głos, usłyszał .w wyobraźni dźwięk tego głosu, wybijający się ponad paplaninę dworaków. Tam była jego przyszłość, jego cel był jasny: odnaleźć króla i dopomóc do jego oswobodzenia. Powinien zawsze o tym pamiętać, nie wolno mu zapomnieć. A tak łatwo było zapomnieć, gdy się błędziło samotnie wśród obcych, w nieznanym i wrogim mieście. Lecz teraz już będzie pamiętał. Wywołał w myśli obraz Ryszarda: uśmiechnięta twarz i czujne niebieskie oczy; ujrzał go, zanurzonego do pasa w czarnym stawie, w lesie. Słyszał jego okrzyki podczas ataku na Saracenów w Akrze. Gdy myślał o Ryszardzie, widział go zawsze w ruchu, widział krótkie, potężne, muskularne ramię, uderzające mieczem. Teraźniejszość była tylko pustą przestrzenią, którą należało szybko przebyć. I tak marząc o królu zapomniał o swej samotności i uświadomił sobie, co powinien czynić, dostrzegł cel, do którego musiał zdążać.

Blondel siedział przy jednym z mniejszych stołów wraz z innymi trubadurami. Jednego z nich tylko znał ze słyszenia, wysokiego zarozumialca z Orleanu, któryś nie znajdując uznania na dworach Francji śpiewał od, wielu lat w Austrii i w prowincjonalnych miastach.; środkowej Europy. Inni trubadurówie byli to albo bar dzo młodzi ludzie i jeszcze nie znani lub też starsi, po : pięćdziesiątce, których sława przeminęła wiele lat te-:] mu, gdy zmieniły się dwory ich młodości, a ich pierw- sze kochanki i pierwsi protektorowie wymarli lub po-1 starzeli się tak, że nie dbali już o nich, bo nie obchodziły ich już wspomnienia. Blondel odnosił się zawsze grzecznie do starych trubadurów, a oni byli mu wdzięczni.

Na szczęście większość z nich nie znała się między sobą. Wszyscy słyszeli o trubadurze z Orleanu. Ów sie-: dział na pierwszym miejscu i mówił bardzo uroczysto- i nieco lekceważąco o Vidalu, o Blondelu, o Hautefor- cie, o Bornie i Rajmundzie z Vaquerias, to znaczy o wszystkich wybitnych trubadurach. – A co też myślicie – spytał Blondel z nadzwyczajną uprzejmością – o Blondelu? Dlaczego uważacie, że śpiewa źle? |

Trubadur z Orleanu odchrząknął i gładził ciemną brodę pulchną, owłosioną ręką. – Ma dobrą technikę.– odrzekł z wolna. – Naturalnie słyszałem jego śpiew wiele razy. Stwierdziłem, że głos ma trochę słaby i bardzo niewielką skalę. To właściwie mierny trubadur. Gdyby nie Ryszard, (wiecie, król angielski), jestem pewien, że nie byłby tak znany. Doskonały dworak, oczywiście. Być może lepszy dworak niż trubadur, lecz to jest, naturalnie, pewna droga do sukcesów: przyjaźń z królami. Nie trzeba mieć talentu, jeżeli się to potrafi.

– A jak on wygląda, ten Blondel?– dopytywał Blondel z wielką uciechą.

Mężczyzna ruszył ramionami. – W średnim wieku, jak mi się zdaje. Dość ciężko zbudowany i bardzo sztuczny w zachowaniu. Nie wierzę naprawdę, żeby odczuwał to, co śpiewa i komponuje. Niektórzy uważają, że ma wielki urok osobisty, ale muszę przyznać, że ja tego nigdy nie zauważyłem. Jakiś urok musi chyba mieć, bo inaczej Ryszard nie powziąłby do niego takiej sympatii. Ale znowu Ryszard jest bardzo wrażliwy na pochlebstwa (jak wszyscy wiemy), a Blondel w tym celuje.

– Ja uważam |§| ciągnął trubadur z Orleanu zamyślony – że najwięcej zadowolenia daje komponowanie po prostu dla własnej przyjemności, bez wysilania się na to, żeby się przypodobać jakiemuś określonym protektorowi. Obawiam się, że

tu leży błąd wielu najstynniejszych trubadurów: zbyt się starają podobać protektorom i dlatego dzieła ich nie są trwałe. — Przerwał, a młodzi trubadurowie pochylili się ku niemu, by wysłuchać pouczeń. — Ja zawsze komponowałem i śpiewałem tak, aby się podobać słuchaczom i sobie. Nie uciekałem się do chwytów technicznych Blondela ani do modnej, rubasznej dykcji Vidala, aby zwrócić na siebie, uwagę. Nie, ja tworzę wedle wielkich tradycji ludowych; lecz mimo to na swój własny sposób, oczywiście. — Młodzi kiwnęli głowami, tak, jak by się wiele z tego dowiedzieli; starsi trubadurowie byli zbyt zajęci jedzeniem, by tego słuchać. Blondel jednakże był zachwycony i zastanawiał się, czy Orleańczyk rzeczywiście go widział przedtem; prawdopodobnie nie, sądząc z opisu jego wyglądu. Blondel osądził, że trubadur z Orleanu jest typowy w swoim rodzaju i niewątpliwie na dworach niemieckich zdobył powodzenie, którego nie mógłby nigdy uzyskać we Francji. Wypowiedziawszy jeszcze kilka zjadliwych uwag pod adresem swych współczesnych, Orleańczyk napchał usta jedzeniem, a Blondel, również jedząc, rozglądał się po wielkiej sali, oceniając jej wspaniałość i stosunkowo dużą czystość.[^]

Stało tam wiele długich, rzeźbionych stołów, uginających się pod ciężarem potraw i srebrnej oraz złotej zastawy. Służba uwijała się na wszystkie strony. Psy węszyły, szukając kości i ochłapów. Sala dzieliła się na trzy części, które przechodziły jedna w drugą poprzęcznie wysokie, sklepione łuki z kamienia i z drzewa. Wszystkie cztery ściany miały otwarte drzwi, a na wysokości drugiego piętra ciągnął się nad głowami biesiadników otwarty krużganek. Sufit podtrzymywały olbrzymie drewniane belki, a ze ścian zwisały wzorzyste tkaniny i barwne sztandary, niektóre pociemniałe od dymu — łupy z zapomnianych wojen i zwycięstw austriackich. Sale wypełniały barwy, dźwięki i wonie pieczonych mięs. Zgiełk rozmów rozbrzmiewał tak głośno, że trzeba było krzyżeć, by być zrozumianym. W przeciwległym końcu sali Blondel dostrzegł niewielki stół na podwyższeniu, przy którym, jak mu było wiadomo, zajmował miejsce Cesarz Rzymski wraz z księciem. Leopolda poznał, a ten niski, gruby mężczyzna o białej twarzy, z jasnymi włosami i lekko cofniętą brodą, odziany w szkarłat, a u szyi przystrojony w złote łańcuchy — to był cesarz Henryk, przynajmniej tak twierdził jego sąsiad. Blondel siedział za daleko, żeby przyjrzeć się dokładnie cesarskiej twarzy.

Możni panowie w świetnych strojach siedzieli u stóp ław najbliższego podwyższenia, a przy dalszych stołach, aż do stołu Blondela — rycerze, mnisi i giermkowie, najwięcej robiący hałasu. Wszyscy pili bardzo dużo i za chowywali się jak dzieci. Jeden z rycerzy wysypał jedło z misy na głowę drugiemu i wszyscy zaśmiewali się, kiedy drugi rycerz wylał na niego w odwecie konew wina, oblewając obrus purpurowym płynem. Bardzo

to różniło od dworów francuskich — skrytykował w myśli Blondel.

Po tym, jak się Blondelowi zdawało, nie kończącym się obżarstwem wstał szambelan, który zasiadał tuż przy podwyższeniu i uderzył głośno o jeden ze stołów szambelańską laską. Głosy uciszyły się i przeszły w szmer. Szambelan ogłosił, że wśród innych rozrywek odbędzie się również turniej trubadurów. Cesarz i panie z cesarskiej rodziny (grube, choć niestare kobieciny, jak zdążył zauważyć Blondel) będą rozsądzać. Książę Leopold, mówił dalej szambelan, weźmie udział w turnieju. W tym momencie wszyscy zaczęli klaskać, a książę skłonił głowę i uśmiechał się. Blondel znienawidził go.

Wystąpiło jedenastu trubadurów, nie licząc księcia. Gdy ich prezentowano cesarzowi, Blondel przyjrzał mu się z ciekawością. Cesarz był młody, miał dopiero dwadzieścia siedem lat, lecz od nekających go chorób wyglądał starzej. Miał sińce pod oczami, a jedna powieka drgała nerwowo. Z trudem przyszło Blondelowi uwie-

rzyć, że to był, teoretycznie rzecz biorąc, potomek cesarów. Henryk był niski, w przeciwieństwie do swego rudobrodego ojca, który niegdyś przyszedł bosy do papieża. Twarz miał bladą jak wosk i schorowaną, o drobnych rysach. Powieki ciężko opadały mu na oczy; zdawało się niemal, że zasypia. Twarz pozbawiona wyrazu. Wymamrotał do trubadurów kilka słów, których nikt nie dosłyszał, a potem wsparł głowę na rękach, zdumiewająco dużych, silnych, upierścienionych, z brudnymi palcami. Blondel przyjrzał się szybko damom z cesarskiej rodziny: jedna była dość ładna i młoda, miała rudawe włosy. Popatrzył jej prosto w oczy, a ona, jako że już przedtem zwróciła na niego uwagę, spojrzała raz jeszcze, zarumieniła się i odwróciła wzrok. Będzie więc śpiewał dla niej. Uśmiechnął się i wiedział, że zauważyła ten uśmiech, gdyż pośpiesznie wzięła jakąś kostkę z talerza i zaczęła ją delikatnie ogryzać, niby to z wielkim zajęciem. Miał zatem przynajmniej jednego sprzymierzeńca, jeden głos na swoją korzyść. Następnie pouczono ich co do kolejności: Orleańczyk miał śpiewać; pierwszy, Blondel przedostatni, a ostatni księżę Leopold. Oczywiście księżę zwycięży, ale może i jemu się powiedzie, tak, żeby choć dostał jakiś upominek.

Cesarska rodzina odbyła poważną naradę, szepcząc między sobą; zdawało się, że nawet cesarz nabiera zainteresowania, gdyż słuchał uważnie swoich niewiast, polig takując głową od czasu do czasu. Porozumieli się wreszcie: wybrano dwa początkowe wiersze. Cesarz przekazał je szambelanowi, który oznajmił trubadurom 2 i zgromadzonym gościom: – Początkowe wiersze dla improwizacji brzmią: "Serce moje każe mi zacząć, gdy rozum kończy przykazuje". Zaczyna trubadur z Orleanu.

Blondel wolałby jakiś lepszy wstęp; zastanawiał się, czy wybrała to jego dama. Spojrzał na nią, lecz zajęta była wciąż swoją kostką. Cesarz Rzymski znów wsparł głowę na dłoniach i przymknął oczy, jak by rozpamiętując losy cesarstwa i jego upadku. Wszyscy poza tym czekali niecierpliwie, aż Orleańczyk zacznie śpiew. Inni trubadurów denerwowali się, stroili instrumenty, i mówili do siebie, mruzcili półgłosem frazy i rymy, po-3 chrząkiwali i nucili. Leopold siedział wśród nich już przygotowany, uśmiechając się, zupełnie pewny siebie. Blondel był przekonany, że znał owe wiersze już przedtem i że jego ballada była gotowa. No, nie będzie teraz o tym myślał. Musi w każdym razie zaimprovizować coś nadzwyczajnego. Zdecydował się: zastosuje chwyt, którego we Francji rzadko używano, a w Austrii prawie i dopodobnie nigdy. Zaśpiewa duet z własną pieśnią: będzie to niby dialog między nim samym i jego pieśnią, będą ze sobą wiedli rozmowę. Przyjmie ton pełen szacunku, lecz nieco ironiczny. Pewny był, że inni będą poważni i sentymentalni; wiedział, czego się może spodziewać po nich wszystkich – prócz Leopolda.

Orleańczyk rozpoczął. Głos miał donośny, głęboki, lecz brał tony nie zawsze czysto. Zdawał sobie z tego sprawę i starał się maskować fałszywą wzmoczoną gestykulacją i pełniejszym brzmieniem. Śpiewał poważną balladę miłosną i Blondel był przekonany, że śpiewał ją już wiele razy, że teraz tylko zmienia od czasu do czasu jakieś zdanie, żeby dopasować ją do początkowych wierszy. Potem śpiewali inni, jeden po drugim. Kilku młodych ludzi miało dobre głosy, a kilku starych łatwość i zręczność w komponowaniu, lecz Blondel wiedział, że między nimi on jest jedynym prawdziwym trubadurem i że nagroda z prawa jemu się należy.

– Rajmund z Perpignan – ogłosił szambelan, a Blondel wstał i poszedł na wyznaczone do występów miejsce przed podwyższeniem. Skłonił się głęboko cesarzowi, który nie patrzył na niego, tylko przyglądał się rysunkom na saraceńskich tarczach, zawieszonych nie opodal na ścianie. Potem skłonił się paniom, które skinęły głowami; jego przyjaciółka uśmiechnęła się nieśmiało.

Zwrócił się do słuchaczy, uderzył kilka nut na strunach swej wioli, a potem wyśpiewał dźwięcznym głosem początkowe wiersze ballady. Szmer głosów ustał i wszyscy zwrócili nań oczy. Cesarz spojrział na niego po raz pierwszy, zniewolony indywidualnością śpiewaka. Teraz im pokaże. Zaczął zupełnie cicho.

Gdy spojrział na cesarską rodzinę, zobaczył, że wszystkie oczy były w niego utkwione, a jego sojuszniczka lekko rozchyliła usta.

Spojrział na księcia i dostrzegł, że ten marszczy brwi i przebiera palcami po stole.

Potem odśpiewał rozmowę między sobą i własną, pieśnią.

Słuchacze na początku nie pojęli, co się dzieje, a gdy zaczęli pojmować, na twarzach zajaśniały uśmiechy.« Rozległy się oklaski. Szambelan je uciszył i BlondeJ, i triumfujący, odśpiewał przesłanie. .

Gdy skończył, zerwały się burzliwe oklaski. Skłonił | się znów cesarzowi, który mu gratulował po łacinie gj ledwie dosłyszalnym głosem. Jego sojuszniczka rzuciła 1 mu bladą różową jedwabną wstążkę, którą wziął i ucało- wał ku radości zgromadzonych. Potem wrócił na swoje jji miejsce, a w uszach mu brzmiały radosne okrzyki.

Teraz była kolej na Leopolda. Przechodząc ku pod-JH wyższeniu spojrział nieprzyjaźnie na Blondela, uśmiech»- A nał się do Henryka i jego rodziny i skłonił się, gdy || kiwali mu głowami, choć ich oczy biegły jeszcze za 1 Blondelem, który usiadł koło Orleańczyka, skromnie S| oglądając swą wiołę, złożoną na kolanach. Blondel ji zastanawiał się, czy nie wzbudził w którymś z nich po- i dejrzeń; chwaty sławnych trubadurów były po wszech- l nie znane; na szczęście jednak nie zaśpiewał typowb^l blondelowskiej ballady.

Leopold śpiewał dobrze. Głos miał słaby, o niewiel-||l kiej skali, lecz czysty, a ballada, którą śpiewał, choć sm banalna i sentymentalna; odznaczała się gładkością for- | my, opartej na najlepszych wzorach nowoczesnej szko- l ty. Blondel był pewny, że została skomponowana uprzednio, i zastanawiał się, przez kogo.

Gdy Leopold skończył, mocno go oklaskiwano. Jego dworzanie prześcigali się w okrzykach uwielbienia. Cesarska rodzina również klaskała, choć trochę zdawkowo, jak osądził Blondel, który po wielu latach kariery umiał trafnie interpretować reakcje słuchaczy.

Następnie cesarz i jego panie jęli się naradzać z wielką powagą. Kilka razy spojrzeli na Blondela, a on zro-

zumiał, że mógłby jeszcze wygrać turniej wraz z worem złota, który stał na stołku przy podwyższeniu. Wreszcie, po rozstrzygnięciu pewnych widocznych rozbieżności zdań, cesarz podał imię zwycięzcy i szambe- lan ogłosił z promiennym uśmiechem: – Zwycięzcą turnieju został nasz łaskawy książę pan, Leopold!

Nowe oklaski dworzan, Leopold wstał i skłonił się. Był pogodny, uśmiechał się znowu ustami o wargach pełnych, miękkich i czerwonych jak u dziewczyny. Potem, gdy zgiełk się uciszył, rzekł: – Jako nagrodę za doskonałą pieśń oddaję to złoto trubaduwowi, Rajmundowi z Perpignan. – I podchodząc do Blondela, wręczył mu nagrodę. Po tym oklaski jeszcze się wzmogły i Blondel dostrzegł, że wszyscy są zadowoleni. Nie miał pojęcia, że książę jest taki sprytny. Teraz wszyscy zachwycali się jego szlachetnością i hojnością. Cesarz zdjął jeden ze swych licznych łańcuchów i rzucił Blon- delowi, który pochwyił go z ukłonem. Zjawili się kuglarze i trubadurowie cofnęli się w swój koniec sali.

– Dobry występ – powiedział niechętnie Orleań- czyk. – Nigdy nie słyszałem przedtem tego chwytu, ale zrobiliście to dobrze, biorąc pod uwagę możliwości. Musieliście chyba wiele występować na francuskich dworach.

– Tylko w Prowansji – odrzekł; musiał być ostrożny. – I raz w Paryżu.

–■ Znacie te modne sposoby – rzekł tamten, starając się być miłym. Naturalnie, jak sami wiecie, mody zmieniają się tak szybko; zawsze uważałem, że ci, co idą za modą, muszą się z tym pogodzić, że kiedyś sami wyjdą z mody.

– Macie zupełną rację – rzekł Blondel pokornie.

TT- Co do mnie, to nigdy nie ulegałem wpływowi nowych szkół, o których się ciągle słyszy. Ballada jest zasadniczo formą ustaloną, klasyczną i nie widzę potrze-

r

H^ml by, żeby ją zmieniać, dlatego że jakiemuś śpiewakowi ■ zachce się wywołać niezwykajny efekt. Ja uważam, że tym samym przyznaje się, iż nie potrafi się tworzyć wedle form ustalonych, takie jest moje zdanie.

– To prawda.

Mężczyzna spojrział na niego podejrzliwie, nie przygotowany na taką uległość. – Jestem pewny, że zdobylibyście wielką popularność na francuskich dworach. Oni lubią tego rodzaju pomysły. Słyszałem, że Ryszard jest również miłośnikiem nowinek. Dla mnie nieznośna jest sama myśl, że tak piękna forma jak tradycyjna ballada mogłaby się stać niewystarczająca i że ja miałbym ją zmieniać i robić z niej coś innego.

– Robi się to tylko dla efektu.

Zgadzam się, oczywiście. Lecz czy chwilowy efekt wart jest tego, żeby niszczyć swoją uczciwość, rzetelność formy artystycznej?

– Nie widzę w tym wielkiej szkody – powiedział Blondel i naumyślnie przybrał ton cyniczny, aby przekonać tamtego, że jest tylko zręcznym kuglarzem, którego nie należy brać poważnie. Udało mu się.

– No, oczywiście, rozumiem, co ciągnie ludzi do nieuczciwości. To do rzadkości nie należy. j|l I Orleańczyk przestał się odzywać do Blondela..

Lecz młodszy trubadurowie pełni podziwu otoczyli go i jęli wypytywać o kwestie techniczne; wszyscy się dziwili, że nie jest jakimś sławniejszym trubadurem. W końcu, gdy występy się skończyły, dworzanie i rycerze zaczęli się przechadzać po sali, dalej jedząc, pijąc i knując intrygi. Księżę i cesarska rodzina zniknęli.

Blondel chodził od jednej grupy do drugiej, przyjmując gratulacje i przysłuchując się rozmowom. Przyłączał się do różnych grup i czekał, aż ktoś coś powie o Ryszardzie, lecz nikt o nim nie wspominał, a on nie śmiał pytać. Wiedział, że było bardziej niż prawdopodobne, że ktoś z obecnych mógł go słyszeć w Palestynie, że go rozpoznał i niewątpliwie zamelduje o nim księciu. Musi odjechać dzisiejszego wieczoru; lecz na razie trzeba zostać przez jakiś czas i nieznacznie posłuchać.

Nagle przypomniał sobie, że Otto opowiadał mu o swoim przyjacielu z tego dworu, o Stefanie z Dreisen. Spytał kilku osób, czy go znają, i wreszcie jakiś pijany rycerz wskazał mu palcem grubym jak kiełbasa smukłego, ciemnowłosego mężczyznę, stojącego o kilka stóp dalej.

–: Stefan z Dreisen?

– Tak. – Ciemnowłosy młody człowiek odwrócił się i spojrzał na Blondela. Był przystojny, miał urodę na- dąsanego chłopca.

– Powiedziano mi, że bym się z wami zobaczył, gdy będę w Wiedniu. Wasz przyjaciel, Otto z Tiernstein, mówił, że bym was odszukał.

Młody człowiek uśmiechnął się. – Och, widzieliście Ottona. Tak, to mój najlepszy przyjaciel. Jak się czuł, kiedyście go żegnali?

– Myślę, że dobrze. Może był trochę niespokojny.

– Biedny Otto. Nie rozumiem, jak może wytrzymać w Tiernstein. Poznaliście naturalnie panią Jadwigę?

Blondel skrzywił się, a Stefan się roześmiał. – Ja uniknąłem tego losu dzięki temu, że uciekłem z jej apartamentu tak szybko, że nawet gdyby rzeczywiście podniosła krzyk, byłbym już za daleko, by mnie mogła oskarżyć o napaść bez narażenia się na śmieszność. Co wyście zrobili?

Blondel opowiedział mu, a Stefan śmiał się, a po wysłuchaniu wszystkiego zapytał: – Powiedzcie mi teraz: czy Otto przyjeżdża do Wiednia, czy nie? Słyszałem, że pan i pani mają tu przybyć, ale o nim ani słowa.

Blondel odrzekł, że nic nie wie, ponieważ upłynęło już trochę czasu, odkąd był w Tiernstein. Potem Stefan ujął go za ramię i znaleźli ławkę pod krużgankiem, gdzie usiedli i rozmawiali, nie zwracając uwagi na tłum pijanych mężczyzn. Popijali i rozmawiali o wszystkim; o armiach i o trubadurach, o intrygach królów, o olbrzymach i smokach, o Saracenach i o piekle. Blondel czuł się dobrze w towarzystwie Stefana. Młodzieniec miał dużo uroku i dowcipu. Nie czuł respektu dla możniejszych od siebie; Blondel wiedział z doświadczenia, że to dobry znak. Opowiadał bezceremonialnie anegdotki o Leopoldzie, o jego ambicjach, żeby zostać co najmniej królem, o jego obecnym nieporozumieniu z cesarzem. ||

– To poszło o Ryszarda, prawda? – spytał Blondel. Stefan skinął głową. – Przypuszczam, że wy też

o tym wiecie, jak wszyscy w Wiedniu. Myślę tylko, że Anglicy jeszcze nie wiedzą. Przynajmniej nie wiedzą, gdzie jest i co z nim chcą zrobić. Chodzą pogłoski, że Filip wysłał do nas specjalnego wysłannika, a Bóg wie, na jakie się narażamy kłopoty z papieżem.

– Ale o co się kłóć Leopold z cesarzem?

– O Ryszarda oczywiście. Cesarz chce go zabrać sobie i myślę, że go zabierze bez względu na to, co mówi Leopold. Wtedy dopiero zacznie się prawdziwy kłopot. Teraz próbują się ułożyć o okup, o podział okupu. Leopold ma dużo długów, większość odziedziczonych,

1 musi je spłacić, nim się weźmie do budowania królestwa. Henryk znowu jest po prostu chciwy z natury... Chciałbym czasem podsłuchać tę parę: Leopolda uśmiechającego się coraz to częściej i Henryka, ślaniającego się coraz więcej, w miarę jak się przedłuża rozmowa... Ano, cesarz naturalnie dostanie Ryszarda, ale będzie miał trudną przeprawę z Leopoldem.

– Gdzie on jest teraz?

– Och, myślę, że rozmawiają w apartamentach cesarza.

– Nie, miałem na myśli Ryszarda... Gdzie on jest?

– W Lintz, w tamtejszym zamku. Powiadają, że jest dla nich prawdziwym postrachem. Wszyscy przed nim drżą. Ucztuje ze swoimi strażnikami, urządza z nimi zapasy, gra w kości, ogrywa ich z pieniędzy i strasznie dużo je. Powiadają, że wpada we wściekłość i grozi panu tamtejszego zamku, miota na niego przekleństwa i wydaje się, że porozbija mury. Z tego, co opowiadają, widać, że to wspaniały człowiek. Ja myślę, że Leopold zrobił głupstwo, kiedy go schwytał, biorąc pod uwagę, w jakich dobrych stosunkach był z papieżem. Jeśli nie będziemy ostrożni, może nawet wyniknąć wojna. Naturalnie dużo zależy od tego, co nam będzie miał do powiedzenia wysłannik Filipa.

– A więc nie trzymają go w lochu.

– Lwie Serce! Dumę całego świata chrześcijańskiego! Nawet Leopold nie byłby tak głupi. Nie, po prostu jest gościem, który nie może odjechać. Ale, ale, słyszałem, że pisał ballady.

– To mnie nie dziwi – rzekł Blondel. – We Francji śpiewamy niektóre z jego ballad. Są całkiem dobre.

– Jeżeli je pisze sam.- Słyszałem, że pisze je za niego jego trubadur, Blondel.

Blondel przez chwilę zeszywniał.

– Ja to też słyszałem.

– Mieszkam w mieście – rzekł Stefan. – Moglibyście spędzić u mnie noc. Byłoby znacznie wygodniej niż w pałacu, mniejszy hałas.

– Z chęcią – powiedział Blondel, który pragnął opuścić to miejsce, zanim go rozpoznają.

Zaczęli się przeciskać przez natłoczoną salę. Panował tu straszliwy upał, idący od ognia, od pochodni i rozgrzanych ciał; trudno było oddychać. Przeskakiwali przez pijanych, śpiących na podłodze. “Takie rzeczy nie zdarzały się nigdy na wielkich dworach” – po-

myślał Blondel z poczuciem wyższości. – Będę musiał odjechać wcześniej rano – powiedział, uchylając się? przed dwoma mężczyznami, którzy w kłótni sięgali d] mieczy.

– Tak rychło?

5

Wczesnym rankiem następnego dnia opuścił Wiedeń. W ciągu nocy na śniegu utworzyła się, twarda skorupa. Dzień rozpoczął się, olśniewający od zimowego słońca, odbitego na śniegu; czerwone, żółte i fioletowe blaski migotały na bieli. Niebo było błękitne, głębokim, zimowym błękitem i w słońcu było ciepło. Blondel rozluźnił swój płaszcz i poczuł chłód, mimo że przygrzewało słońce. Po ulicach chodzili ludzie, pogodni, jak zwykle w pogodny dzień. Pojazdy turkotały, a grupki żołnierzy na koniach przejeżdżały wygładzonymi przez śnieg ulicami ku granicom Austrii, ku miejscom, gdzie wrzały bunty i nieznane bitwy.

Znów jechał konno, na wierzchowcu, kupionym za cesarskie pieniądze; był zadowolony z sukcesu poprzedniej nocy i z pieniędzy, gdyż złoto to wystarczy mu przynajmniej do czasu, kiedy znajdzie Ryszarda. Nucił radośnie wjeżdżając na trakt, prowadzący do Lintzu.

Za miastem roztaczał się krajobraz biały, lśniący i falisty, wznoszący się od szerokiej rzeki: pola jak białe łaty i kikuty drzew jak czarne, powykręcane palce starca, wydrapujące światło. Cały trakt miał dla siebie i jadąc rozkoszował się ruchem i powietrzem, czując jego orzeźwiająca ostrość. Żadnej chmurki na niebie: całe błękitne, o barwie szafirów lub oczu królewskich, czyste i zdumiewająco jaskrawe, aż pobudzało do łez. Żaden podmuch wiatru nie mącił ciszy, gdy tak jechał wśród bieli. Mijały dni.

Czas zdązał znowu w nieznane i mijały dni, chwile światła i ciemności, i on się posuwał, podobnie jak czas, ku jakiejś tajemnicy, której nie mógłby określić, ku jakiemuś miejscu, istniejącemu poza wszelkim złudzeniem, większym od przemijającej teraźniejszości, wielkim przez śmierć. Nie miał pojęcia, co przyniesie przyszłość; zdawał sobie mglście sprawę z tego, że musi zdążyć do Ryszarda, lecz dalej nie zapuszczał się myślą, a nawet chwilami zdawało mu się niemal, że Ryszard także nie istnieje. Jechał i to było wszystko. Mijał wsie i widział pracujących wieśniaków.

Słyszał, jak mówili do siebie, i wiedział, że każdy z nich ma swoją przeszłość znaną innym, on tylko jeden między nimi był odmienny, bez przeszłości, bez rzeczywistego istnienia w tych wioskach; zawsze nieznan, oglądany z zaciekawieniem, mężczyzna o jasnej cerze, jeszcze młody, który płacił za miejsce do spania i za posiłek. Był obcym.

Dzieci przyglądały mu się najbardziej podejrzliwie i z najwyższym zainteresowaniem; stały w pobliżu, zbite w gromadki, pokazując go sobie z wyraźnym lękiem. Przez długi czas uśmiechał się do nich, lecz stwierdził, że to je przeraża, więc w końcu nauczył się patrzeć na ludzi bez wyrazu, jak gdyby dla niego nie istnieli, jak by

to także były zjawy. A właściwie różnił się od nich tylko tym, że był w ruchu, oni zaś rzadko kiedy wyruszali ze swych wiosek, ponieważ bali się olbrzymów i smoków, wilkołaków, wampirów, a przede wszystkim innych ludzi. Leczą ci, co nie mają przyszłości ani przeszłości, mogą ciągnąć z miejsca na miejsce, nie bojąc się niczego, bo chroni ich teraźniejszość, nie wiąże ich czas, nie przekraczają żadnych granic, poruszają się po świecie tylko w teraźniejszości i tylko niewielu z nich zdaje sobie niejasno sprawę, tak jak Blondel, że muszą odnaleźć króla, wprowadzić takie poszukiwanie jest równie nie racją wystarczającą, by zapomnieć o swojej przeszłości, dostateczną przyczyną, by nie mieć przyszłością która w najlepszym razie może być abstrakcją tylko j i snem.

Podróżny, obcy, samotny, zdążający znikąd do nikąd, i rozmyślający niekiedy o pojmanym królu – to był Blondel, który przemierzał zmrożone zimą, pokrytą smugami śniegu wzgórze Austrii i drżał, jak wszyscy! podróżni, gdy powiał zimny wiatr.

– Tak? Wprost z Palestyny? I ja tam byłem. W Akrze.

“Każdy rycerz z Europy był w Akrze” – myślał Blondel. – Ja też tam byłem – powiedział.

– O, naprawdę? Myślę, że żaden z nas nie zapomni i nigdy owych dni. Będziemy o nich opowiadać naszym wnukom. Wiem, że nigdy nie zapomnę tej nocy przed ostateczną bitwą. Jechałem z księciem Leopoldem przez nasz obóz, a on rozmawiał z ludźmi i powiadał im, że biorą udział w największej, w najważniejszej wojnie w historii świata. Wyobrażacie to sobie?

Blondel odrzekł, że wyobraża sobie. Młody rycerz na- 4 łał jeszcze wina do swego kielicha. Był wysokiego wzrostu, silnie zbudowany, ręce-miał mocne, owłosione, a czarne włosy na głowie i wystające kości policzkowe» ! Wyglądał tak, jak gdyby miał domieszkę wschodniej krwi. Brwi gęste, krzaczaste, zrosnięte w prostą linię nadawały jego twarzy wygląd ponury.

– W czyjej armii byliście w Akrze? – zapytał i pociągnął długi łyk wina. Blondel słyszał, jak wino bulgotało mu w gardle i w żołądku.

– Filipa Augusta. Byłem jednym z jego trubadurów.

– Trubadur? To przyjemnie. Zawsze myślałem sobie, że chciałbym być trubadurem. Mam dość dobry głos, wiecie, ale nie mam takiej pamięci do pieśni i jestem pewien, że nie potrafiłbym żadnej napisać. Próbowałem wymyślić coś dla mojej damy, tej, którą mam poślubić, wiecie, ale niedaleko zajechałem. Mamy się pobrać w przyszłym miesiącu, chyba że jej ojciec inaczej postanowi. Mieszkają tuż obok Lintzu. Jadę tam teraz. On by chciał, żeby córka poślubiła jakiegoś naprawdę możnego pana, ale ona chce wyjść za mnie, a ponieważ żadnego naprawdę możnego pana nie ma na widoku, ja nie jestem najgorszy. – Napiął muskuły swych ramion, zadowolony z siebie. – Ale mówiliśmy o Akrze. Myśmy walczyli przez większą część następnego dnia, a Francuzi, mówiąc bez urazy, niewiele zdziałali.

– A armia Ryszarda?

Młody człowiek zmarszczył się. – On zdziałał niewiele więcej niż Francuzi, tylko robił dużo hałasu, krzyczał i rzucał się. A potem, jak myśmy zdobyli większość fortec, wszedł i zagarnął wszystko, po prostu dlatego, że był królem.

– Zdobył też wasze sztandary, o ile pamiętam.

Rycerz skinął głową. “Nie, nawet te brwi nie mogły mu nadać naprawdę ponurego wyrazu ani nawet inteligentnego wyrazu” – pomyślał Blondel. – Niewiele mogliśmy zrobić, jak ten diabeł objął dowództwo. Miał więcej ludzi niż my, wiecie. Nasz książę nie zadawał sobie trudu, żeby protestować. Było za późno. Wszyscy wiedzą, jaki chciwy jest Ryszard. To mu mogę wybaczyć. Ale te

historie, które ludzie rozpowiadają o jego dzielności! To jest naprawdę nie w porządku. Ma grupę trubadurów, którzy nic nie robią, tylko śpiewają o nim
1 nazywają go Lwie Serce, kiedy naprawdę to on jest taki jak każdy pierwszy lepszy generał. Dobrze pilnuje swojej głowy.

– A ja zawsze słyszałem – mówił Blondel z wolna oglądając uważnie drewniany, porysowany stół, przy którym siedział – że on był rzeczywiście dzielny.

–> Dzielny? Słyszeliście, w jaki sposób zamordował Konrada z Montferrat, prawda? Nie sądzę, żeby w tym było coś dzielnego. Chcecie jeszcze wina?

Blondel wypił jeszcze wina. Zrobiło się późno i tylko ich dwóch w całej gospodzie nie spało. Ogień oblewał czerwienią pociemniałe od dymu ściany, izby. Dwóch podróżnych spało na podłodze przed kominem.

Blondel spotkał młodego rycerza na ulicach Lintzu i ten zaproponował, żeby stanęli w gospodzie zamiast na zamku, w którym, jak słyszał, pełno było gości zajętych widocznie jakąś intrygą, gdyż już wcześniej usiłował się zobaczyć z panem tego zamku i choć znajomy, nie mógł się dostać do wnętrza, obstawionego przez liczne straże.

Następnego ranka Blondel i jego znajomy odkryli, dlaczego ich nie dopuszczano. Zamek był pełen żołnierzy cesarskich, którzy pozostawali tam od tygodnia i pomimo zabiegów księcia Leopolda, pochycili Ryszarda i pewnej nocy (nikt nie wiedział dokładnie, kiedy to się stało) uprowadzili go do cesarskiego zamku w Durenstein.

Blondel dowiedział się tego wszystkiego rano od żołnierzy księcia i od pewnego mnicha, który był w zamku i nawet widział Ryszarda – “olbrzymi mężczyzna o gwałtownym usposobieniu; śmiał się, kiedy ludzie cesarscy przybyli, aby go zabrać z Austrii”.

Blondel poczuł się nagle znużony i po raz pierwszy zniechęcony. Będzie musiał znów jechać wiele mil, przez wiele granic do jeszcze innego zamku, cierpiąc zimno przez wiele dni, a potem najprawdopodobniej przybędzie na miejsce po to tylko, by się dowiedzieć, że króla znów przewieźli gdzie indziej, i będzie musiał podróżować jeszcze dalej i dalej w tej swojej nie kończącej się wędrówce.

Ledwie że słuchał młodego rycerza, kiedy ten rozprawiał z wielkim ożywieniem o tej nowinie. Nie śmiał nawet marzyć o tym, by Ryszard nie znajdował się już w rękach Leopolda; to była tak pomyślna wiadomość, że mógł nie słuchać dalszego ciągu.

W Lintzu Blondel wypytał się dyskretnie, gdzie leżało Diirenstein, a potem, mniej więcej poinformowany co do kierunku, opuścił Lintz wraz z młodym rycerzem.

Przez jakiś czas mówili o różnych rodzajach broni; potem o rasach koni; potem rozmawiali o Akrze, a wyczerpawszy możliwości dyskursowe młodego człowieka omówili na nowo sprawę wyboru broni, aż wreszcie, gdy nic nowego nie przychodziło im do głowy, jechali przez las w milczeniu.

Drzewa były tu wyższe niż pod Wiedniem i wiatr grał wyżej w gałęziach, stukał i wzdychał, drzewa uderzały o drzewa, gałęzie trzaskały, a nad wszystkim płynęło dziwne westchnienie, jakie ulatuje czasem z ust umierających. Lecz mimo to wszystko Blondel uważał, że jednak przyjemnie jest jechać w towarzystwie, słyszeć innego człowieka, inną ludzką istotę, która porusza się i oddycha u naszego boku, uderzać czasem z brzękiem w metalowe strzemię kogoś drugiego. Dzwonne to, naprawdę, że w podróży nie dokucza człowiekowi samotność, a przecież zarazem pragnie się mieć kogoś przy sobie, nawet nudnego młodego rycerza, który zna się na broni, na koniach, na bitwie o Akre i niestety na niczym więcej.

Próbowali mówić o polityce i młody człowiek wyznał, że podziwia Leopolda, szanuje cesarza, czci papieża, uwielbia ojca swej damy, nie dowierza Filipowi Augustowi, gardzi Ryszardem i nienawidzi Saladyna, który jest wcieleniem diabła na ziemi, a jeśli nawet sam nie

jest diabłem, to przynajmniej otrzymał od tegoż księcia': ciemności polecenie, aby mordować młodych rycerzyk z Austrii i w miarę możliwości wykładać ich dusze. Jak się dokonywało to ostatnie, rycerz nie był tego całkiem: świadom, lecz najwidoczniej musiały istnieć na to jakieś sposoby, gdyż w przeciwnym razie po cóż by miał diabeł działać poprzez Saladyna? – Tak, to jest logiczne – zgodził się Blondel.

– Ach, jaka ona jest cudna! – I tu młody rycerz zaczął wreszcie posługiwać się mową artykułowaną. – Oczy ma szare, wicie, koloru tych mieczy, które kupuje się w Palestynie, akurat tego koloru. Włosy ma ciemne, ale nie takie ciemne jak moje i zdaje się, że mają rudawy połysk. Ale najcudniejszy jest jej uśmiech. Ma taki jakiś dołeczek właśnie w brodzie – żeby to gdzie indziej, ale w brodzie! Nie myślicie, że to jest nadzwyczajne? Ja uważam, że tak. To była pierwsza rzecz, jaką w niej zauważyłem. Ma teraz osiemnaście lat. Akurat odpowiedni wiek do małżeństwa. Ja mam dwadzieścia, więc jesteśmy tak jak by w jednym wieku, tylko że ja mam doświadczenie i tak właśnie powinno być. Nigdy mi się nie podobało, jak starzy poślubiają młode dziewczęta.

– Jest też, jak na kobietę, bardzo inteligentna. Inie mówi za dużo, dzięki Bogu! Nie cierpię kobiet, któreś przez cały czas gadają, tak jak te w Wiedniu. Byliście na dworze, co? Naprawdę, one są straszne; prawie takie nieznośne pod tym względem, jak bywają ponoć Francuzki bez urazy mówiąc. Uważam, że kobiety nie powinny dużo gadać, bo zwykle niewiele wiedzą.

W odpowiedzi na to ostatnie Blondel skinął głową i uśmiechnął się; pomyślał, że to samo można zastosować do młodych rycerzy.

Chwilami słuchał chłopca, lecz częściej ostry, młodzieńczy jeszcze, rozprawiający głos stanowił tło dla jego własnych rozmyślań. Od czasu do czasu zwrócił uwagę na jakieś słowo, coś posłyszał, ale rzadko; chłopiec mówił z przyjemnością, to wystarczało. Blondel stwierdził, że on sam odzwyczaił się od mówienia, a poza tym język niemiecki jeszcze mu sprawiał trudności.

Jechali więc obok siebie, od czasu do czasu zaskrzypiała uprzęż, brzękły strzemiona, a rycerz wygłaszał nie kończące się historie o sobie.

Pierwszej nocy, spędzanej wspólnie w lesie, rozpalili ognisko u źródła. Wkrótce po północy zostali napadnięci przez wilkołaki. Blondela obudziły wrzaski młodego rycerza; trzech zbójów w szarych opończach z wilczych skór trzymało leżącego na ziemi młodzieńca, dwóch pozostałych zamierzało zrobić to samo z Blondelem. Zerwał się szybko na nogi i nim zdążyli go schwycić, wyciągnął srebrny pentagram i pokazał im. Mężczyźni stanęli jak wryci i patrzyli na medalion.

– Skąd to macie? – spytał jeden z nich, straszliwy drab z uschniętym uchem.

-TT- Od Stefana z lasów Tiernstein – rzekł szybko Blondel.

r– Znacie go?

–Tak. Jestem trubadurem Śpiewałem mu.

– Stefan lubi muzykę – powiedział jeden z nich, jak by tłumacząc ten fakt.

Drab z uschniętym uchem był zły. – Naturalnie, że musimy uszanować ten znak –| powiedział – ale uważam, że powinniście coś nam dać; na przykład jedną czwartą tego, co macie.

Młody rycerz, leżący na ziemi, zaczął ryczeć, że im da rady, dwóm na jego jednego. Niech go tylko puszcza. On ich nauczy... Jeden ze zbójów kopnął go i rycerz ucichł.

– Oczywiście – zgodził się Blondel. – Ale musicie dać nam glejt na przejście przez wasze lasy. Nie chce-

my, żeby jeszcze któryś z was prosił nas o podarki. Sa- - mi jesteśmy biedni.

– Nie będą wam przeszkadzać — powiedział złodzieja! i wyliczył starannie czwartą część złota rycerza, a potem, równie skrupulatnie, czwartą część Blondelowego. W końcu, po załatwieniu tej delikatnej sprawy, skinął ręką i rzekł: – Dziś już was nikt nie napadnie, | a jutro po południu wyjedziecie z lasów. – Znikli tak szybko, że przez chwilę Blondel zastanawiał się (jak już kiedyś przedtem), czy nie było rzeczywiście na świecie jakich czarodziejskich stworów, które, gdy; chciały, mogły przemieniać się w wilki lub znikać i zamieniać się w powietrze.

– Powinniście byli walczyć z nimi. Nie trzeba było dawać złota bez walki. Ja bym wolał umrzeć, niż dać się tak obrabować tym złodziejom. – Rycerz pocierał miejsce, w które dostał kopniaka.

• – Nie sądzę, żeby można tu było coś innego zrobić – odrzekł Blondel ze złością. – Na was siedzieli, {a ja nie miałem broni. Poza tym uwiążam, że mieliśmy szczęście^ iż tak się to skończyło.

– Chciałbym się spotkać z tym diabłem o jednym: uchu. Ja bym go nauczył... – I przez godzinę młody rycerz opowiadał, co by zrobił, gdyby spotkał kiedykolwiek tego o jednym uchu. Wilki wyły. Po jakimś czasie obaj usnęli.

Blondel został zaproszony do Wenschloss, do zamku damy swego towarzysza. Otrzymał to zaproszenie dopiero, gdy się wyczerpująco wytłumaczył, jak się to stało, że nosi srebrny medalion wilkołaków.

Wenschloss był to mały, ponury zameczek, wzniesiony na gołej skale z ciemnego łupku nad przepaścią, w której wśród wąskich, skalistych ścian huczała po głazach rzeka: wstęga wody poskręcana przez skały.

Baszta obronna była wzniesiona z solidnego muru, lecz większość zabudowań i część murów obronnych była drewniana. U podnóża zamkowej skały leżała wioska; od rzeki aż do skraju lasu ciągnęły się pola uprawne. Na północ, tuż koło-zamku, wybiegał drewniany most, a za nim droga, prowadząca, jfak mu powiedziano, do Durenstein.

Rodzina JWenschloss, jak to się czasem zdarza, miała w wyglądzie coś, co przypominało ich posiadłości. Włosy mieli ciemne jak ich Lasy, szczęki kwadratowe i ciężkie jak bloki skalne nad rzeką; oczy szare, jasne i zimne jak jej wody. Przyjęli go grzecznie i wysłuchali opowieści młodego rycerza o napadzie wilkołaków. Rodzina Wenschloss mówiła mało i nawet przyjaciel Blondela, który miał wkrótce zostać członkiem rodziny, przestał w końcu mówić. Pytali o ogólną sytuację polityczną, lecz poza tym nie interesowali się życiem Wiednia, a nawet i Lintzu.

Gdy skończono wieczerzę w ponurej, pełnej przecią- | gów sali, oświetlonej śmiesznie małą ilością pochodni – zważywszy jak rozległe lasy były ich własnością – zasiedli wszyscy w krzesłach, wielkich niczym krzesła tronowe, koło kominka i nikt nic nie mówił. Ku wielkiemu zdumieniu Blondela nikt go nie prosił o śpiew. Siedzieli, patrzyli w ogień, a czasem na siebie. Udzieliło się to nawet towarzyszowi Blondela, który zamilkł i patrzył przewaźnie na swą przyszłą oblubienicę.

Była to ładna dziewczyna, za pulchna jak na gust Blondela, o takiej figurze, że za parę lat będzie okrągła jak baryłka. Lecz Niemcom się to raczej podobało. Dziwne, jak różne są gusty w różnych krajach. To wszystko w istocie jest sprawą przyzwyczajenia. Miała miły wygląd i widocznie uwielbiała swego rycerza, gdyż wpatrywała się w niego poważnie wielkimi oczyma, jak urzeczona; małe, pulchne rączki trzymała zło-

xzone bezradnie na łonie. Blondel usiłował ich sobie wy-v. obrazić razem.

Jej ojciec był to poważny wojownik-patriarcha; jego włosy i broda wyglądały jak korja wiekowego drzewa, twarz – jak grubo ciosany kłoc. Nie odzywał się prawie wcale.

Siedzieli patrząc na siebie przez godzinę, a wreszcie, gdy ogień wygasł i dym wypełnił salę, wyciskając im łzy z oczu, rodzina Wenschloss bez słowa powstała i wyszła. Słudzy zaprowadzili Blondela i młodego rycerza do ich pokojów.

Tej nocy Blondel spał dobrze, a następnego ranka, gdy niebo wzbierało jeszcze światłem, zażądał od pachotła swego konia i naśDadując obyczaje gospodarzy, odjechał bez słowa.

Przeprawił się przez rzekę i zagłębił się w następny las. Drzewa stały tu poskręcane i sękaty, jak by prze- szły po nich straszliwe wichry.

Minął dzień, potem noc i Blondel znów przyzwyczał j się do samotnej jazdy. Co noc w lesie dał silny wiatr, czarny wiatr, który zakrywał gwiazdy jak ciemna opończa, rozciągnięta między drzewami i niebem. Spędził w tym lesie kilka takich nocy i w każdą noc dał wichry i gasły gwiazdy.

Nie słycać tu było nawoływania wilków, żadnego dźwięku; zastanawiał się, czy był to las zaczarowany, jak ów las smoka.

Były chwile, kiedy wierzył w czary. Nie wierzył w uroki i zamawiania; służyły tylko do straszenia naiwnych. Ale większe czary bardziej zasługiwały na wiarę: przemiany całych miast, usychanie lasów, przekleństwa, ciężące na górach; mówiono mu też o wiedźmach, które umiały wywoływać błyskawice i burze. To wszystko było możliwe. A co do smoków i olbrzymów, to sam je przecież widział. Jego olbrzym nie był naprawdę b'ardzo wysoki, przynajmniej nie tak wysoki, jak zwykle się mówi o olbrzymach, ale bardzo niezwykły. Najbardziej niezwykły był smok; Blondel nigdy nie widział podobnego zwierzęcia, ale nawet ten smok nie przypominał legendarnych potworów, ziejących ogniem, o których słyszał. Wilkołaki sprawiły mu w pewnym sensie największe rozczarowanie. Przez oale życie słyszał w swojej wiosce opowiadania o ludziach, którzy o pełni księżyca zmieniali się w wilki i polowali przez jedną noc razem z wilczą sforą, a następnego dnia zmieniali się znów w ludzi, mieli krew na sukniach i nic nie pamiętali. Może naprawdę żyły gdzieś takie stworzenia jak wilkołaki, choć teraz zdawało się to nieprawdopodobne; były to po prostu bandy złodziei, kryjące się w europejskich lasach, połączone luźno symbolem wilka i wspólnotą rozboju.

A jednak rzeczywiście przemiana taka nie zdawała się niemożliwa. Zbyt wiele słyszał opowieści o prawdziwych wydarzeniach, żeby zachować sceptycyzm. Gdy był jeszcze dzieckiem, koło Artois żył czarodziej, zły człowiek, który oprócz przyrządzania czarodziejskich napojów potrafił zmieniać ludzi w kamienie. Blondel zanadto się bał, żeby go kiedykolwiek odwiedzić.

Wenschloss należał już od kilku dni do przeszłości i zacierał się w jego pamięci, gdy dziwny las skończył się nagle i rozpoczęła się brązowa, posępna równina. Na skraju równiny widział z oddali szarawe wzgórza, a w środku, niby jakaś dziwaczna, a przecież naturalna narośl, zakorzeniona w czarnej ziemi, wznosiła się duża wieś; strome dachy były szare jak kurz, a ulice z daleka zdawały się czarne. Za wsią stał zamek z brudnego kamienia, zniszczonego przez deszcze i burze. Zdawał się bardzo stary i pominąwszy nowoczesne wały obronne, mógłby uchodzić za rzymską fortecę. Chociaż na co

Rzymowi potrzebne były fortece w tym zamarynd miejscu, tego nie wiedział.

Zastanawiał się, z czego żyła wieś, bo gleba wydawała się zbyt uboga do uprawy. |

Ponieważ było już późne popołudnie, postanowił spędzić tu noc, może na zamku.

Zimne, popołudniowe słońce świeciło mu w oczy, gdy jechał przez ulice; wieczór zabarwił niebo fioletem a od lasu, który pozostawił za sobą, słyszał zrywający się wiatr. Zatrzymał się na wiejskim rynku i napił konia u studni. N<a placyku stało kilku ludzi, przyglądając mu się ze zdumiewająco nikłym zainteresowaniem.-; Zauważył, że wszyscy byli bladzi, mieli niezdrowy wygląd. Ale rozumiało, że w takim miejscu nie

można być zdrowym. Potem spostrzegł dziwną rzecz: kościół na skraju rynku stał w ruinie. Jedne drzwi były oderwane, drugie wisiały na jednej zawiasie. Część dachu spadła się i widać było w nawie jego szczątki, beładnie spiętrzone. Myśleć by można, że piorun albo jakaś straszliwa wichura zburzyła tylko kościół, nie naruszając pozostałych części wsi.

– Co tu się stało? – spytał Blondel, zwracając się do jakiegoś starca, który stał najbliżej. Starzec był głuchy i Blondel powtórzył pytanie. Tym razem człowiek widocznie go usłyszał, lecz odwrócił głowę.

– Kto jest panem tego zamku? – spytał Blondel głośno, gniewnie.

– Księżna Waleria – odrzekł starzec i spojrzał na Blondela żółtymi oczami. – Na pewno przypadniesz jej do gustu, mój dzielny panie. – I starzec zaczął się śmiać, a potem przestał nagle, jak by ktoś zatkał mu usta.

Blondel wsiadł na konia i pojechał do zamku. Księżna. Ano, zawsze radził sobie lepiej z kobietami niż z mężczyznami. Ta księżna nie będzie wyjątkiem. Zaprezentował się strażnikowi u bramy, blademu, wynędzniałemu człowiekowi, który zdawał się być zdziwiony jego widokiem, ale o nic nie pytając zaprowadził go do zamku. Służący wskazał mu pokój i oznajmił, że księżna przyjmie go przy obiedzie.

Blondel czuł, że w tym zamku zdecydowanie kryje się coś dziwnego; przede wszystkim za mało było w nim zgiełku. Zazwyczaj zamki rozbrzmiewały od krzyków i szczęków, i od hałasu, jaki robiły dzieci i psy. Lecz ten zamek był milczący. Służba poruszała się po korytarzach bezszelestnie, a dzieci nigdzie nie było. W miarę jak mijaly z wolna popołudniowe godziny, rósł w nim niepokój i lęk.

Zamek nie był duży, lecz przy niewielkiej ilości ludzi i to ludzi, nie czyniących żadnego prawie hałasu, zdawał się ogromny. Korytarze wyglądały jak tunele wykute w granitowej skale. Wielka sala jak nawa katedry i tak samo zimna. Pochodnie płonęły tylko w jednym końcu pokoju, w końcu najbardziej odległym od kominka i tutaj, na podwyższeniu, na krześle, ustawionym za stołem, siedziała jedna tylko biesiadniczka.

Księżna Waleria zdawała się być wysoka; była też smukła, zbyt smukła. Twarz miała białą jak świeżo udojone mleko, a oczy skrywały się w orbitach, otoczonych siwą obwódka. Niemłoda, ale też na oko sądząc niestara; w kącikach ust rysowały się bruzdy, lecz owal twarzy miała młody. Usta ciemnoczerwone, szerokie, o pełnych wargach, całkiem niepodobne do reszty twarzy, szczupłej i delikatnej. Włosy o barwie gładkiej miedzi migotały słabo w świetle. Na głowie nosiła srebrną opaskę, w której świecił jedynie klejnot zwany kocim okiem. Była ubrana w białą szatę, przetykaną złotem. Skinęła mu głową, gdy się skłonił.

– Witaj w moim zamku – przemówiła. Głos był niski i, jak na kobietę, głęboki.

– Dziękuję za uprzejmość księżnej pani. – Opowiedział, kim jest.

Skinęła na niego, by usiadł naprzeciwko. Tak, to było naprawdę dziwne, jeść wieczerzę z jedną tylko osobą w wielkiej zamkowej sali. Służba przyniosła im jedzenie i wino.

W ciemnościach, poza kręgiem światła, siedziało trzech minstrelów; przygrywali jakieś melodie, które przypominały Blondelowi muzykę wschodnią; wysokie, cienkie, bolesne, skarżące się dźwięki.

– Czy krucjata jeszcze trwa? – spytała księżna.

– Ależ nie, w tej chwili nie. Ryszard podpisał trzyletni rozejm z Saladynem. Myślę, że większość krzyżowców powróciła.

– Ryszard? Jaki Ryszard?

– Król Ryszard... angielski – rzekł Blondel; oczywiście księżna żartowała.

– Myślałam, że królem angielskim jest Henryk. ||

– Nie, on już nie żyje.

- Rozumiem. Jesteśmy tu na uboczu, podróżni do nas nie docierają, wiadomości napływają wolno. Wiele lat temu słyszeliśmy o śmierci diuka Wilhelma. Był przyjacielem mego brata, brat mój towarzyszył mu, gdy zdobywał Anglię.
- Ależ... – Blondel urwał. Ta kobieta widocznie była szalona. To tłumaczyło wszystko. Milczący zamek, niechętnych wieśniaków i zrujnowany kościół. Tak, była szalona. Od inwazji Wilhelma na Anglię minęło prawie sto pięćdziesiąt lat. Uśmiechnął się do niej; będzie ją czarował. – To były wielkie dni – powiedział, a potem spytał grzecznie: – Gdzie jest teraz pani brat?
- Nie żyje – westchnęła i spojrzała na swoje białe dłonie o długich palcach, zakończonych paznokciami ostrymi, niby szpony alabastrowego smoka. – Cała moja rodzina wymarła prócz mojego ojca i mnie; ojciec mieszka w innej części Austrii, w takim samym odludnym miejscu. Nasza rodzina nigdy nie lubiła zbytnio dworskiego życia. Żyjemy samotnie. – I zaśmiała się cicho, jak by zaszeleściły zwiędłe liście. – Ale opowiedzcie mi o dworach. Zawsze jestem ciekawa różnych wydarzeń i może kiedyś opuścę ten zamek i znów zacznę podróżować. Od wielu lat nie ruszałam się z tego miejsca. Zdaje mi się, że za czasów ostatniej mojej podróży cesarzem był Fryderyk. Ale nie sądzę, żeby świat się tak bardzo zmienił: kilka wojen, nowi królowie i te śmieszne krucjaty. Nie pochwalam ich, wiecie. Są całkiem bezużyteczne. – To ostatnie zdanie wyrzekła z nagłym przyływem uczucia, jej głos podniósł się po raz pierwszy. – Ale nalejcie sobie jeszcze wina – dodała, wracając do swego zwykłego, bezbarwnego tonu. Nalał ze srebrnej konwi wina, które było czerwone jak granat.
- Czy podoba się wam ta muzyka?
- Tak... dziwna muzyka, wydaje mi się prawie niemożliwa do śpiewania.
- Tak, nie można śpiewać do niej. To azjatycka muzyka. Moi minstrele też pochodzą z Azji. Ale lubię te dźwięki, a wy? Jak zawodzenie wichru. – I gdy to mówiła, Blondel posłyszał odgłosy wichru, który zrywał się koło zamku. Jego poddmuchy wpadły do sali, pochodnie migotały i dymiły.
- Tak, lubię wiatr – spojrzał na nią i zobaczył, że przyglądała mu się z uśmiechem. Chciałby zobaczyć jej oczy, przekonać się, jakiego właściwie są koloru, jaki miały wyraz, lecz skrywały się w głębokim cieniu. – Wasz las, pani – powiedział – jest jakiś niezwykły.
- Naprawdę? Dlaczego?
- Jest... zbyt cichy. Wszystkie drzewa poskręcane, zniekształcone.
- Ale ja lubię ciszę, a wy nie?
- Takiej ciszy nie lubią. Czy to jest zaczarowany las?
- Co to znaczy zaczarowany? Jeśli chcesz zapytać, czy odprawiano w tym lesie czary, to tak. Ale tyle jest sposobów rzucania czarów, ja nie wszystkie są dostrzegalne. Czary mogą coś stwarzać, mogą też oczywiście niszczyć lub przemieniać. Niektóre czary można odprawiać tylko nocą, w przymierzu z diabłem, a inne w południe. Czasem czary działają tylko przez jedną pełnię księżyca, ja czasem tak długo, że kamienie zdążą obrócić się w proch, a lasy zginą. – Patrzyła na niego, a Blondel zastanawiał się, co ma odrzec. Nic nie mógł zrozumieć. Czy teraz nie odprawiała jakichś czarów? Bo jej sposób mówienia przypominał czarodziejskie zaklęcia. A azjatycka muzyka zawodziła cicho do wtóru.
- A wy wierzycie w czary? – spytał.
- W czary pewnego rodzaju, tak. Ale nie we wszystkie. Zaczarować kogoś, zmusić kogoś do posłuszeństwa, uśpić go, to jest oczywiście proste. Wielu to potrafi: słowami, oczami czy światłem odbitym od srebra. Mówiono mi też, że można robić złoto, ale to mnie nigdy nie interesowało, bo jeżeli się ma władzę, to na co komu złoto? Tak samo czarodziejskie napoje – to też jest proste. Każda wiejska kobieta, która zna się na

ziołach, potrafi przyrządzać napoje dla kochanków lub trucicieli. Wiele jest czarów, wiele spraw magicznych, ale ostatecznie jedna tylko rzecz jest naprawdę czymś czarodziejskim.

– A to jest...?

– Tajemnica życia.

– Wiecznego życia? Tej nie posiada nikt. Potrząsnęła głową z uśmiechem. – Jest nas tylko

kilkoro tych, co ją posiadli, takich, którzy już przeżyli swój wiek, którzy żyją potajemnie, nocą. Musimy żyć nocą, bo słońce razi nam oczy i wysusza skórę: księżyc jest chłodniejszy, on tylko pożycza światła, tak jak i my.

Tak, ta kobieta była szalona. Ale nie bądzie się jej sprzeciwiał. – Słyszałem o takich ludziach – powiedział.

– Wszyscy słyszeli. – Położyła dłonie na stole; paznokcie lśniły w świetle pochodni. – Wszyscy nas znają. Dzieci boją się nas w ciemnościach, a psy wyją, gdy przechodzimy. Wiatr jest naszym sojusznikiem, i nawet kochankowie ezują zimno w nocy, gdy przechodzimy pod ich oknami. Widzicie, my rozumiemy czas. Przemijanie godzin nie znaczy dla nas nic: dni i miesiące są do siebie podobne, a lata – jak uderzenia serca.

– Więc nie możecie umrzeć?

– Zwykłym sposobem nigdy. Przynajmniej nie wskutek wyniszczenia i starości. Mógłby nas zabić piorun, pożar lasu, wybuch góry lub powódź. Tylko te żywioły, niezależnie od ludzi, mogą nas dotknąć.

– Musicie być samotni – rzekł Blondel, obserwując palce o długich paznokciach.

– Samotni? Czy wzgórza mogą być samotne? Czy bór jest samotny? Czy samotny jest księżyc? Jesteśmy jak gwiazdy, oddzieleni, oddaleni, przeznaczeni na wieczne trwanie. Co mogą dać nam ludzie?

– Nie wiem – odrzekł Blondel. – Nie wiem, kim jesteście i czego wam potrzeba.

Zaśmiała się. – Ja nie mam potrzeb. Pozostanę tutaj, póki kamienie tego zamku nie obrócą się w proch. Może wtedy dopiero zrobię tak, aby umrzeć.

– A chcielibyście umrzeć?

– Są takie chwile, że chciałabym usnąć, wrócić do ciemności bez myśli, bez pamięci, bez snów, wtulona tylko w miękką ziemię, w chłodną, miękką ziemię. Tak, są chwile, kiedy pragnę tego. Można znużyć się dniami nawet wtedy, gdy czas nie ma rzeczywistego znaczenia,| gdy przemijanie dni nie oznacza nic, żadnej zmiany, po prostu jeszcze jeden okres światła, po którym następuje jeszcze jeden okres ciemności, jeszcze jeden "księżyc, i dobrze znane gwiazdy. Ale dla ludzi poza kręgiem;- czarów stulecia rzeczywiście mijają i bywa zabawne przyglądanie się, jak nowi królowie prowadzą nowe wojny, a potem stają się tylko skrawkiem wspomnienia i przekręcanym faktem historycznym, podczas gdy ich synowie panują po to tylko, by pójść w ślady swych ojców. A poza tym wszystkim, gdy w świecie zachodzą zmiany, ja pozostaję niezmienną.

– Wolicie należeć do kręgu leżącego poza światem?

Kocie oko jaśniało; pokój stawał się coraz ciemniejszy. Coś się tu działo. Azjatycka muzyka zawodziła cieniutko, jak jedna nuta w upiornej pieśni wichru.

– Wszyscy jesteśmy samotni – powiedziała księżna, i głos jej brzmiał również jak z oddali. – Każdy z nas jest sam. Ja po prostu znoszę przez całe stulecia to, co śmiertelni znoszą latami; w dzień siedzę w moim pokoju na wieży. Okna mają zamknięte okiennice, żeby nie wpuszczały światła. Pali się tylko jedna pochodnia. Siedzę w swoim pokoju i wspominam lata, stulecia, które przeżyłam. Tyle mam do wspominania. Potem nocą idę do wsi i szukam. Lub czasem chodzę do lasu rzucać czary. O, noce w lesie są piękne! Gałęzie skręcają się, a wiatr krzyczy jak wielki ptak

wśród drzew. Księżyc nie może świecić w tym lesie i gwiazdy nie świecą: to czary, wiecie. Tak, często chodzę nocami po lesie.

Kocie oko świeciło coraz jaśniej; co do tego nie miał wątpliwości. Muzyka ucichła. Jej głos dochodził do Blondela jak we śnie. Usiłował się podnieść, odwrócić oczy, uniknąć ostrego blasku klejnotu, lecz nie mógł poruszyć głową. Musi się w niego wpatrywać aż do końca, do końca życia. Aż świat stanie się tylko jednym, ogarniającym go zewsząd, błyszczącym okiem.

Wreszcie poruszył głową. Wymagało to wiele wysiłku, lecz w końcu udało mu się. Pod powiekami wirowało światło, małe, lśniąco kocie oczy, setki oczu, wszystkie błyszczące, wpatrzone w niego.

Potem otworzył oczy. Był w dużym pokoju. Na ścianie wisiały tkaniny. Rzeźbione belki podtrzymywały sufit nad jego głową. Po obu stronach wielkiego krzesła paliły się dwie pochodnie i tu siedziała księżna, uśmiechnięta, ja oczy jej były blade jak lód. Nie miała już opaski z klejnotem.

Spróbował się poruszyć, lecz poczuł, że ręce ma skrępowane z tyłu i przywiązane do niskiego łoża, na którym leżał. Czuł się słaby i wyczerpany.

– Czy dobrze spałeś? – spytała.

– Czy ja spałem? – Własny głos wydął mu się dziwnie słaby.

– Tak, spałeś przez całą noc, a teraz jest dzień i zbliża się znowu noc.

– Chciałbym wstać.

– O, jeszcze nie, jeszcze nie. Musisz wypocząć trochę dłużej. Musisz być jeszcze zmęczony.

– Och... – Tego już było za dużo. Zamknął oczy; przynajmniej nie będzie musiał patrzeć na tę obłąkaną kobietę. Dziwił się, dlaczego jest taki zmęczony. Oczywiście oszołomiono go jakimś narkotykiem. Bezmyślnie zaczął próbować sznury, krępujące mu ręce. Nie były mocno zaciśnięte. Ostrożnie je rozluźniał. Póki go nie przeniosą z tego łoża, ma szansę uwolnienia się. Otworzył znów oczy i rozejrzał się po pokoju; ubranie jego leżało złożone w kącie wraz z wiołą. Potem, znużony, zamknął oczy i dalej próbował obluźniać więzy.

– Jesteś zmęczony, prawda? – powiedziała księżna.

– Tak. – Obrócił głowę, aby na nią spojrzeć. Gdy się poruszył, uczył nagle ostry ból w szyi. – Co się stało? – zapytał. – Co się stało z moją szyją?

Uśmiechnęła się i wtedy zrozumiał; serce w nim prawie zamarło, gdy zdał sobie sprawę, co ona zrobiła; wysssała z niego krew. Zabija go.

– Czy wy... wy to... zrobicie znowu? Skinęła głową. – Za dzień, za dwa.

– To ja umrę?

Znów skinienie. – Po kilku tygodniach. Ale to będzie postępowało stopniowo, tak, że kiedy przyjdzie ta chwila, pomyślisz, że to tylko sen. Może wyżyjesz jeszcze ze trzy tygodnie, gdyż wydajesz się mocny. Zamknął oczy i znów manewrował przy sznurach.

– Czy jesteś głodny? – spytała. Potem, nie czekając na odpowiedź, zadzwoniła i jeden z milczących sług zjawił się z tacą zastawioną jedzeniem; widocznie takie rzeczy zdarzały się często i człowiek już czekał na jej dzwonek. Uniósł głowę Blondela i zaczął mu wkładać kęsy jedzenia do ust. Blondel, zgłodniały, zjadł, co mu dano. Przez cały czas księżna mówiła do niego.

– Coraz bardziej się przekonuję, że potrzeba mi cudzoziemców, takich jak ty – powiedziała. – Moja wieś jest stara i ludność w niej ma już starą, osłabioną krew i zupełnie mnie nie zadowala. No i oczywiście nie mogę pozwolić, by wymarli. Więc chodzę od jednego do drugiego, potajemnie nocą, a oni nie wiedzą nigdy, że byłam, aż dopiero nazajutrz, gdy zobaczą mój znak na skórze. Mówiono mi, że we wsi mnie

nienawidzą, ale nie śmieją się buntować ze strachu przed moimi czarami. Oczywiście to bardzo mądrze z ich strony. Tylko niewielu z nich umiera naprawdę przeze mnie. Całkowicie wykorzystuję tylko obcych.

Blondel zadrżał. W pokoju było zimno. – Czy mogę przynajmniej dostać swój płaszcz?

Potrząsnęła głową. – Po co? Za kilka dni będzie wszystko jedno, czy ci było zimno, czy nie.

Sługa skończył go karmić i na znak dany przez księżną znikł.

Potem księżna wstała, smukła i wysoka jak smuga zieleni, jak zamarznięta morska woda. – Opuszczę cię teraz. Te godziny, gdy mnie nie będzie, nie wydadzą ci się długie. Pokój ten znajduje się poza czasem, więc powrócę za chwilę. – Odeszła.

Lecz pokój nie znajdował się poza czasem i Blondel zdawał sobie sprawę, co się zdarzyło i co się z nim na pewno stanie, jeśli w tym pokoju pozostanie długo. Jedzenie dodało mu sił; znużenie przeszło. Rozciągał palcami sznury; już były luźniejsze. Zastanawiał się, czy to, co powiedziała, to była prawda. Czy jest rzeczywiście jakąś czarownicą, żyjącą wiecznie? Wampirem? Nie umarła i nie żywa? Jeżeli nie jest tym, co mówi, to jest obłąkana; jest morderczynią, żądną krwi. Strach rozjaśnił mu umysł i dodał pewności palcom; nie ma zamiaru umierać w tym miejscu; nie umrze w ten sposób. Pomyślał, co by z nią chciał zrobić. Przychodziły mu na myśl wyrafinowane tortury: ogień, obcegi, gwoździe, tortury wodne na modłę saraceńską. O, on by wiedział, co z nią zrobić. Ale może byłoby lepiej po prostu ją udusić, zadławić. Tak, to by mu najlepiej odpowiadała; dusić ją, aż ciało stanie się miękkie i ciężkie w jego rękach. Pragnął niemal, by wróciła, jak on się uwolni. Strach zmienił się we wściekłość, a był silny.

Z wielkim wysiłkiem zerwał więzy; ręce miał wolne. Wstał i na chwilę zielona chmura przysłoniła pokój; przestraszył się, że zemdleje. Przez moment trzymał głowę spuszczoną, aż pokój znów przejaśniał. Odczuwał utratę krwi. Rozcierał napiętki, aż niebieskie ślady

rów zeszyły, ogrzał się przy ogniu. Własna skóra; zdawała mu się biała jak u trupa. Natarł się silnie, żeby krew krążyła szybciej, potem prędko się ubrał. Jego wiola i sakiewka były nie tknięte. Już gotowy, rozejrzał się po pokoju, szukając drzwi. Oto główne wejście, przez które odeszła księżna. Obok, na pół ukryte pod arrasem, były mniejsze drzwi. Właśnie miał ich spróbować, gdy dostrzegł na stole obok krzesła księżnej szkatułkę z klejnotami. Otworzył ją i wyjął garść klejnotów: rubiny i szmaragdy, oprawne w srebro i złoto. Wpakował ile mógł do sakiewki i uśmiechając się do siebie, odważniej, niżby się tego mógł kiedykolwiek po sobie spodziewać, otworzył ukryte drzwi.

Mroczone schody, przepaściste jak studnia. Stał na najwyższym stopniu i zamknął za sobą drzwi. Stał przez chwilę, aż oczy przyzwyczyły się do ciemności. Potem, już dostrzegając coś niecoś, zaczął schodzić ostrożnie, bezszelestnie.

Długo zstępował ze stopnia na stopień, wymacując nogami szorstki, nierówny kamień. Nie było okien ani nawet otworów strzelniczych w murze. Szara smużka światła, dochodząca z dołu, rozjaśniła się na tyle, by rzucić jego cień na ścianę. Teraz widział wyraźnie; dotarł do stóp schodów. Tu były otwarte drzwi, a obok stała pochodnia. Po lewej stronie widział plecy strażnika. Drzwi wychodziły na wiejski rynek. Było to niewątpliwie prywatne przejście księżnej. Wyobraził ją sobie uśmiechniętą, z oczyma jasnymi jak lód, skradającą się cicho po schodach wieży, wyruszającą na jakąś zbrodniczą, krwawą przygodę.

Blondel wyciągnął swój sztylet. Wszystko poszło bardzo łatwo: przebite plecy, długie westchnienie i stuk upadającego ciała. Szybko przekroczył leżącego człowieka i wyszedł na rynek. Powietrze było przenikliwie zimne, niebo czarne, bez gwiazd. Biegł przez ulice, a odgłos jego kroków rozbrzmiewał ostro i jasno, jedyny głos wśród nocy.

Biegł, póki nie otoczył go zewsząd las, póki nie poczuł się pewny, z dala od ludzi, pod osłoną litościwszych drzew, i nawet szum wichru, który syczał i gwizdał wśród gałęzi, zdawał się przyjaznym dźwiękiem. Bezpieczny pośród drzew, przespał tę noc, śniąc o ogrodach.

6

Po jednym dniu podróży wydostał się z zaczarowanego miejsca. Nocami nie zawodził już wicher, a lasy zaroily się drobną zwierzyną. Było zimno; zima przygotowywała się, by zadać ostateczny, mroźny cios, zanim dni staną się dłuższe, lód stopnieje, nim znów zagrzmia rzeki.

Z początku trudno mu było wędrować: był słabszy, niż sądził zrazu, a szedł pieszo, bez możliwości zakupienia nowego konia, póki nie przybędzie do miasta, zaś na drodze do Diirenstein nie było miast, tylko wioski i to nieliczne. Nie odwiedzał już zamków, a jeśli przypadkiem musiał się w którymś z nich zatrzymać, wypytywał u ludzi, mieszkających w pobliżu, o jego właścicieli. Nie pragnął więcej takich przeżyć jak to ostatnie. Nie mógł się doczekać chwili, gdy opuści ten ponury, porośnięty lasami kraj czarów, gdy przejdzie z nocy w dzień, od bladego, zimowego słońca do blasku lata i Zachodu.

Teraz czuł instynktownie, że wyszedł z tego kręgu. Wioski, które mijał, zajęte były sprawami dnia powszedniego. Co nocy oglądał przy blasku ognia klejnoty księżnej Walerii i śmiał się do siebie, patrząc, jak migocze światło w szlachetnych kamieniach: zimne, czyste klejnoty, twarde i lśniące jak oczy królów. Zastanawiał

się, co zrobiła, gdy się spostrzegła, że zabrał jej klejnoty; czy była bardzo wściekła? Czy przeszukano wieś? Myślał o tym, na co obróci złoto, które za nie otrzymał Kupi sobie dobra w Pikardii; może wybuduje mały za-i meczek. Robił plany na przyszłość, plany własnego życia, po powrocie króla. Dni mijały; wracały mu siły i znów poczuł się zupełnie zdrów.

Na starym rzymskim trakcie do Diirenstein, w ostatnich dniach podróży, spotkał brata Antonia, mnicha, idącego z Italii do klasztoru w Diirenstein. Ponieważ! brat Antonio okazał się dobrym towarzyszem, Blondel szedł razem z nim; obaj wędrowali pieszo, a na rozmowach szybciej im schodził czas. Nie pragnął już samotności, po raz pierwszy w życiu bał się samotności. Potrzebował mieć kogoś koło siebie, czuł się wówczas bezpieczny, niezależnie od tego, czy bezpieczeństwo istniało może tylko w jego wyobraźni.

Pierwszej nocy spali w gospodzie. Nazajutrz zbudzili się wcześnie, najedli do syta, zwinęli się szczelnie w płaszcze i wyszli na trakt.

Więcej było podróżnych na tej drodze niż ich Blondel spotkał od wyjazdu z Wiednia. Rycerze w pełnej zbroi, ze swiątą służby i giermków, galopowali po trakcie pędem, jak by się obawiali spóźnić na bitwy, które bez nich nie mogły zostać wygrane. Ciągnęli też mnisi, zwykle parami; na twarze mieli nasunięte kaptury, a na stopach sandały, które zdawały się źle chronić od zimna i bez wątpienia ciepła nie dawały.

Okolica była pusta, naga i surowa, a także, na szczęście dla podróżnych, równinna. Cienkie i ostro zakończone drzewa wyglądały tak, jak by nigdy nie rodziły liści i już nigdy nie miały zakwitnąć, a ich soki zamarżyły na zawsze pod twardą korą. Z konarów zwisała blada mgła, zacierając obrazy dalszych okolic. Brat Antonio; mały i żółty, poruszał się zrzęcznie.

Oczka miał małe i świecące jak onyks. Jego twarz była chuda, a nos długi i prosty. Mówił po francusku, jeśli niezbyt dobrze, to swobodnie i Blondel lubił go słuchać. Mówiąc gestykulował gwałtownie długimi, żółtymi, porośniętymi czarnym włosom palcami, które miały połamane paznokcie.

– Słyszy się o takich historiach u nas w Italii, ale to oczywiście tylko legendy. Nikt z tych, których znałem, nie widział nigdy takiej osoby, prócz was oczywiście. To na pewno możliwe, że wasza księżna mogła naprawdę żyć od wieków. Ci, co się przymierzają z diabłem, są za to często wynagradzani w życiu doczesnym. A ona by^a w przymierzu z diabłem – co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Wiecie, że ta część Europy to jeden z bastionów diabła. Jeszcze się tu uprawia czary, opowiadano mi także o odmieńcach, o wilkołakach, żyjących w lasach. Zły kraj, jak wynika z tych wszystkich opowiadań, choć ludzie wydają się w miarę pobożni. Mówiono mi nawet, że w jednym z tych lasów znajduje się gdzieś prawdziwe wejście do piekieł. To by mogło tłumaczyć niezwykle szeroką działalność aniołów ciemności w tych stronach. Bardzo bym chciał owo wejście zobaczyć, ale myślę, że naraziłoby to moją duszę na poważne niebezpieczeństwo.

– Dziwny kraj, dziwny kraj. Popatrzcie no tutaj. – Ukazał gestem płaskie pola koloru żelaza. – Wygląda tak, jak by ciążyło na nim jakieś przekleństwo.

– Ależ teraz jest zima – odrzekł rozsądnie Blondel. – Słyszałem, że latem te okolice są bardzo piękne.

– Może i piękne, ale jednak posępne, jak mi się zdaje. W czasach pogańskich na szczytach gór zbierały się tu czarownice – tysiące czarownic, jeżdżących na orłach. Odprawiały o północy czarne msze, a diabeł, niby siarka i ogień, zjawiał się wśród swych sług. – Na tę myśl brat Antonio zadrżał i przeżegnał się.

– Ciekaw jestem, czy czarownice jeszcze się zbierają? V,

– Powiadają, że tak, ale nikt tego nie wie na pewno! Jestem przekonany, że wasza księżna by coś o tym wiedziała.

– A czy macie je w Italii?

Antonio zamachał rękami, rozcapierzył żółte palce. – Chyba tak, w pewnych okolicach, ale ja się z nimi nie spotkałem, takie są tylko pogłoski. Mówiono mi, że w samym Rzymie są złe duchy.

– W Rzymie?

• — O tak, pośród ruin. My tam mamy, wiecie, pełno wszelkiego rodzaju starożytnych ruin. Większość z nich prawie rozsypuje się w proch. Nie będzie spokoju, póki ich nie zrównają z ziemią – taka jest moja opinia, ale papieże myśleli inaczej i mówi się nawet o odnawianiu niektórych. Niech Bóg zachowa! Oczywiście kilka pogańskich świątyń zamieniono na kościoły bez złych« skutków – jak dotąd. Ale ja uważam, że zło tylu wieków nie da się wykorzenić – chyba że pokryje je ziemia lub zniszczy czas, albo, tam gdzie się da, poświęcenie tych miejsc.

Blondel słuchał, jak brat Antonio mówił o dawnych czasach, przed nastaniem Kościoła; ciekawie wyglądało wtedy życie. Ci poganie musieli być wybitnymi ludźmi; ich drogi, mury, akwedukty i świątynie widziało się w całej Europie; jeszcze ich używano. Na ogół Blondel nie lubił księży. Przemawiali zwykle takim obłudnie mentorskim tonem, zawsze podtrzymywali swą kapłańską nieomylność, która była dla niego i irytująca, i wątpliwa. Z drugiej strony uratowali stare księgi i uczyli ludzi czytać, a to było na pewno dobre. On sam nauczył się czytać u jednego księdza z Artois, wysokiego, łagodnego człowieka, który miał głęboki głos i ciekawe

oczy. Ale to wszystko było tyle lat temu. Żadnego innego księdza tak blisko nie znał.

Teraz szedł u boku brata Antonia, słuchając opowiadań o Rzymie. Złodzieje chodzili tam jawnie po ulicach miasta. Kardynałowie żyli w wielkim zbytku, a przy tronie papieskim knuło się wiele intryg. Wszystko to było mu dobrze znane; był to wiek niepewności, walczących frakcji, oporu jednostki przeciw ludziom, którzy domagali się wielkich, połączonych państw. Odkąd tylko Blondel mógł sięgnąć pamięcią, na świecie zawsze były niepokoje; małe wojny między małymi państwami; królowie, mordujący się wzajemnie. Nie widziało się w świecie żadnych dążeń do określonego celu, może tylko w Rzymie, lecz Blondel wiedział, oczywiście, nawet przed rozmową z bratem Antonio, że Rzym, tak samo jak inne ośrodki politycznej władzy, pełen intryg i pozbawiony kierunku, zdążał ślepo ku jakiejś okrytej tajemnicą przyszłości, tak jak inne państwa.

Ach, to wszystko naprawdę go nie obchodziło, choć zachował jakieś wspomnienie, może atawistyczne, o czasach, gdy nie prowadzono małych wojen ani nie snuto intryg, o jakimś słonecznym i spokojnym okresie, gdy każdy mógł bezpiecznie wędrować po świecie, gdy nie gnębił nikogo strach. Czasami, w epoce pogańskiej, świat bywał taki, przynajmniej on o tym słyszał; nowe drogi łączyły wszystkie części Europy, p wszyscy panowie dochowywali posłuszeństwa Rzymowi; teraz drogi były stare, wiele z nich pokryła trawa, a kamienie popękały. Trudno się było przedostać z miasta do miasta, a cudzoziemców traktowano wrogo. Nie istniał już jakiś punkt centralny, jeden autorytet: ojciec nie żył, a synowie zwalczali się nawzajem.

– Niedobre to czasy ■ – powiedział brat Antonio, jak by dopiero teraz odkrył ten fakt. – A jednak nie rozumiem, jak człowiek może być rozmyślnie zły. Piekło jest przecież przerażającą rzeczą, a większość ludzi wierzy w piekło.

– Myślę, że cała trudność leży w sformułowaniu – rzekł Blondel. Tu było coś, nad czym już dawniej myślał. – My naprawdę nie wiemy, co to jest dobro i co to jest zło. Kieruje nami mniej lub więcej Pismo święte, ale tylko księża i niewielu ludzi poza nimi umie czytać, a księża przez swoje życie n^a pewno nie dają dobrego świadectwa temu, co mówią na kazaniach. Następnie, znaczenie dobra i zła zmienia się ze stulecia na stulecie i w zależności od kraju. Ludzie nie myślą poważnie tymi kategoriami, bo ich nie rozumieją. Robią większość tych rzeczy, które muszą robić, a muszą jeść, kochać się i czasami walczyć. Myślę, że takie właśnie musi być życie, a cała reszta to wymyślone przepisy na sposób życia, konieczne być może dla ogólnej wygody i bezpieczeństwa, którego wszyscy potrzebujemy, ale to nie jest prawdą samą w sobie, prawdą ostateczną.

– To brzmi jak herezja – powiedział brat Antonio zatroskany i spojrzał na Blondela, aby się przekonać, czy rzeczywiście tak myśli. Lecz wyraz twarzy towarzysza wcale go nie uspokoił. Blondel wierzył w to, co powiedział, choć rzadko się zdarzało, by wypowiadał się tak uczciwie. Zwykle przyświadczał współczesnej obłudzie z równą swobodą, jak to czynili inni.

– Może i herezja – zgodził się.

– Jak możecie mówić, że dobro i zło nie istnieją? Księżna, którą spotkaliście, była na pewno sprzymierzona z ciemnością. Przyznaliście to sami. Czy nie czujecie, że ona była zła?

– Nie w waszym absolutnym, czarno-białym sensie. Była niebezpieczna dla mnie, ponieważ usiłowała mnie zabić w szczególnie okrutny sposób. Ale jej było tego potrzeba, a przynajmniej wierzyła, że tego jej potrzeba. Mogę przyznać, że byłoby to złem dla mnie, ale niekoniecznie złem w sensie absolutnym. Nie miałoby to żadnego związku na przykład z gwiazdami czy z dworem Leopolda. To dotyczyło tylko mnie. Tak, chciałbym, żeby takich ludzi jak księżna zabijano dla mego własnego bezpieczeństwa, ale nie dlatego, bym ich uważał za jakieś zło absolutne, a tylko dlatego, że zagrażają mnie. Zgadzam

się, że jeśli mamy zaprowadzić jaki taki porządek, musimy wpoić w umysły nieuczonych i niebezpiecznych ludzi opowieści o jakimś bogu, którego jedynym zajęciem jest drobiazgowo układanie aktów zemsty osobistej, odprawianie sądów. Lecz nie wierzymy w nasze własne mity natury politycznej. Uważajmy je wyłącznie za prawa, nakładane dla naszej ochrony. Pamiętam, jak mi się zdaje, że król Ryszard dostał pochwałę od Kościoła, kiedy wymordował kilka tysięcy saraceńskich jeńców. To mu Kościół odpuścił, a jedną starą, szaloną kobietę jak księżna Waleria uważa się za istotę złą, ponieważ usiłowała zabić jednego człowieka przez utoczenie mu krwi! Jakież to nierozsądne.

– Sofistyka – odrzekł brat Antonio, przejęty zgrozą. – Wszystko to nieprawda. Rozum nie ma nic wspólnego z wiarą. Nasz rozum czasem zdaje się sprzeciwiać temu, w co wierzymy, dlatego właśnie, że nasze rozumienie spraw ducha jest tak ograniczone. Wiara istnieje niezależnie od tego, co nazywamy rozumem. Jest złem i zarozumiałstwem sądzić, że nasz umysł mówi nam prawdę, ponieważ wyciąga wnioski niezgodne z Kościołem. Niektóre rzeczy po prostu się wie. Te rzeczy pozostają poza zasięgiem rozumu i nie możemy w nie wątpić, ponieważ są prawdziwe.

Na to nie mogło być żadnej sensownej odpowiedzi. Wszyscy oni mówili w ten sposób. Zastanowił się, czy były jakieś szkoły, gdzie słudzy Kościoła ćwiczyli się w tego rodzaju argumentach, gdzie uczono ich przekręcania racji rozumu, nieliczenia się z dowodami, które

sprzeciwiały się ich nauce, wyjaśniania paradoksów, jako mamidel diabła. Ano, może i mieli rację; może le- piej było przyjąć te głupstwa, starać się w nie uwierzyć, lepiej było nie myśleć nigdy o sprawach takich jak dobro i zło, iść tylko za głosem instynktu, gdy się dało, zawierając kompromisy ze światem. Wszyscy niebawem wymrą i to, co każdy z nich czynił, nie zrobi żadnej różnicy, nie zmieni wschodu słońca ani zimnego blasku choćby jednej gwiazdy.

Wędrowali razem, rozmawiając. Wieczory, zachody słońca, pomarańczowy kula słoneczna, ostre zimowe barwy; pasma żółtego światła leżące na wzgórzach i polach; w powietrzu cicho. Wiatr przepadł, wirował teraz nad jakąś inną okolicą. Nie mówili już o religii, odkąd brat Antonio odkrył, że Blondel ma wiele heretyckich poglądów. Był zgorszony. Blondel widział wyraźnie: Rzym, potężny i bogaty, o takim znaczeniu politycznym, że potrafił zmusić cesarza, żeby odprawiał boso pokutę, Kościół Rzymski obwarowany swymi dogmatami utrzymywał, nie bez racji, że wiek ten jest epoką wiary. Nikt nie śmiał otwarcie wypowiadać swych wątpliwości na temat Kościoła, a Blondel odważył się je wyznać teraz dlatego tylko, iż wiedział, że może później wyprzeć się tego, co mówił w obecności jednej osoby; poza tym wkrótce miał opuścić Austrię. Francja, kraj trubadurów, nie była, przynajmniej na dworach, tak opanowana przez księży, jak kraje środkowej Europy i nad Morzem Śródziemnym. Poza tym Blondel w zasadzie nie kwestionował autorytetu Kościoła. Uważał tylko, że jego stosunek do spraw moralności jest dziwnie paradoksalny, a biorąc pod uwagę ludzkie instynkty i poczynania, często wprost bezsensowny.

Gdy pomarańczowe słońce chyliło się ku zachodowi, zaczęli mówić o miłości.

–ii Mężczyźni nigdy nie kochają kobiet ani kobiety

mężczyzn – powiedział ponuro brat Antonio. – Naturalnie, czują do siebie żądzę. Ciało występuje przeciw duchowi, a ciało niestety zbyt często zwycięża na tym świecie.

– Ale nie uważacie chyba, że mężczyźni nie powinni nigdy brać kobiet, prawda? Nie byłoby wtedy rasy ludzkiej ani zła, ani dobra, <ani nawet księży.

– Rozmnażanie może się dokonywać bez żądz – rzekł pogodnie brat Antonio. – Powinno się je traktować raczej jako święty obowiązek niż jako przyjemność, która niestety jest właśnie pobudką u większości ludzi.

- Ale właściwie dlaczego nie wierzycie, że mężczyzna mógłby rzeczywiście pokochać kobietę?
- Kochać kobietę w istotnym sensie tego słowa? Wielkie uczucie, uczucie niesamolubne, skierowane ku czemuś poza sobą? Nie, to może zaistnieć tylko między człowiekiem i Bogiem. Miłość jako przywiązanie, jako przyjaźń, jako żądza fizyczna jest oczywiście możliwa między mężczyzną i kobietą.
- Jak się to dzieje zatem, że gdy ktoś się zakocha w jakiejś istocie ludzkiej, to kiedy patrzy na innych, niecierpliwi się nie znajdując między obcymi ukochanej twarzy? Jak to się dzieje, że mężczyzna myśli o kobiecie w każdej minucie dnia, kocha ją, jest nią owładnięty, a w nocy o niej śni? Że mężczyzna potrafi narazić życie dla kogoś innego, że jego własne życie nie jest tak ważne dla niego jak jego miłość? Czymże to jest?
- Szaleństwem i grzechem – rzekł brat Antonio.
- A jednak to się przydarza mężczyznom, niewielu, z tym się zgodzę, ale niektórym.

– Czy wam się to zdarzyło?

– Raz tak, chyba tak. Jeden raz, dawno temu. – I Blondel pomyślał o pierwszej kobiecie, jaką kochał, o pewnej pani z Artois, i z trudem starał się przypomnieć sobie, co dla niej odczuwał. Lecz mimo wysiłku

nie mógł sobie jakoś przypomnieć przeżyć wywołanych tym wielkim uczuciem, choć przypominał sobie pewne sytuacje, jakieś obrazy, skąpane w świetle lata; najlepiej pamiętał tylko słowa: przychodziły mu na myśl słowa, opisujące miłość, słowa, które stały się po większej części tylko zwyczajnym, pustym dźwiękiem o określonym znaczeniu, pamiątkami dawnych uczuć, szczątkami miłości. Może brat Antonio miał rację: tylko żądza. Ale jeśli tak, to czym była miłość? Słowa były taką zagadką, tym większą, im bardziej się je rozważało. Jak łatwo przychodziło wyśpiewywać słowo "miłość", używać słowa "serce" w balladzie, mówić o tęsknicy. A jednak najwyższe wloty uczucia nie mogły odżyć w pamięci; ból i rozkosz stawały się słowami, gdy tylko minęła tamta chwila, a gdy się nie kochało w tej chwili właśnie, miłość nie istniała. A przecież wtedy, gdy się kochało, ta jedna chwila spalała człowieka cała kowicie, istniała poza słowami i prawdopodobnie poza rozumieniem ludzi takich jak brat Antonio.

Doszli wreszcie do wniosku, że się ze sobą nie zgadzają.

Zapadła już noc i przed nimi majaczyły w świetle księżyca czarne kształty: miasto Diirenstein. Na wąskich ulicach paliły się pochodnie, świeciło się też w niektórych oknach zamku. Serce zabiło mu szybciej, poczuł znane ścisnięcie w gardle. Przyszedł z dzikiej krainy czarownic, a teraz przez pewien czas pobędzie na wielkim zamku, wśród ludzi cywilizowanych, i tu, był tego prawie pewien, odnajdzie Ryszarda.

Na noc stanęli w wielkim klasztorze zakonu brata Antonia. Kamienne budynki wznosiły się na dwa piętra, były tam liczne podwórza i przyklasztorne zabudowania. Kaplica, jeszcze w budowie, stała nie wykończona – poszczerbiona płatanina kamieni na tle wieczornego nieba.

Służący zaprowadził brata Antonia i Blondela do kaplicy, gdzie mnisi zebrali się na nabożeństwo: była północ i odprawiano jutrznię, pierwsze nabożeństwo nowego dnia. Blondel, który rzadko odwiedzał klasztor, pomyślał, że wyglądało to bardzo uroczyście: wspólna modlitwa wszystkich mnichów, zebranych w kaplicy bez dachu, płomyki świec migoczące leniwie w wiatrem przewianych nawach. W tym miejscu, po skończonym nabożeństwie, brat Antonio przedstawił się przeorowi, tęgiemu mężczyźnie z białą brodą.

– Witajcie' – rzekł przeor do Blondela. – Nieczęsto się zdarza, by trubadurowie u nas spędzali noc. Przeważnie wygodniej im na zamku. – Przeor uśmiechnął się. Pójdźcie do refektarza, zjecie coś.

Usiedli we trójkę w długim refektarzu, sami; jedna świeca oświetlała koniec stołu, gdzie siedzieli. Sługa podał im chleb i zimne mięso.

– Jakie wieści z Rzymu, bracie Antonio? Nikogośmy tu z Rzymu nie widzieli od wielu miesięcy.

Brat Antonio opowiedział im wiadomości z Rzymu; o działalności niektórych kardynałów, o zdrowiu papieża. Blondel zauważył, że nie mówił tak szczerze, jak w drodze. Potem, gdy opowiedział o wydarzeniach i plotkach, wręczył przeorowi zapieczętowane papiery od przełożonego zakonu w Rzymie.

– To dla opata.

– Postaram się, żeby je dostał. A teraz, trubadurze, gdzieżeś bywał? Skąd i dokąd wędrujesz?

– Z Palestyny do Francji.

– Krzyżowiec! A więc podwójnie miły gość. Mamy wielki szacunek dla krzyżowców. Jesteś przedstawicielem zbrojnego ramienia Kościoła, bezinteresownym, oddanym sprawie wojownikiem. – Przeor odchrząknął, głos wibrował potężnie; był to niewątpliwie temat dobrze znany, ale zawsze wdzięczny.

– Jakże ja bym pragnął wziąć udział w waszym h wspaniałym dziele! Uwalniać grób Naszego Pana z rąk/l] _| niewiernych, walczyć ramię w ramię z największymi jf żołnierzami w historii chrześcijaństwa! Jakież to dla i was szczęście! Jak wam będą zazdrościć, gdy powróci- cie do Francji, ci mniej szczęśliwi, którzy nigdy nie . walczyli w Ziemi Świętej. Jakże ja wam zazdroszczę! Gdybym nie był taki stary, gdyby moje obowiązki nie 1 przykuwały mnie do naszego zakonu, byłbym sam obec- "- ny u Świętego Jana w Akrze. No cóż, każdy z nas musi | pracować dla Pana Naszego tam, gdzie mu naznaczo- ■"l no. – Uroczysty głos przebrzmiał. Blondel patrzył na resztki zimnej baraniny na swoim talerzu. Przeor gła- 1 dził delikatnie brodę, a oczy miał zamglone starością i rozmarzeniem.

– Powiedzcie mi – rzekł innym już głosem – jak | rozdzielono łupy w Akrze? Słyszeliśmy tyle sprzecz- g nych wiadomości na ten temat. Wyście byli w Akrze, 1 nieprawdaż?

– Tak. Byłem tam. Ale nie wiem dokładnie, jak rozdzielono łupy; głównie między Ryszarda i Filipa, jak mi się zdaje.

– Więc książę Leopold dostał bardzo niewiele?

– Tak mówiono. Nie mam pojęcia, czy to prawda, czy nie... tyle było grabieży...

– Mówią, że Saraceni są bardzo bogaci – powie- 1 dział przeor i zamyślił się trochę, przeczesując palcami brodę, rozplątując w niej jakieś węzélki.

– Myślę, że to przesada –• odrzekł Blondel. –7 Ale zabraliśmy wszystko, co mieli w Akrze. I, jak słyszałem, Ryszard wziął dla siebie większą część łupów.

– Słyszeliśmy o tym – rzekł przeor i uśmiechnął się nieznacznie, tak że uśmiech niemal zagubił się w jego brodzie. – Powiadają, że książę Leopold był tym bardzo zmartwiony, ale ja uważam, że to jego win.a.

Powinien był okazać więcej energii w postępowaniu z Ryszardem. Powinien był wiedzieć, że wszyscy Plan- tageneci są nieuczciwi. Inaczej by to wyglądało, gdyby nasz cesarz tam był.

– A czemu go nie było?

– Co? No, po pierwsze ma zbyt wiele obowiązków w Niemczech, a po drugie reprezentował go książę Leopold, jak wiecie. Austria jest częścią cesarstwa, o czym Leopold też miał sposobność się teraz dowiedzieć. – Znów nieznaczny uśmieszek,

który Blondel rozumiał doskonale. Nie znał może szczegółów tej tajemnicy, ale wiedział, o co chodzi.

– Leopold i Ryszard nigdy nie byli w przyjaznych stosunkach – powiedział Blondel, zastanawiając się, co mówić, czy pytać wprost, czy wyczekać.

– Ryszard przynosi hańbę światu chrześcijańskiemu – przeor zmarszczył się groźnie, rozsypując jakiś szczególnie trudny węzeł w brodzie. – To morderca. Wiecie, że zamordował Montferrata: chrześcijańskiego pana i to lepszego niż on sam. A potem jak zabrał lwia część łupów... Lwia część... tak go należało nazwać, a nie Lwie Serce!... A po zagarnięciu wszystkiego, do czego mógł się dorwać, zawiera pokój z Saladynem i wyjeżdża z Palestyny, porzuca naszą sprawę! Wyobraźcie sobie chrześcijańskiego władcę, paktującego z tym niewiernym, z tym Saladynem, z mordercą chrześcijańskich rycerzy! – Blondel starał się przybrać taki wyraz, jak by sobie to wszystko wyobrażał, a wyobrażając sobie, bardzo się zgorszył... A więc tak będzie prowadził cesarz swoją sprawę: dezercja, zawarcie pokoju z Saladynem i morderstwo Montferrata, nie wspominając już o zagarnięciu zbyt wielkiej części skarbu z Akry. Zastanawiał się, jak cesarz przedstawił swoje zarzuty, pod jakim pretekstem i kiedy. Nic się jeszcze nie zdarzyło, przynajmniej tak by się mogło zdawać. Gdyby wszczęto

jakaś sprawę, przeor na pewno zasypałby ich wiado-? mościami. Przy wprawianiu w ruch całej maszynerii sądenia króla cesarz napotykał prawdopodobnie na trudności, gdyż sam był zbyt odpowiedzialnym mężem stanu, aby wprost zażądać okupu w jakiegokolwiek formie. Blondel rad byłby dowiedzieć się, co się działo ; w Anglii; czy Jan był jeszcze królem? Zastanawiał się. Było całkiem możliwe, że Ryszarda ogłoszono zmarłym. Myślał o wszystkim, co mogło się teraz zdarzyć w Anglii. Ale o czymże to mówił przeor?

– To się zdarzyło kilka miesięcy temu, w Wiedniu. Powiadają, że ujął go sam książę Leopold, że Lwie Serce przebrał się za kucharza, ale Leopold go poznał i zwyciężył w walce wręcz. Potem cesarz zażądał od Leopolda wydania mu Ryszarda i słyszałem, że było wiele kwasów, jak sobie można wyobrazić, ale Leopold zmuszony był usłuchać. Mówią, że ma być jakiś sąd przed Zgromadzeniem, ale na to trzeba czasu i przypuszczam, że muszą też rozważyć wiele problemów międzynarodowych. Osobiście uważam, że to trudna i niebezpieczna rzecz dla państwa sądzić króla innego państwa, nawet jeśli nasza racja jest tak oczywista. – Przerwał, rozważając tę rację, a potem zwrócił się do brata Antonia: – Czy wiecie, jak się na to zapatruje Rzym?

Brat Antonio potrząsnął głową. – Nie, zdaje się, że nie słyszałem, żeby ktoś o tym wspominał w Rzymie. Myślę, że może jeden z dokumentów, jakie wam dałem dla opata, mówi coś o Ryszardzie, ale nie jestem pewny. Osobiście uważam, że cesarz postąpił bardzo niemądrze, biorąc pod uwagę fakt, że Ryszard, niezależnie od swych grzechów, jest w łaskach u papieża.

– Pewien jestem, że straci te łaski, gdy Ojciec Święty dowie się szczegółów jego prowadzenia się w Palestynie. Nawet chrześcijańska cierpliwość, drogi bracie,

ma swoje granice. Ano, robi się późno, a raczej, należałoby rzec, wcześniej, a wy chcecie spać. Będziecie śpiewać jutro na zamku, trubadurze?

– Jeżeli mnie zaproszą.

– Na pewno zaproszą. Podobno Ryszard we wszystkim przeprowadza swoją wolę. Pan na Diirenstein boi się go panicznie i chociaż jego łaskawość nie cierpi śpiewaków, trzymają ich u siebie tuzinami i, jak słyszałem, ciągle grają o pieniądze i Bóg wie co jeszcze. Gdyby był moim więźniem, na pewno traktowałbym go bardziej surowo, ale myślę też, że muszą być ostrożni.

Przez klasztor prowadził ich służący z pochodnią, płomienną plamką, rozpraszając przed nimi ciemność ognistym okiem. Zdążali za pochodnią przez główny dziedziniec do ąali gościnnej.

Tej nocy Blondel nie spał. Patrzył, jak czarjcie niebo szarzeje, potem bieleje, zobaczył wschodzące słońce, nowe i jaskrawe; patrzył na lśnienie światła na śniegu i zdawało mu się, że słyszy głosy ptaków, powracających z południa, ale może to sobie tylko wyobraził, bo niebo pozostało puste. Tyle w jego życiu zdawało się nierzeczywiste.

Dzień i słońce zaświtały wśród zimna na białej skorupie śniegu. I dzień, i chmara ptactwa, które zabłyśły przez chwilę, niby dany znak między żółtym słońcem i twardą ziemią, wzbły się jednocześnie w niebo i roztopiły w słońcu.

Część trzecia

Wiosna 1198

POWRÓT 1

Zamek był duży: płatanina licznych baszt obronnych, wysokich brązowych budynków i całe mile grubego muru. W ostatniej chwili Blondel przestraszył się. Co by się stało, gdyby go rozpoznano? A gdyby króla już nie było? Możliwe, że go znów wywieźli. Lepiej może nie wiedzieć. Lepiej stać tak wiecznie przed tym zamkiem, przed tym stosem cegieł, kamieni i drzewa, i wierzyć w to, że kryje w sobie króla, a wierząc w to, być szczęśliwym.

Stał przez jakiś czas, wbijając sobie w pamięć każdy szczegół brązowego zamku, noszącego ślady minionych wichrów i burz, a słońce świeciło mu w twarz; dzień był ciepły i śnieg topniał; powolna brzydka śmierć zimy rozpoczynała się, powietrze tchnęło zapowiedzią wiosny.

– Obecnie trubadurowie są zawsze mile widziani – zauważył strażnik.

– Będziecie mogli śpiewać dziś wieczór dla bardzo dostojnego gościa – powiedział okrągły człowieczek na dziedzińcu, uśmiechając się złośliwie.

Po dziedzińcu snuły się tłumy zbrojnych, zbyt wielu zbrojnych jak na czas pokoju; niewątpliwie potrzebowano ich do pilnowania Ryszarda. Cesarz był pewnie trochę niespokojny o swego jeńca i słusznie; miał wszelkie powody – myślał Blondel, gdy szedł między żoł-

xnierzami, przyglądając się, jak polerowali części zbroi, mocowali się i wybuchali głośnym śmiechem. Podwórce jaśniało barwami ich sukni: czerwonych, zielonych i niebieskich, a światło słoneczne odbijało się oślepiającym blaskiem w zbrojach. Słychać było nieustanny hałas, zgiełk rozmów niby huk morskich fal, przerywany czasem przez parskanie lub rżenie koni.

Chodził między nimi nie zauważony, nieznan. Tyle tu było obcych, że jeden więcej nie robił różnicy.

Przeszedł przez tłum ludzi do głównej części zamku. Potem wszedł do środka z taką miną, jak by miał coś pilnego do załatwienia, przeszedł przez korytarz, przez wielką salę, galerię i krużganki pełne służby prowadzącej pogawędkę, aż wreszcie zabłądził. Nie śmiał pytać nikogo o drogę do wyjścia. Ciągle jeszcze z miną wielce zaabsorbowaną wędrował przez kamienne kory-, tarze, zaglądając do pokoiów, nie widząc nikogo prócz służby i gdzieś tam jakiegoś strażnika. Wreszcie wybrał jakieś drzwi i otworzył je. Oślepiło go słońce – wyszedł na dwór.

Był w ogrodzie, w podłużnym, otoczonym murami ogrodzie; przy murze rosło kilka gołych drzew, a po obu stronach brązowe krzaki, pozbawione teraz kwiatów, zmarznięte, oczekiwały stosowniejszej dla nich pory roku. Ogród był zapuszczony. Z jednej strony ciągnął się wysoki mur, z drugiej wznosiła się kwadratowa wieża, tworząca część głównego budynku zamkowego. Za okna służyły szpary, nic więcej.

Ten zamek, strzegący granic Europy, przeznaczony był dla obrony Zachodu przed Wschodem; zdawało się, że grube mury ciągle odpierają jakieś oblężenie.

Spacerował po ogrodzie, muskał palcami szorstkie mury, dotykał brązowych, kruchych gałązek zmarzniętych krzaków. Potem usiadł beczynnym na kamiennej ławie, zbierając poły płaszcz pod siebie jako poduszkę, bo kamień był zimny; zaczął grać

na wioli i nucić. Nucił starą melodię z Prowansji, gdy w ogrodzie zjawiała się dama w średnim wieku, nieco tęga, blada, o łagodnej króliczej twarzy. Płaszcz miała gruby, podbity futrem. Ujrawszy ją przestał nucić; powstał z ławy i skłonił się.

– Kim jesteście? – spytała zdziwiona.

– Trubadur, obcy w waszym zamku – przedstawił się.

– Jestem panią na Diirenstein – odrzekła, a on zaczął natychmiast mamrotać jakieś usprawiedliwienie, lecz powstrzymała go.

– To jest prywatny ogród dam tego zamku. Rzeczywiście wstęp tu jest całkowicie wzbroniony – rzekła żartobliwie. – Ale wy naturalnie jesteście tu obcym i nie mogliście tego wiedzieć. Powiedzcie mi, co tu robicie?

– Komponowałem balladę, szlachetna pani.

– Naprawdę? Wobec tego nie powinnam w żadnym wypadku wam przeszkadzać! Ogromnie mi przykro, że przerwałam balladę. Wiem doskonale, jak to jest, kiedy się komponuje ballady. Potrzeba zupełnego spokoju, aby uczucia i słowa mogły płynąć swobodnie. To bardzo ważne, żeby wszystko płynęło swobodnie, prawda? Chcę przez to powiedzieć, że nie powinno być poważnych przerw w tym, co się robi. Mój syn często komponuje pieśni. Bardzo bym chciała, żebyście go kiedyś poznali. To naprawdę dobry chłopiec, tak uważamy oboje, jego ojciec i ja. Ale niestety trochę lękliwy. I obawiam się, że ojciec zawiódł się na nim; nie ma wcale daru sztuki wojennej, ale tacy wrażliwi chłopcy nigdy chyba nie mają tego daru, tak przynajmniej zauważyłam. Powinien zostać duchownym lub kimś w tym rodzaju, ale uważaliśmy, że takie życie ma w sobie coś chorobliwego. Jest teraz w Wiedniu, na dworze. Słyszeliśmy, że zgotowano mu tam doskonale przyjęcie, a ja myślę, że to

bardzo ważne dla kogoś, kto ma być kiedyś wielkim panem. Spędza część czasu w Wiedniu, a resztę z cesarzem. Jak widzicie więc, rzadko tu bywa. Powiadają, że cesarz nabrał do niego wielkiej sympatii, lubi, żeby mu śpiewał. Wielki to honor dla młodego człowieka. Pewna jestem, że to się podobało jego ojcu. Cesarz ma tak niewielu ulubieńców. Ale oczywiście nasz syn jest taki wrażliwy i pojmuje wszystko w lot. Naprawdę, że czasem bardziej przypomina dziewczynę niż chłopca, a jak już o tym mowa, to musicie wiedzieć, że przychodził tutaj komponować swoje ballady. Gdy siadywał tu, pozwalaliśmy mu zawsze, aby miał ten ogród dla siebie. Mówicie, że skąd jesteście?

Blondel powiedział jej. Była to nadzwyczaj miła kobieta, niezbyt mądra, ale dobra i życzliwa; cieszył się, że tak szybko zawarł przyjaźń na tym dworze. Opowiedział jej swą zwykłą historyjkę. Słuchała uprzejmie, lecz oczy jej błądziły w roztargnieniu po ogrodzie, wypatrując bez wątpienia znaków odmiany, pierwszych oznak wiosny.

– Jak to miło, że mogliście nas tu odwiedzić. Lubimy teraz trubadurów (ja ich zawsze lubiłam), lecz po raz pierwszy mamy ich tutaj tak wielu.

– Dlaczego jest ich tak wielu teraz?

Westchnęła. – Dowiedcie się dziś wieczór. Mamy tu bardzo dostojnego gościa, naprawdę bardzo sławnego, który u nas mieszka. – Znów westchnęła. – Jest u nas król Ryszard.

– Chyba nie Lwie Serce!

Skinęła głową z żalną miną. – Tak, wielki to dla nas zaszczyt gościć go u siebie. Chociaż sytuacja jest dosyć trudna – to znaczy dla nas. Widzicie, wszystko musi być dokładnie tak, jak on chce, a on chce tylu rzeczy! Przez cały czas co najmniej tuzin trubadurów w pogotowiu, no i ciągle pijatyki i gry hazardowe z żołnierzami... och, bardzo trudno jest go tu gościć. Oczywiście to nie znaczy, żebym się uskarżała – dodała szybko ze strachu, że powiedziała zbyt dużo.

– A jak długo ma tu pozostać?

– Ach, to nie my o tym postanawiamy. Trudno przewidzieć, a on jest rzeczywiście miły... tak myślę. – Mówiła długo o uroku Ryszarda, nieco drżąc od chłodu, bo dzień stawał się zimniejszy, a w końcu rzekła: – Teraz muszę was zostawić w całkowitej samotności, gdy komponujecie. Mam nadzieję, że jutro będziecie mogli nam zaśpiewać całkiem nową balladę.

– Ja też mam tę nadzieję, szlachetna pani. Zadedykuję ją dla was, jeśli wolno.

– Będzie mi bardzo miło – odrzekła i uśmiechnęła się do niego ciągle trochę roztargniona, rzuciła jeszcze jedno spojrzenie na gałęzie drzew i odeszła.

Nagle poczuł się szczęśliwy, zaczął śpiewać, a głos brzmiał donośnie i czysto w zacisznym ogrodzie. Zaśpiewał kilka zwrotek jednej ze swych własnych ballad. Potem przerwał, zaczerpnął głęboki oddech dla odśpiewania przesłania, gdy nagle, z oddali, jakiś głos odbity echem, dobrze znany głos, dośpiewał mu to przesłanie.

Głosy i echa ścichły. Stał całkiem nieruchomo. Spojrzał w górę ku wieży, lecz nic nie mógł zobaczyć prócz okiennych szpar, osadzonych głęboko w szorstkim kamieniu. Jednak to była prawda. Usłyszał znowu głos Ryszarda i to mu wystarczyło. Jego podróż, na razie, była skończona. Zaśpiewał i odpowiedziano mu. Po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuł się pewny, swobodny i szczęśliwy; opuścił ogród i wędrował przez korytarze Durensteinu jak we śnie.

Siedział przy stole w odległym kącie sali ze strażnikami, kuglarzami i z innymi trubadurami. Nie znał

z tych ostatnich żadnego. Typowi śpiewacy spotykani w tych stronach, którzy niewątpliwie budzili zachwyt na pomniejszych dworach. Z trudnością powstrzymywał się, by nie patrzeć na główny stół, gdyż tam, między panem i panią na Durenstein, siedział Ryszard. Król był bledszy, niż gdy go widział ostatnio, i miał większą brodę. Ciało pod szkarłatną suknią zdawało się szczuplejsze. Wszyscy obecni na sali mieli oczy zwrócone?; w jego stronę, zaleknieni i przejęci zgrozą.

– [g] że pchnął strażnika w pełnej zbroi ze schodów w wieżę! Takiego narobił hałasu! Zwłaszcza że śmiał się przez cały czas... – Jeden z żołnierzy opowiadał tę historię przy stole Blondela, podczas gdy inni słuchali, kiwając głowami, jak by słyszeli już takie rzeczy. Spoglądali z zaciekawieniem na króla, siedzącego spokojnie za stołem, na pożywiającego się lwa.

Pani na Durenstein skinęła Blondelowi przyjaźnie głową, gdy go ujrzała, a on skłonił się nad swym talerzem. Pan na Durenstein, mężczyzna około sześćdziesiąt lat, czerwony na twarzy, miał prawdopodobnie porwoczy temperament, opanowywał się jednak teraz, bo na sali przewodził Ryszard.

Raz tylko podczas obiadu Ryszard spojrzał na Blondela; spojrzał mu wprost w oczy, twarz miał bez wyrazu; potem odwrócił wzrok. Blondel czuł, jak pulsuje mu krew w uszach.

Błękitne oczy pozostały te same i świat był znów taki sam, jak przedtem.

Czas nie istniał, wszystko było trwałe, stałe i niezmiennie.

– Co zamierza cesarz z nim zrobić? – pytał jeden trubadur drugiego. Ten drugi, widocznie dobrze poinformowany, a jeszcze bardziej zadufany we własne zdanie,

odpowiedział: – Mówią, że będzie sąd, ale ja w to wątpię. Myślę, że potrzymana króla dla okupu, i wy-

ciśnie z Anglików, co się da. W każdym razie tak utrzymują. Ale ja mam inną teorię. Nie mogę wam powiedzieć, od kogo to słyszałem, ale z bardzo pewnego źródła, od jednego z mężów stanu. Według niego cesarz nawiązał już porozumienie z Filipem francuskim i z Janem angielskim i obaj dali mu do zrozumienia, że może robić z Ryszardem, co mu się podoba, i pozwolić, aby panował Jan.

– A co zdecydował cesarz? – spytał Blondel przerywając tamtemu, z trudnością ukrywając niepokój; nie można było oczywiście polegać na informacjach tego człowieka, ale wszystko może się zdarzyć, a to rozumowanie_ było logiczne i nigdy mu jeszcze nie przyszło do głowy.

Dobrze poinformowany trubadur zerknął ze złością i odrzekł: – Tego już na pewno nie wiem. Nie przypuszczam, żeby ktokolwiek to wiedział. Widocznie cesarz nie powziął na razie żadnej decyzji, skoro Ryszard jest jeszcze tutaj. Cesarz nie śpieszy się nigdy, jak wiecie. Taka jest tradycja w jego rodzinie i to mądra tradycja.

Trubadur kiwał głową do wtóru własnym myślom, zadowolony zarówno z tego, co powiedział, jak i z cesarskiej rodziny. Z kolei Blondel skinął poważnie głową, przyjmując tę wiadomość jako niezawodną, bardziej prawdziwą od wszystkiego, co mógłby usłyszeć.

– Ano, wszystko jedno, co się zdarzy – powiedział młody trubadur, pochylając się i patrząc na Ryszarda, gdy mówił te słowa i oni się go będą zawsze bali. Założę się, że jeśli postanowią go zabić, to użyją trucizny. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby jakikolwiek kat odważył się go tknąć.

– A co z papieżem? – spytał Blondel.

Dobrze poinformowany trubadur rzucił mu zimne spojrzenie, jak by ta uwaga, jeśli nawet nie niegrzeczna, była wysoce nieprzyjemna. – Tego nikt nie wie – odrzekł takim tonem, jak by rzeczywiście udzielił odpowiedzi na to pytanie.

– Ale tu właśnie leży trudność, jak słyszałem – powiedział młody trubadur, miły młodzieniec o włosach! koloru pomarańczy, piegowaty na twarzy; zdawało się, że trzyma stronę Ryszarda. – Cesarz nie zrobi żadnego posunięcia, póki papież się nie zgodzi, to pewne, a jestem przekonany, że papież nie pozwoli mu zabić Ryszarda.

– Ja też o tym słyszałem – rzekł Blondel, spoglądając na trubadura-bywalca, który choć tak niewiele mógł dostarczyć wiadomości, przemawiał z miną poważną, niby stróż wielkich tajemnic.

, – Cesarz jest ulubieńcem papieża, jako pierwszy z książąt. Gdybym ja był papieżem... – i w tym miejscu trubadur mimo woli wygładził swoje papieskie suknie, zmarszczył się pod ciężarem trzech koron i powie-1 dział, co by zrobił, gdyby był papieżem: posłuchałby cesarza.

Blondel przestał się interesować tą rozmową. Spojrzał na główny stół i zobaczył, że Ryszard zaczął opowiadać jedną ze swych skomplikowanych, nieprzyzwoitych historii. Poznał to po wyrazie jego twarzy i po innych twarzach. Damy poblady i odwróciły wzrok. Ryszard mówiąc gestykulował; niebieskie oczy błyszczały, migotały złośliwą radością. Mężczyźni byli zmieszani; pan na Durenstein poczerwieniał jeszcze bardziej i bawił się ciężkimi pierścieniami na swoich palcach. Mężczyźni w końcu wybuchnęli śmiechem, gdy Ryszard skończył, a kobiety uśmiechnęły się, gdy śmiech samego Ryszarda, brutalny i głośny, rozbrzmiał po wielkiej sali. Wszyscy się śmieli naśladując go; szakale odpowiadały lwu.

Nagle Blondel zaczął się pocić; skóra pod pachami zwilgotniała, a wzdłuż boku ściekała mu strużka potu; xbał się śpiewać. To była najgorsza chwila od czasu, gdy po raz pierwszy śpiewał na dworze, wiele lat temu. Trząsał się. Usiłował zapanować nad wyrazem twarzy, ziewnął

dla odprężenia, ale strach, niewyjaśniony lęk, pozostał. Bał się, że załamie mu się głos, że nie potrafi nawet wydobyć z gardła pierwszych słów. Powtarzał je półgłosem; musi śpiewać, głos nie może go zawieść. A jednak drżał i po raz pierwszy od wielu lat myśli

0 publiczności przerażała go, zamiast pobudzać. Zrozpaczony, zdumiewał się, co mu się stało, co się dzieje,

1 słuchał śpiewu innych trubadurów czując, że mu jest zimno i że cały drży.

Zapowiedziano Rajmunda z Tuluzy i przez chwilę nie poznał tego imienia; potem ktoś go pchnął i począł iść wśród twarzy i głosów, które zlewały się w jego umyśle w jedną, oszałamiającą plątaninę; przedstawił się panu i pani na Diirenstein, skłonił się Ryszardowi i bez jednej myśli, jak by świadomość jego została sparaliżowana, zaczął grać. Pierwsze akordy muzyki ścięły wirujący świat jak lodem, unieruchomiły wszystko, czyniąc każdy obraz żywym i ostrym; potem uświadomił sobie, że śpiewa. Z początku głos miał zduszony i nienaturalny, ale gdy twarze wyodrębniły się wreszcie, gdy mieszanina barw i dźwięków się przetała, głos zabrzmiał wyraźniej, pewniej i wkrótce poczuł, jak wzbija się z piersi silnie i swobodnie i powraca echem z kątów sali. Śpiewał najpierw dla pani na Diirenstein. Potem śpiewał o uwięzionym sercu i patrzył wprost na króla; twarz króla pozostała bez wyrazu.

Gdy skończył, zerwały się liczne oklaski, lecz choć proszono go, by śpiewał dalej, odmówił. Czuł się słaby, spotniał; gdy usiadł przy swoim stole i ujął kubek z winem, ręka mu drżała tak, że cały polał się winem. Nagle, wśród zgietku pochwalnych okrzyków, dosłyszał głos Ryszarda i zobaczył, że król powstał i przemawia.

– Ten piękny śpiew przyniósł mi natchnienie – mówił z uśmiechem, a Blondel poznał ten jego niebezpieczny uśmiech i zastanawiał się, co król ma zamiar teraz zrobić. – Chciałbym zabawić szlachetnych gospodarzy moją własną balladą. – Pan na Durenstein uniósł się z krzesła, jak by chciał zaprotestować, lecz Ryszard dotknął jego ramienia i pan na Durenstein | usiadł natychmiast.

Sługa podał Ryszardowi wiołę i król zaczął śpiewać. Śpiewał o zdradzie, o dworakach angielskich, którzy go opuścili, którzy pozwolili mu zostać w więzieniu; wyśpiewał jedno po drugim ich imiona; gromił tych, co go schwytali, i nikt nie śmiał go powstrzymać." Słuchacze siedzieli zgorszeni i bezradni. Ochrypłym głosem odśpiewał przesłanie, a ostatnie gorzkie słowa zabrzmiały niemal jak warknięcie. Gdy skończył, nikt nie wydał głosu. Pan na Durenstein pobladał zatrwając, jak na takiego krwistego mężczyznę. Nikt nie śmiał bić brawa i Ryszard usiadł, rozejrzał się, wybuchnął nagle śmiechem i głośno zażądał, by mu przyniesiono kości. Nastrój przysł. Pokój napełnił się gwarem oburzonych głosów.

Król spojrział na Blondela raz tylko; kiwnął głową, i uśmiechnął się i przez chwilę błękitne oczy jak by go dostrzegły. Potem Ryszard odwrócił wzrok. Blondel wiedział, co ma robić; zrozumiał niebezpieczeństwo. Nakaz był jasny i mógł wreszcie ruszyć dalej, oddalić się od celu swej wędrówki – nareszcie pewny.

2

Odjechał z Durenstein. Sprzedał kilka diamentów księżnej Walerii i zaopatrzony w wierzchowca i zapasy kierował się na zachód, ku zieleńszemu, łagodniejszemu

W

wzgórzom Francji, porzucał Niemcy i zaczarowane bory.

Jechał przez tydzień. Jechał sam, zatrzymując się na zamkach i w oberżach, spędzając często noce w lesie. Przeprował się przez wielkie rzeki, pokryte łamiącym się lodem, i stawał na wysokich wzgórzach, z których oglądał jeziora niby srebrne zwierciadła, brązowe lasy, a tam, gdzie mieszkali ludzie, ciemną pokrojoną na skrawki

ziemię ich pól. W tej części świata miasta były małe; budynki tuliły się do siebie blisko, jak gdyby bały się lasów i natury bardziej niż człowieka. Ludzie zdawali się spokojni, mówili wolno – lud cichy jak jego krajobraz.

• Potem jechał przez kraj jezior i na brzegu jednego z nich oglądał odejście zimy, gdy pękał lód, a ptaki krążyły po niebie; słońce świeciło jasno, a powietrze owego popołudnia tchnęło ciepłem. Patrzył na to jezioro prawie przez godzinę, a potem, zadowolony, pociągnął dalej nie pozostawiając za sobą śladu ni znaku.

Następnego tygodnia przybył do dużego miasta, położonego nad rzeką. W błękit nieba wystrzelały wieże licznych kościołów, a ponieważ była niedziela, dzwoniły dzwony, pełnym, z dawna ludziom znanym głosem. Mieszkańcy chodzili po ulicach uśmiechnięci, przechadzali się razem, spleceni ramionami; czuło się tu jakąś pogodną lekkość, po części może pod wpływem nadchodzącej wiosny, lecz bardziej chyba dlatego, że nad brzegami tej rzeki kończyły się niemieckie lasy i stąd zaczynał się kraj szczęśliwszy lub przynajmniej, jak dla Blondela, nie tak obcy.

Szedł wąską, błotnistą uliczką, wsłuchany w krzyk dzieci, śmiech kobiet, głosy rozmawiających mężczyzn. Rynek był obszerny z wymyślnie wykonaną studnią w środku. Po rynku przechadzało się wielu ludzi; jasnowłosych ludzi bezchmurnego miasta, poruszających się zwawo w promieniach słońca.

Siedział przez jakiś czas na obrzeżeniu studni, obserwując. Jego koń, cierpliwy kasztanek, stał w pobliżu, uwiązany do kamiennego słupa.

— Jesteście cudzoziemcem, prawda?

Obejrzał się i zobaczył stojącego obok młodego człowieka, młodzieńca o jasnych i prostych jak jedwab włosach i o skośnych orzechowych oczach; chłopak uśmiechał się.

— Tak – odrzekł Blondel, odpowiadając mu uśmiechem.

— Tak myślałem. Wyglądacie jakoś inaczej. Miejscowi ludzie zawsze potrafią odróżnić obcego. Dokąd jedziecie? – Chłopiec usiadł obok niego; Blondel zapomniał już, jak wyglądają życzliwi ludzie, jak wygląda rozmowa z nieznanym bez obawy niebezpieczeństwa.

Opowiedział mu, dokąd jedzie i coś niecoś o tym, gdzie bywał. Chłopiec słuchał. Był czysty i rumiany, miał krzepką budowę ciała, duże czerwone ręce, suknią schludną, lecz znoszoną.

— O, to jest życie – rzekł, gdy Blondel opowiedział mu coś niecoś o wyprawie krzyżowej. — Oczywiście słyszałem już przedtem różne opowieści. Często przychodzę do studni, jak nie mam nic do roboty u mojego ojca (on ma oberżę). Tutaj mogę rozmawiać z podróżnymi swobodniej niż tam, kiedy mnie pilnuje.

— Ile masz lat?

— Osiemnaście jak obszył. Chciałem się zaciągnąć do straży naszego księcia—o, tam jest jego zamek. — Wskazał na wieże, skupione na horyzoncie od wschodniej strony, widoczne spoza miejskich dachów. — Ale mój ojciec mi nie pozwala, więc pracuję u niego; robię prawie wszystko. A wy jak się nazywacie? Ja jestem Karl.

Blondel powiedział mu swoje imię, to prawdziwe. Chłopiec spojrział na niego ze zdumieniem i szacunkiem. — To wy jesteście tym Blondelem od Ryszarda, naprawdę?

Blondel zaśmiał się. — Nie wiedziałem, że tak mnie nazywają.

— Słyszałem moc waszych pieśni. Każdy prawie trubadur, który tu przybywa, śpiewa wasze ballady i opowiada różne historie o was i o Ryszardzie.

I Blondel, który lubił pochwały, słuchał z zadowoleniem, gdy Karl opowiadał mu legendę jego własnego życia. Słuchając, myślał, jakie dziwne rzeczy ludzie opowiadają o człowieku; jakie wymyślają historie, jak tworzą sobie postać, która w dobrym czy w złym przystaje do ich własnych potrzeb; fakty pozostawały prawdziwe tylko wówczas, gdy pasowały do tego obrazu, jaki im dogadzał, po prostu jako ramy,

na których wspierała się treść legendy. Stwierdził, że postać przez nich wymyślona nie była podobna do żywej; postać utkana z marzeń, odzwierciedlająca wszystko, czego brakowało jej licznym twórcom, czego pragnęli, lecz nigdy w rzeczywistości nie oglądali, czego nie mogli nigdy zrealizować w prozaicznej rzeczywistości ich własnego żywota. I tak słuchał opowieści o Ryszardzie i Blondelu w Palestynie, słuchał tego chłopca o wielkich oczach, który go chłonał wzrokiem, który nie widział w nim zmęczonego podróżą i niemłodego już trubadura, lecz twórcę ballad, czarodzieja, królewskiego przyjaciela i świadka wielkich bitew. Blondel posmutniał nagle, gdy zrozumiał, że naprawdę był tym wszystkim, co opisywał chłopiec; pragnął zobaczyć siebie takim, jakim widział go w swej legendzie młodzik, lecz ponieważ żył stale osaczony teraźniejszością, życiem rzeczywistym, niosącym mu strach i ból, nie miał czasu zastanawiać się nad tym, co przedstawia sobą jako człowiek, czym jest dla innych – dla tych młodzieńców, którzy mieszkają w przyjemnych miastach nad wielkimi rzekami, gdzie Ryszarda uważano za wysłannika boga wojny, a Saladyna za wysłannika diabła. Potem zaczął się zastanawiać nad tym, czy jego długa podróż dobiegnie kiedyś końca, czy będzie mógł kiedykolwiek usiąść i rozważyć swoje życie, przypomnieć zdarzenia, pozostające poza bezpośrednim zasięgiem przeżyć... Wesoł się tchnął. Nic z tego. Był niby ta kawał lodowa na rzece, dotykał w przelocie innych kawałków lodu, mknął szybko, bezwolnie z biegiem rzeki i z wolna, nieubłagane malał, aż wreszcie roztopi się zupełnie, woda połączy się z rzeką i spłynie do morza, życie przemieni się w śmierć, a śmierć może w coś jeszcze, lecz wszystko z prądem, z biegiem rzeki, zawsze w ruchu, posłuszne księżycowi i przyptywom.

– Czy może nie czujecie się dobrze? – spytał chłopiec. – Jedliście już co?

– Co?... O, tak czuję się zupełnie dobrze. Trochę jestem zmęczony, to wszystko. Podróżuję od kilku miesięcy. Tak, chętnie bym coś zjadł.

– To dobrze, możecie przyjść do gospody ojca. Ja niedzielne popołudnia mam czasami wolne, ale i tak was zaprowadzę. Będzie zadowolony, jak do niego zajedziecie.

Ojciec był chudy, gderliwy, lecz miał szacunek dla pieniądza. Blondel, jedyny ważny gość wśród podróżnych, dostał osobny pokój. Zjadł obiad wcześniej, przed innymi. Usługiwał mu Karl. Po obiedzie, zmęczony udał się do swego pokoju; przyjechał z tak daleka. Leżał na wznak, małe okno nad łóżkiem było uchylone; słuchał dalekiego głosu dzwonów, tego głosu wszystkich niedziel swego dzieciństwa.

Obudził się nagle. Przez okno wlewało się światło księżycowe i pokój lśnił srebrem. Zmarszczył brwi, usiłując

przypomnieć sobie, gdzie się znajduje; potem, gdy sobie przypomniał, chciał zamknąć okno, żeby nie przeszkadzało mu księżyc, lecz jakiś głos powiedział: – Nie, zostawcie otwarte.

– Kto tam?

– Karl. Chyba się nie pogniewacie. Wiem, jacy jesteście zmęczeni, ale muszę z wami pomówić.

– O czym? – Blondel usiadł na łóżku, oparty plecami o grubo ciosaną, drewnianą ścianę. Chłopiec wyszedł z ciemnego kąta i stanął w blasku księżycy. Znow się zdawał nierzeczywisty, niby srebrny posążek, wyrzeźbiony w czasach starożytnych. Stał przy łóżku, patrząc na Blondela, a potem powiedział: – Chcę stąd wyjechać i wędrować z wami, jeżeli pozwolicie. Nie mam pieniędzy, ale mógłbym się wam przydać. Jestem bardzo silny i mówię po francusku i po niemiecku, i umiem walczyć. Nie boję się niebezpieczeństwa ani innych rzeczy. Przynajmniej nie bardzo się boję, a poza tym umiem gotować, a to jest ważne w podróży i... no więc, czy mogę jechać z wami? Proszę was, panie!

Blondel uśmiechnął się słysząc, z jaką powagą chłopiec przemawia, lecz uśmiech w ciemności był niewidoczny. – Ale co zrobisz, jak przyjadę do Anglii? Nie będę podróżował wiecznie, przynajmniej mam nadzieję.

– Och, zaciągnę się do armii Ryszarda i pojadę na wyprawę krzyżową. Tego bym właśnie pragnął. To znaczy, chciałbym bardzo jeździć z wami, ale chciałbym też pojechać do Palestyny. Wy nie wiecie, jak to jest, kiedy się mieszka w takim miejscu, gdzie nic się nie dzieje – przynajmniej za moich czasów nic się tu nie zdarzyło – gdzie co dzień widzi się tych samych ludzi i słyszy się, jak mówią te same rzeczy.

– Wiem, jak to jest – odrzekł Blondel i wspomniawszy swoje własne dzieciństwo w Artois, wspomniawszy je z tęsknotą i zastanowił się, czy będzie mógł kiedykolwiek powrócić do takiego życia, jakie prowadził będąc chłopcem, do takiego życia, jakie pędził teraz Karl; bezpieczny, zadowolony, w znanym rytmie dnia, otoczony ludźmi, których zawsze znał, którzy nie mogli go ani zadziwić, ani mu zagrozić. Pozazdrościł temu chłopcu, lecz. powiedział:

– Jeśli chcesz jechać ze mną, wezmę cię chętnie. Ale co twój ojciec na to powie?

– Och, nie będzie nic wiedział, póki nie odjadę. – Chwilę się zatrzymał. – Tak się cieszę, że pozwalacie mi z wami jechać. Nigdy nie pojmiecie, jak chciałbym stąd odejść... – Chłopiec urwał i stał cicho nie znajdując już słów, połyskliwy w świetle księżycy; potem usiadł na łóżku.

– Ja mam nawet konia – rzekł.

– Właśnie miałem cię o to zapytać. Czy to twój własny?

– No, tak jak by. Ojciec powiedział, że mogę go używać, kiedy chcę... On ma kilka koni, wiecie, i dlatego myślę, że nie stanie się nic złego, jak mu tego zabiorę. Nigdy mi nic nie płacił za pracę w oberży, a pracuję tu od dziecka. Ale myślę, że trzeba by wyruszyć bardzo wcześnie.

– Tak, to dobra myśl. Kradnę mu syna, a syn kradnie mu konia. Pewno będzie zły.

Chłopiec zachichotał. – Chciałbym widzieć jego minę – rzekł. A potem: – Będziemy musieli wyruszyć przed świtem. Ojciec budzi się o świcie, ale ja się obudzę przed nim. Zawsze wstaję pierwszy. O, to będzie wspaniałe... zwiedzać miasta i podróżować z kimś.

Niebo było jeszcze ciemne, gdy wymknęli się z oberży tak cicho, jak tylko mogli, odjechali wąskimi uliczkami i przez bramy miasta wydostali się na równinę za rzeką.

Nie mówili nic, aż zaczęło dzień. Niebo od wschodu z czarnego stawało się szare, blado-brudno-szare. Potem poszarzało całe i wiatr ustał. Przejrzysta czerwień zjawiała się na skraju horyzontu i w ich oczach wstęgi tej czerwieni pomknęły w niebo; a niebo, na którym zakwitły barwy, pojaśniało nagle i wtedy słońce, pławiąc się w kolorach, wstało i znów był dzień.

– Zdaje mi się, że dawno nie oglądałem świtania – powiedział Blondel. Głos jego przerwał ciszę, położył kres nocy i na chwilę oddalił srebrne zjawisko.

– Ja go oglądam co dzień – odrzekł Karl, rozluźniając płaszcz, gdyż grzało już słońce. – Nie mogę nawet pojąć, jak by to było, żeby zaczynać dzień nie widząc, jak słońce wschodzi.

– Czy już czujesz się inaczej?

Chłopiec skinął głową, pokazując w uśmiechu równe, białe zęby.

– Tak, już. Gdybym był w domu, czyściłbym teraz stajnię. Ta jazda jest taka właśnie, jak myślałem. Nic nie ma do roboty, tylko się ogląda miasta i przeprowia przez rzeki.

Blondel roześmiał się, zadowolony, jak by to on wynalazł podróżę, ucieszony radością towarzysza. – W tym się kryje znacznie więcej – rzekł rozsądnie. – Mimo

wszystko jedziemy do jakiegoś określonego miejsca i kiedy tam przybędziemy, będziesz musiał pomyśleć, co z sobą zrobić.

– Ale ja myślałem, że trubadurowie po prostu tylko podróżują i nigdy się nigdzie nie zatrzymują na dłużej.

– W pewnym sensie to może prawda, ale tym razem muszę jechać w określone miejsce i wykonać pewne zadanie. A potem... no, to wszystko zależy od wielu rzeczy. W każdym razie nigdy nie przewiduję zbyt daleko naprzód.

– Ja też nie – odrzekł Karl. I zaczął śpiewać, a jego głos, ku zdziwieniu Blondela, okazał się dobry, czyś ty i dość głęboki. Zaczęli śpiewać razem i Blondel nauczył go wielu pieśni, a on także nauczył Blondela kilku piosenek, śpiewanych w jego miasteczku.

Blondel był szczęśliwy. Od wielu miesięcy nie czuł się równie wypoczęty, bezpieczny; mógł przebywać z kimś, kogo lubił, rozmawiać, kiedy miał na to ochotę;; śpiewać, kiedy mu się chciało, a gdy miał chęć – milczeć przez kilka godzin z przyjemnym uczuciem, że ma towarzysza. Karl był doskonałym towarzyszem instynktownie wiedział, kiedy milczeć, a kiedy być wesołym, i bardzo się Blondelem zajmował, przygotowując jedzenie, gdy byli w drodze, wyszukując obozowiska, gdy przybywali do miast. Przyjechali do Paryża i Karl cudował się wielkością tego miasta, podziwiał ogromne kościoły na wyspie i pałace na brzegach Sekwany;; W Paryżu spędzili tylko jeden dzień; Blondelowi wystarczyło jednego dnia, by się dowiedzieć, że Jan zawarł porozumienie z Filipem Augustem, że Ryszarda uznano oficjalnie za zmarłego, a Anglia podzieliła się na dwa obozy; Longchampa i Jana.

Jechali przez okolice, które pokrywały się zielenią. Małe żółto-zielone kwiatki złościły się w gałęziach drzew, a śnieg zmieniał się w wodę, która z kolei zmieniała czarną ziemię w błoto. Jechali ku morzu, jak najmniej się zatrzymując, unikając miast, skracając jak najbardziej drogę.

Pewnego późnego popołudnia, gdy niebo zbladło i lśniła na nim tylko jedna wieczorna gwiazda, ujrzeli przed sobą morze, szare w tym oświetleniu, wzburzone ostrym wiatrem, który dął im w oczy i przynosił zapach soli.

– Tam jest, o tam. – Majtek pokazywał otyłego człowieka w kapturze i mnisim habicie. Grubas wpatrywał się w wybrzeża Francji zacierające się w morskiej mgle. Blondel skinął na Karla, aby został na miejscu, a sam podszedł do duchownego.

– Mówiono mi, panie, że jesteście biskupem Salisbury. .

– Hm... tak, tak, to ja. – Biskup patrzył na niego jasnymi, zasnutymi mgiełką oczyma, które odbijały mocno od jego ostrych, wyrażających rzeźbionych rysów, kontrastujących z kolei z wielkim, bezkształtnym ciałem.

Blondel przedstawił się. Biskup widocznie się zdziwił. – Wydaje mi się, że was znam. Słyszałem, jak śpiewaliście w Londynie, gdy byliście tam z królem. Byliście też w Palestynie, o ile pamiętam.

– Tak, byłem tam. Byłem z nim także wtedy, gdy go pojmano.

Biskup wskazał mu ławę w przodzie statku.–Usiądźmy. Longchamp wysłał mnie, abym się dowiedział, co mu się przydarzyło... W Anglii szerzą się pogłoski, że król nie żyje. Ale dowiedziałem się od rycerza, którego spotkałem w Paryżu, że żyje.

– Czy ten rycerz przekazał wam wiadomości ode mnie?

Biskup skinął głową.

Blondel opowiedział mu historię pojmania Ryszarda i o jego bytności w Diirenstein. Zapytał, dlaczego rycerz nie udał się do Anglii, dlaczego wcześniej nie zawiadził wiadomości.

– Mówił mi dlaczego, ale niestety zapomniałem. Zdaje się, że miał jakieś ważne rodzinne i nie mógł wrócić od razu.

– A ja myślałem, że już wszyscy w Anglii wiedzą, że Ryszard jest w niewoli! – wykrzyknął z rozpaczą - Blondel.

– Właściwie to tak – odrzekł biskup. – Wiedzieliśmy, że został pojmany, ale tyle mieliśmy sprzecznych wiadomości, że niepodobna było się zorientować, która z nich jest prawdziwa. Z początku słyszeliśmy, że statek zatonął i król się utopił. Potem część kompanii, która wylądowała z nim... chyba w Zara, prawda? – przybyła do Anglii i w ten sposób dowiedzieliśmy się, że nie utonął; potem słyszeliśmy, że Leopold wziął go do niewoli. Mieliśmy wyprawić posłów, kiedy książę Jan oznajmił, że dostał wiadomość o śmierci Ryszarda. Po tym już zapanowało w Anglii całkowite zamieszanie. Sądzę, że Jan sprawuje już władzę królewską w niektórych częściach kraju – jeśli nie nominalnie, to faktycznie. Longchamp z królową są w Londynie i starają się jakoś utrzymać jedność w kraju. Miesiąc temu Longchamp wysłał mnie do Europy, żebym się wywiedział dokładnie, co się wydarzyło. No i tak się stało, że nie ujechaliśmy daleko poza Paryż, kiedy spotkaliśmy tego waszego rycerza, a prócz tego dowiedziałem się przez moich szpiegów na dworze Filipa, że cesarz odebrał Ryszarda Leopoldowi... czy to prawda? Tak? I że Jan wie o tym wszystkim od dłuższego czasu.

– Czy królowa nie ma żadnego wpływu na Jana? – spytał Blondel, mając na myśli, jak zawsze, Eleonorę Akwitańską, a nie żonę Ryszarda.

Salisbury wzruszył ramionami i poprawił się na ławie. – Nikt nie ma wpływu na ludzi, którzy posiadają wojsko. Wszystko, co królowa może zdziałać, to starać się zapobiec wojnie domowej, trzymać Jana z dala od Londynu, póki się da.

– Czy myślicie, że będzie wojna domowa?

Biskup smutnie pokiwał głową. – Tak, myślę, że będzie. Jak długo uda się ją odwlec, nie wiadomo. Mam nadzieję, że do powrotu Ryszarda. Nie mieliście możności rozmawiać z nim w Durenstein, prawda?

– Nie, ale porozumieliśmy się. Śpiewem.

– To dobrze. Rad bym wiedzieć co by on nam teraz poradził.

– Chyba to, żeby wydostać go jak najszybciej z Niemiec. Przypuszczam, iż pewien jest, że Anglicy już wiedzą o jego uwięzieniu i że za sprawą Jana nie robią nic dla jego uwolnienia.

– No, teraz będziemy działać. Longchamp wyśle posłów do cesarza, żeby dowiedzieć się o wysokości okupu...

– A Jan? A traktat z Filipem?

– O tym też słyszeliście? – Brwi biskupa uniosły się jak skrzydła mewy w locie. Blondel skinął głową.

– To najtrudniejsza część całej sprawy – mówił Salisbury, pocierając sobie nos w zamyśleniu. – Nie wiem, jaki to był traktat ani, nawet czy rzeczywiście był jakiś. Na pewno zawarli jakieś porozumienie i myślę, że sprowadzi to prędzej czy później wojnę z Francją. Pewnie w tym miesiącu dowiemy się, jaka ugoda stanęła między Filipem i Janem. Mamy doskonale działającą służbę informacyjną w Paryżu, znakomicie działającą. – I biskup uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Czy myślicie, że nie ma sposobu, aby wysłać armię na pomoc Ryszardowi?

Biskup potrząsnął głową. – Żadnego sposobu. Nawet gdybyśmy mogli ją zebrać, trzeba by przeprowadzić ją przez Francję, a potem przez Niemcy, dwa wrogie kraje. A gdybyśmy zebrali armię, cesarz mógłby wtedy zagrozić, że zabije Ryszarda... Nie, obawiam się, że tę sprawę trzeba pozostawić dyplomatom i politykom.

x– Co zabierze mnóstwo czasu Mk odrzekł Blondel ze złością.

– Pragniemy odzyskania króla z równą waszej niecierpliwością – rzekł Salisbury, wlepiając blade oczy w Blondela. – Nam do tego pilno, naprawdę, ale musimy działać ostrożnie. Należy unikać fałszywych posunięć.

– Wiecie, że król jest wściekły – powiedział Blondel.

– Rozumiemy to – Salisbury zrobił ręką gest obrony – ale ułożenie planu wymaga wiele czasu, a przeprowadzenie go – jeszcze więcej.

–r Czy wiecie, co zamierza Longchamp?

– No... właściwie to nie. Jak mówiłem, spodziewam się, że wyśle posłów bezzwłocznie i dowie się o warunki.

– Nic więcej?

– A cóż można zrobić więcej?

– Mógłby się udać do papieża i prosić go o pomoc. Mógłby uwięzić Jana...

– Nie, nie, nie! – zaprotestował Salisbury, niezmiernie zgorzchniony. – Co wy mówicie? Wojna domowa to ostatnia rzecz, jakiej byśmy sobie teraz życzyli. Jan ma znaczne poparcie u baronów, znaczne poparcie. Nie odważylibyśmy się tknąć go teraz. Nie, tylko sam Ryszard mógłby sobie z nim poradzić. Nie nasza to rzecz ruszać królewskiego brata. Najlepsze, co możemy zrobić, to przewlekać sprawę i utrzymać sytuację, jaką mamy obecnie.

A więc taka była polityka. Blondel nie czuł zdziwienia. Wiele razy słyszał, jak król skarży się na brak wyobraźni swych doradców, na ich nieudolność w działaniu. Na szczęście Ryszard mógł sam przeprowadzać własną politykę i wybrał Longchampa na kanclerza głównie ze względu na jego uległość. Teraz mógł poza-
łować swojego wyboru; Longchamp będzie działał powoli, jeśli w ogóle coś zdziała.

Salisbury wstał, uważnie dostosowując swe ruchy do kołysania statku. Zebrał suknie habitu. Blondel spostrzegł, że był blady, a ręce mu drżały. – Obawiam się – wyjąkał – że muszę się na chwilę położyć. To morze... – Odszedł śpiesznie, a Blondel roześmiał się.

Był teraz sam na przednim pokładzie. Orszak biskupi znikł z oczu tak samo zresztą jak Karl. Blondel patrzył na morze, patrzył nań pełen nadziei, jak gdyby było jednym z tych magicznych zwierciadeł, ukazujących przyszłość; lecz nie ukazało mu nic, wywołując tylko fragmenty przeszłości.

Kolor: szary, poznaczony smugami bieli, a jeśli przyjrzeć się uważnie, ciemny, żywy błękit. prześwitywał spod szarości, spod białych smug piany, piany podobnej do Zarzuconej na morze sieci rybaka. Statek pruć tę szarość, przecinając na chwilę białą, ruchomą powierzchnię wody.

Powietrze: szare na tle białawego nieba, blade od rzadkiej morskiej mgły, lecz przepojone wonią soli i ostre, gdy poruszały je podmuchy wiatru, wiejącego z północy. Mewy, szare jak powietrze, niebo i powierzchnia wody, przelatwały z krzykiem, wirowały na wietrze niby złowieszcze wróżki, opadały na wodę, płynęły na falach i znów się podrywały.

Już francuskie wybrzeże znikło z oczu, a przed nim majaczyły w oddali za mgłą brzegi Anglii, tej zielonej wyspy, którą Ryszard rządził, lecz tak rzadko odwiedzał. Nikt z Plantagenetów nie lubił zbyt długo przebywać wśród Anglików. Ryszard spędził w Anglii zaledwie kilka miesięcy, choć tam się urodził, w mieście zwanym Oxford. Sam Blondel raz tylko był w Anglii, w czasie koronacji króla. Wkrótce potem odpłynęli na wyprawę krzyżową.

yi ■

Kj^J Twarz miał zmarzniętą i mokną od bryzgającej wody, ale wpatrywał się w zwierciadło, nie mógł się oderwać od obrazów przeszłości, oprawionych w ramy szarego morza.

W morskiej tafli ujrzał szarość oczu Amelii. Co się z nią dzieje? Noc, spędzona przy ogniu, ciepła, cich[^] noc, w której nie było innych głosów prócz szybkich, regularnych uderzeń ich serc. Co by się stało, gdyby był nalegał, aby z nim odeszła? By opuściła kraj lasów i poszła z nim do miast? Wiedział. Znudziłaby mu się. Z czasem przestałaby go interesować i nigdy by nie pojęła dworskich manier; zestarzałaby się, twarz jej nabrałaby surowego, krytycznego wyrazu, oczy patrzyłyby na niego bez zrozumienia i współczucia i żyliby razem milcząc, starzejąc się, każde czekałoby na śmierć drugiego bez nadziei na rychłe uwolnienie. Mówił sobie, że tak by się stało, ale gdyby teraz mógł ją mieć przy sobie... fala rozbiła się w białą pianę i szare oczy znikły w bieli.

¿. Ryszard w Chinon, przyjmujący z uśmiechem wiadomość o przekleństwie rzuconym nań przez ojca, o przekleństwie umierającego. Blondel zamyślił się o tym dziwnym człowieku, którego szukał po całej Europie, i zastanawiał się, czy Ryszard miał jakieś uczucie dla niego, dla kogokolwiek; ten Ryszard, który nigdy nie dostrzegał ludzi. Zdawało się, że nikt do niego nie dotrze, a jednak przypominał sobie, że Ryszard czasem spoglądał na niego, tak jak by go widział naprawdę, czasem się uśmiechnął, zrobił jakiś ruch lub wyrzekł jakieś słowo, jak by na coś odpowiadał. Tak, zdarzało się, że Ryszard go dostrzegał i dla tych chwil, zarówno jak i dla jakichś nie znanych jeszcze chwil w przyszłości, nie żałował swych poszukiwań króla i wszystkiego, co przeszedł. Ryszard, Ryszard, Ryszard...

xMorze powtarzało to imię, powtarzały je w nieskończoność fale. Niosło się z fali na falę, z Francji do Anglii i z powrotem do Francji.

Myślał teraz o umarłych, o tych, co utonęli w morzu. Widział tonące okręty, wyobrażał sobie, jak by to było, gdyby ten statek tonął; zimna woda wokoło, wciągająca w głąb jego ciało, wypierająca powietrze z piersi, dławiąca uderzenia serca. Unosiłby się na powierzchni opuchły, a potem po pewnym czasie (po jakim czasie?) opadłby na dno morza i leżał tam pośród zamulonych szczątków okrętów, wraz z innymi ciałami: Rzymian, Wikingów i Normanów; leżałby tam na wieczność, jak we śnie, wśród zapomnianych zmarłych.

Przejęło go nagle zimno. Morze nie dawało mu już obrazów, nie odbijało przeszłości i nie szeptało żadnych imion. Woda była szarym kręgiem, a w środku tego kręgu płynął statek oglądany przez mewy. Zaciągnął szczelniej płaszcz u szyi. Roztarł twarz, aby ją rozgrzać, a potem opuścił pokład i poszedł do Karla.

4

William Longchamp, biskup Ely, legat papieski i Kanclerz Koronny Anglii, nie czuł się dobrze. Siedział przy swoim stole w długim, zimnym pokoju, okryty grubym, futrzanym płaszczem, poplamionym łojem świec i resztkami jadła z kilku uczt. Był chudy, szyję miał zgiętą jak gdyby pod niewidzialnym jarzmem, twarz obrzmiałą i pooraną zmarszczkami, zielonkawą chorobliwą cerą i wiecznie zmarszczone brwi. Często pokaszliwał w rękę lub w futrzany kołnierz płaszcza. Zakrzywione palce nie nosiły pierścionków i chwyciły za pióro gestem tak naturalnym, jak dłonie innych chwyciły rękę miecza. Drewniany stół zarzucony był zwojami pergaminu; na drugim stole, za jego krzes-
łem, leżały grube księgi. Choć było to południe, światki'ienne nie przenikało do pokoju i jedyne oświetlenie stanowiło kilka świec umieszczonych w pobliżu krzesła Longchampa. Dwóch mężczyzn w ciemnych sukniach, zielonkawych na twarzy niewątpliwie z sympatii dla swego pana, dwóch sekretarzy, przesuwało[^] się w przyćmionym świetle, nosząc papiery i pisząc w księgach. Longchamp skinął na przybyłych, wskazując im miejsce obok siebie na ławie. Światło padało wprost na ich twarze, podczas gdy jego twarz skrywała się w cieniu.

Salisbury, oddziany w szaty kościelne, przemówił pierwszy, a Blondel słuchał. Longchamp marszczył się, pokaszliwał i obracał w palcach zwoje pergaminów.

– Widzicie – rzekł na zakończenie Salisbury – to prawie niewątpliwe, że cesarz trzyma Ryszarda dla okupu.

– Wiem, wiem... — Longchamp zrobił gest irytacji, widocznie biskup nudził go wyjaśnianiem rzeczy oczywistych. Potem zwrócił się do Blondela. – A co wam mówił król?

– Nie rozmawialiśmy ze sobą w Diirenstein.

– Nie rozmawialiście? Myślałem, że byliście w zamku.

– Byłem, ale nie miałem możliwości z nim rozmawiać. Jednakże zrozumiałem go. – Jak to się stało?

– Śpiewaliśmy. On śpiewał balladę, którą napisał, i z niej łatwo można było wywnioskować, czego chce i co czuje.

– O, ja wiem, czego on chce – rzekł Longchamp ostro. §|| Bez wątpienia chce, żeby go zwolnili. Ale jak waszym zdaniem zapatruje się na naszą sytuację?

– Przede wszystkim gniewa się na angielskich panów i uważa, że nic nie robią, aby go ratować. W swojej balladzie wytknął ich nawet... po imieniu.

– No cóż, nie możemy zrobić nic więcej ponad to, co już zrobiliśmy – powiedział Longchamp marszcząc się i spoglądając na Blondela, tak jak by to on oskarżał dostojnych panów. – Musimy wziąć pod uwagę wiele innych rzeczy. Sytuacja jest delikatna i należy działać ostrożnie. Mimo wszystko aż do tej chwili nie mieliśmy oficjalnej wiadomości, że król żyje. Nic nie mogliśmy przedsięwziąć, pókiśmy nie wiedzieli dokładnie, gdzie on jest, a także czego chce od nas cesarz lub Leopold – którykolwiek z nich go trzyma. Niech mi jednak wolno będzie powiedzieć, że nie próżnowaliśmy. – Dotknął ręką pergaminów. – To wszystko raporty dotyczące króla. Och, nie wyczekiwaliśmy biernie... cokolwiek by król o tym myślał, robiliśmy wszystko, co możliwe. Jego Królewska Mość zawsze był niecierpliwy. Nigdy nie doceniał trudności i nie rozumiał zwłoki w rokowaniach. – Longchamp spojrział z nieszczęśliwą miną na dokumenty leżące przed nim, z których każdy, bez wątpienia, świadczył o jakiejś trudności i zwłoce.

–¹ A co słyszeliście o zamiarach cesarza? Jakie pogłoski? – Spojrział na Blondela po raz drugi podczas tej rozmowy, a Blondel odwrócił oczy; brzydota tej twarzy była przerażająca.

– Niewiele. Słyszałem tylko pewne pogłoski... Odniosłem wrażenie, że król będzie sądzony przez cesarza.

– Ja także o tym słyszałem – rzekł Salisbury z ważną miną. – W Paryżu mówiono...

Longchamp spojrział na niego i biskup urwał nagle. Blondel mówił dalej: – Uważam, że ustalą wysokość okupu podczas procesu. I jestem całkiem pewien, że do tego czasu nic królowi nie zrobią.

Longchamp skinął głową i zakaszlał. – Ja też jestem tego pewny, o ile naturalnie nie wyślemy mu na od-

siecz armii, tak jak życzą sobie niektórzy z naszymi przeciwników, jak sobie tego życzy na pewno sam król. – Nie, musimy prowadzić dalej rokowania. Wyślę do Niemiec posła z końcem tygodnia i może jednego; do króla Filipa.

– Słyszałem – rzekł Blondel, przerywając Longchampowi, choć zdawał sobie sprawę ze swej niegrzeczności – że Filip i Jan podpisali jakąś ugodę, jakiś traktat.

Longchamp spojrział na niego poruszony. Salisbury również zdawał się zaniepokojony. – Zawsze się szerzą różne plotki – odparł wreszcie Longchamp niepewnie. – Wiemy, jak się do nich odnosić. Książę Jan jest teraz w Anglii. Nie widzę

sposobu, żeby mogli coś ostatecznie podpisać razem z Filipem. – Patrzył na Blondela z błogim wyrazem, jak gdyby to, co powiedział, było nie tylko głęboką mądrością, ale także i jedyną prawdą. Potem kanclerz powstał, wstali i oni. – Możecie tu pozostać, jak długo chcecie – zwrócił się do Blondela prawie dobrotliwie. – A wy, biskupie, zgłosicie się do mnie jutro – rzekł do Salisbury'ego, który powiedział, że się stawi, i oddalając się mrucał wyszukane wyrazy szacunku.

Rozstali się w korytarzu i Blondel poszedł przez wielkie, kamienne sale do tego skrzydła zamku, gdzie zamieszkał z Karlem. Ich pokoje były stosunkowo ładne; ściany zawieszono nowymi tkaninami, a w tej chwili żółte światło słońca wlewało się do komnaty złotą smugą, wirującą pyłem.

Karl, przepasany tylko chustą na biodrach, naprawiał suknię. Powitał Blondela uśmiechem. – Nauczyłem się tego w domu – powiedział. – Zawsze uważałem, || byłby ze mnie dobry krawiec. Musiałem się tego nauczyć, kiedy mi umarła matka. – Odgryzł nitkę. – JaK

poszło wasze spotkanie z tym... jak mu tam? Kanclerzem?

– Z Longchampem? Mniej więcej tak, jak przypuszczałem. – Ściągnął płaszcz. W pokoju było przyjemnie ciepło. Położył się na łóżku i zamknął oczy; pod powiekami migotały mu świetliki, zielone, wirujące krążki światła; czuł ciepło w stopie tam, gdzie padał słoneczny promień.

– Czy ma zamiar coś zrobić dla króla?

– Och... z biegiem czasu, tak. Ale to się przeciągnie w nieskończoność. Poruszył głową w tył i w przód, krążki światła zbladły, przyjmując barwę ciemnej czerwieni.

– Co będziemy teraz robili, jak już widzieliście tego... Longchampa? – Mówił zawsze "my", a Blondel ku swemu zdziwieniu polubił to, polubił poczucie przynależności do kogoś, nawet w tak przypadkowych słowach. Był komuś potrzebny; to takie dziwne, być komuś potrzebnym. Wiedział, że chwilami Ryszard potrzebował jego towarzystwa. Ale Ryszard miał zawsze tylu towarzyszy, i Blondel wiedział, że nigdy mu nie był rzeczywiście potrzebny, aż do tej chwili, kiedy wyruszył, samotnie, na poszukiwanie króla, na tę powrotną podróż do tego, co było osią jego życia. Lecz teraz ów chłopiec nieproszony przywiązał się do niego, okazał, że jest mu potrzebny i to samym uczuciem, bez prze-myśliwań. Blondel odpowiedział na to uczucie sympatią, leżącą jak by na marginesie jego uczuć, a może i czymś głębszym. Spojrzał na Karla, który teraz wytrzepywał energicznie kurz ze swojej sukni; miejsce oświetlone promieniami słońca napełniło się wirującym pyłem. .

– Nie wiem – odpowiedział Blondel. – Może zatrzymamy się jakiś czas w Anglii. Powinien bym zobaczyć jeszcze kilka osób, tak mi się zdaje. Chciałbyś się dostać do gwardii?

Trzepanie ustało. – A czy muszę to zrobić? To znają|| czy, czasem mam na to ochotę, ale wy się nie zatrzyma^|| cie długo w Londynie, a jak wyjedziecie znów do Fran-iJJ cji, to co ja zrobię? Czybym nie mógł jechać z wami? Nie sprawiam wam wiele kłopotu.

Miał taką poważną minę, był taki Zatroskany, że Blon- M del roześmiał się. – Możemy pozostać razem, póki Ry-|| szard nie wróci, a potem spróbujesz wstąpić do jegoM gwardii. Może cię kiedyś pasuje na rycerza.

Blondel myślał o przyszłości. Być może, że się ożenili i osiedzie na jakimś dworze. Ale lepiej będzie może po- . ? dróżować z Ryszardem, a Ryszard na pewno, się znów ^ wyprawi do Palestyny albo będzie prowadził wojną -'j z Francją. On sam mógł robić, co mu się podobało. Ma-- A jąc klejnoty księżnej Walerii, był bogatym człowiekiem, i

Zdecydował, że pozostaną przez jakiś czas w Anglii. Zostaną, póki się nie dowie, co tu mają zamiar robić - w sprawie Ryszarda. Potem przyłączą się do niego, jak już będzie wolny, spotkają się z nim na kontynencie i powrócą razem do Anglii.

Wstał. Przez chwilę kręciło mu się w głowie, jak zawsze, kiedy wstawał zbyt szybko. Karl wkładał starannie suknię, poprawiał sobie fałdy. Jego jasne włosy błyszczały w słońcu jak żółty płomień.

– Wychodzicie?

– Nie. Zaraz wrócę. Przypomniałem sobie, że muszą się jeszcze z kimś zobaczyć. W korytarzu spotkał jednego z zielonolitych sekretarzy Longchampa, który w odpowiedzi na jego pytanie poinformował go, że królowa matka, Eleonora z Akwitanii, przebywa na razie w swej rezydencji w Canterbury.

Pola jaśniały, a lasy ożyły również barwami wiosny; plamki zieleni stroiły brązowe szkielety drzew, a ptaki

już powróciły lecąc za słonecznym światłem zgodnie z tradycją.

Jechali w kierunku Canterbury, a że dzień był pogodny, słońce przygrzewało i wszędzie pełno było rozedrganej zieleni, więc śpiewali, a ludzie na polach słysząc ich przerywali pracę i słuchali. Wąską drogą wiodącą do Canterbury przesuwali się pielgrzymi, kupcy ze służbą wiozący towary i szlachetni panowie.

Późno po południu ostry wiosenny wiatr przycichł i słońce przygrzało mocniej. Więc gdy przejeżdżali przez zielony las, zbczyli z drogi pod cieniste drzewa. Zatrzymali się na małej polance, gdzie strumień rozszerzał się w staw, z którego wypływał dalej wąskim korytem. Zsiadli z koni i puścili je, by się popastry. Blondel siedział na brzegu strumienia i zdjąwszy obuwie, moczył nogi w wodzie. Woda była tak przejrzysta, że gdyby nie widoczny prąd, myślałby, że patrzy na suche łożysko głazów i kolorowych kamyczków, w którym jak ważki migały małe rybki.

Spojrzał na swoje nogi, śmiesznie skrócone pod wodą; skóra na nich była blada, a jasne włoski stawały się czarne, gdy namokły; naprężył mięśnie łydek. Potem rzucił okiem na Karla, który zdjął suknie i sumiennie się szorował. Mył się częściej niż wszyscy ci, których znał Blondel; czasami nawet dwa razy w tygodniu; Karl wyjaśnił, że nabrał tego zwyczaju, gdyż mieszkał blisko rzeki, w łagodnym klimacie. Słońce migotało w kropelkach wody na jego ciele. Pluskając się radośnie w wodzie śpiewał, mięśnie pleców grały mu pod skórą, a wszystko wokół miało żółtawo-zielony odcień wiosny, zaś ziemia była czarna, miękka i pełna oczekiwania.

– Nie jest ci zimno? – Blondel nie znosił zimnej wody; przyzwyczał się moczyc nogi w strumieniach,

ale drżał na myśl o zimnej kąpieli. Morze koło Artoiajj w którym jako chłopiec pływał kilka razy, było cieplej – Wspaniale! I jaka czysta woda. Nigdy nie widział łem takiej czystej wody. U nas woda w rzece jest zwykle zimniejsza i pełna błota. Dziwiłem się często, skąd się bierze tyle błota. Ale tutaj... – Westchnął opryskując wodą nie zarośniętą pierś.

Gdzieś zaśpiewał ptak. Blondel położył się na plecach i słuchał ptaka i bulgotania wody. Ogarnęło go rozkoszne lenistwo. Nucił sobie, zastanawiał się, czy potrafi ułożyć melodię ze śpiewu ptaka.

Nagle otworzył oczy i poderwał się; głowa uderzyła o kamień; spał zatem. Usiadł zesztywniały, z bolącymi stawami. Słońce skłoniło się ku zachodowi, a niebo oblewał łagodny, pomarańczowy blask. Zobaczył konie, uwiązane do drzewa, gdzie stały cierpliwie, od czasu do czasu przestępując z nogi na nogę. Karla nie było. Jego suknie leżały na brzegu, tam gdzie je złożył. Nie widział go nigdzie.

Blondel wstał szybko. Na ziemi nie widać było śladów stóp, ale, rzecz dziwna, jakieś świeże ślady nie podkutych kopyt końskich.

Blondel zaczął nawoływać najgłośniejszym głosem, jak mógł. Z początku odpowiedziała mu tylko cisza i szept wiatru, który ruszał wierzchołkami drzew. Potem, z oddali, usłyszał wołanie. Czekał niecierpliwie, wytrząsając gałązki i kamyczki z ubrania, przeczesując palcami włosy. Nagle usłyszał stuk końskich kopyt tuż obok. Odwrócił się i na chwilę mignęło mu przed oczyma zwierzę oślepiającej białości, na którym siedział okraciem różowy, nagi Karl; lecz natychmiast, nim mógł się przyjrzeć zwierzęciu, nim jego oczy zdążyły przywyknąć do białości, Karl ześliznął się na ziemię, a zwierzę znikło w lasach. Twarz Karla okrywał rumieniec, oczy jego lśniły.–

Czy widzieliście go? – pytał zdyszany. – Czy widzieliście, jak jechałem na jednorożcu?

– To to był jednorożec? Jak mogłeś go osiąść? Myślałem, że nikt nie potrafi jechać na jednorożcu.

– Ja też tak myślałem, ale on się pozwolił osiąść. Wyście usnęli, a ja siedziałem obok na skale i suszyłem się w słońcu, gdy usłyszałem jakiś szmer z tyłu. Obejrzałem się i to był on. Więc podszedłem do niego, jak do każdego innego konia. Wiecie, jak się u ojca zajmowałem końmi. No i nagle wskoczyłem na niego, a on stał spokojnie; sierść miał gładką jak jedwab. Potem zaczął pędzić bardzo szybko, a ja nie mogłem go opanować, więc po prostu się trzymałem i tak jechaliśmy... jechaliśmy przez las i wszystko było inne.

– Inne?

– Tak... ja... no, ja po prostu nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale wszystko było inne. Przede wszystkim było jak by lato. Drzewa pełne liści... przynajmniej tak mi się zdawało, i setki śpiewających ptaków, i to wszystko było jak by ...no, i zdawało mi się, że widziałem dużo ludzi... jestem pewien, że ich widziałem. Jakieś dziewczęta siedziały kręgiem i śpiewały, a potem widziałem... ale to tak trudno wytłumaczyć. Im więcej o tym myślę, tym mniej pamiętam. To śmieszne, prawda? Ale jednorożca przecież widzieliście?

Blondel skinął głową zakłopotany. – Widziałem go.

– Więc myślę, że to wszystko też było naprawdę, ale to takie śmieszne.

Potrząsnął głową bardzo zaintrygowany i musnął ręką gęste, jasne włosy.

– Czy czujesz się zupełnie dobrze? – zaniepokoił się Blondel; w tym było widocznie coś nadzwyczajnego, bo niewielu ludzi widziało jednorożca, a cóż dopiero mówić o dosiadanu go!

– O, tak. Nigdy w życiu nie czułem się lepiej. –

m

Karl uśmiechnął się i przygładził włosy, wypłaszając wspomnienia.

■ ^ No, to ubieraj się. Już późno. Za długo pozosfógl waliśmy tutaj. – I wyjechali z lasów nie widząc nic z tych wspaniałości, o których opowiadał Karl.

Ogród był mały i otoczony ze wszystkich stron wysokim murem. Kilka drzew poczynało się zielenić, a rzędy krzaków różanych, brzydkich i najeżonych kolcami; oczekiwały odpowiedniej na różę pory.

W końcu ogrodu siedziała w porannym słońcu stara kobieta w asyście dwóch młodych dziewcząt, które odeszły cicho, gdy zbliżył się Blondel, prowadzony przez księdza, spowiednika królowej.

Eleonora z Akwitanii postarzała się od tego czasu, { gdy ją widział ostatnio, przed dwoma laty. Włosy pod zasłoną były białe; podtrzymywała je złota opaska, przypominająca koronę, jaką noszą królowe. Jej kwadratową twarz przecinały dwie głębokie bruzdy biegnące od brzegów wielkiego nosa do brody; szczękę miała wystającą, cienkie i blade usta, po których przebiegało niekiedy nerwowe drżenie; ręce też jej drżały. Niemniej jednak zdawała się cieszyć dobrym zdrowiem. Spojrzała

na niego przejrzystymi błękitnymi oczyma, oczyma Ryszarda, i przemówiła głębokim, niekobiecy glosem: – Słyszeliśmy już, że przybyłeś do Anglii. Cieszę się, że mnie odwiedziłeś; i tak bym zresztą posłała po ciebie. Zostawcie nas, ojczyzna — to do księdza. A potem: —" Opowiedz mi o Ryszardzie.

Blondel opowiedział wszystko, co się zdarzyło. Od czasu do czasu kiwała głową, lecz nie robiła żadnych uwag, póki nie skończył. Przerwał opowieść na tym, jak powrócił do Anglii; nie opisywał rozmowy z Long- champem, chciał na razie tego uniknąć.

– Czy nie słyszałeś nigdy, żeby mówili o Montferracie? – To było nieoczekiwane.

– No, i tak, i nie – zaczął, usiłując odgadnąć, co miała na myśli.

– Chciałam powiedzieć, czy słyszałeś, że to ma być jeden z zarzutów, jakie podniosą przeciw Ryszardowi podczas procesu?

– Tak, słyszałem, że to będzie jeden z zarzutów, choć głównym zarzutem ma być podpisanie rozejmu z Sa- ladinem.

Zamyślona, skinęła głową, bawiąc się złotym łańcuchem u szyi.

– Czy myślisz – powiedziała wreszcie z wolna, z oczyma utkwionymi w jedno z drzew, które oglądała uważnie, jak by ją urzekło – czy myślisz, że Ryszard rzeczywiście zamordował Montferrata?

– Nie, myślę, że nie. Wiem, że prawdopodobnie chciał to uczynić, ale mi powiedział, że zrobił to ktoś inny. Montferrat miał wielu wrogów.

– Tak trudno wiedzieć, co jest prawdą. Niektórzy utrzymują, że Ryszard go zamordował, inni mówią, że nie. Oczywiście w zwyczajnych okolicznościach to by nie miało znaczenia, lecz te okoliczności są bardzo niezwykłe. Ale rozumiesz chyba, dlaczego chcę być pewna, że Ryszard nie zabił Montferrata. Rozumiesz? – Zwróciła się do Blondela i spojrzała na niego tak nagle, że drgnął.

– Nie... ja ... nie rozumiem.

Westchnęła i przymknęła oczy, szepcząc: – Papież, papieża trzeba o tym upewnić.

– Złoty łańcuch zabrzączał w jej ręku.

– Ale... jeszcze nie rozumiem.

– Nie wolno ci nic o tym mówić – rzekła otwierając oczy, patrząc wprost na niego, tak jak nie czynił tego prawie nigdy Ryszard. – Skoro zrobiłeś tyle dla nas,

x

dla mojego syna i dla mnie, powiem ci: przygotowujemy ekskomunikę. – Wyrzekła to okropne słowo spokojnie, z widoczną przyjemnością.

– Ekskomunikę na kogo?

– Na cesarza.

Tego już było za wiele. To rzecz prawie niesłychana. To się zdarzyło w historii jak dotąd tylko raz, ale nie w takich okolicznościach. |j| Czy mieliście wiadomości od papieża? Czy zgodził się na to?

Skinęła głową. – Czekamy tylko na pewną wiadomość, że mój syn jeszcze żyje, a także na jakieś upewnienie, że Ryszard nie zamordował Montferrata. Rodzina Montferrat jest papieżowi bliska. Ale teraz możemy działać. Wyślę dziś jeszcze słowo do Rzymu, a potem zobaczymy, co się zdarzy. Zobaczymy.

Usta jej zadrżały spazmatycznie, zastłoniła je ręką. Lecz gdy to nie pomogło, powstała i podeszła do jednego z krzaków róży, udając, że go ogląda.

•– Czy Longchamp wie o tym? Czy zna wasze zamiary? – spytał Blondel.

Potrząsnęła głową, wciąż odwrócona plecami. – Jeszcze nie, ale niedługo mu po-

wiem. Zazwyczaj obmyślam sama swoją politykę, a Longchamp przeważnie się do niej stosuje.

Rozmawiali jeszcze przez kilka minut, a następnie królowa powiedziała: – Mam nadzieję, że cię jeszcze zobaczę. Przyjedziesz do Londynu, prawda? Kiedy wróci Ryszard, okazemy ci naszą wdzięczność, ale tymczasem, jeśli sobie czego życzysz...

– Niczego, Wasza Królewska Mość.

– Zobaczę cię więc w Londynie za kilka tygodni. Powodzenia... Nie odwrócę się już.

Uklonił się w stronę jej pleców i szybko wyszedł z ogrodu, obejrzawszy się tylko raz za królową; stała ciągle, niska i tęga, przy ciernistym, nagim krzaku róży. Wracali do Londynu.

Deszcz padał owego popołudnia, gdy siedzieli pod wąskim drewnianym mostem patrząc na płachty wody rzucane na ukos wiatrem. Niebo było w biało-czarne plamy; nad ziemią wisiały straszliwe, upiorne kształty, postacie ulepione z chmur, białobłękitne błyskawice rozbłyskiwały na krańcu świata, a z otchłani, gdzie kończył się świat, rozbrzmiewał grzmot.

– Słuchajcie go tylko – wołał Karl, starając się przekrzyczeć grzmot. – Słuchajcie, słuchajcie.

– Trudno by było nie słuchać |Jj odparł kwaśno Blondel, drżący, a jego głos ginął w huku grzmotów.

– Co? Ja to lubię. To jak by bicie w bębny.

Huk bębnow jakiejś armii, wynurzającej się z otchłani, armii ciemnych kształtów, najeżdżającej świat, wypuszczającej na ziemię zamiast strzał błyskawice opadające i wystrzelające z wichru. Widmowe wojsko widmowych kształtów, kłębiących się bez ustanku pod komendą wichru; pogromcy słońca, symbole bezkresnych marzeń, początek wszelkiego strachu; niepokojące w swej tajemnicy postacie zmarłych i ostateczny kształt pradawnej grozy.

Niebo pociemniało; deszcz szeleścił w mokrych gałęziach drzew i Blondel patrzył, jak wody wąskiej rzeczki wzbierają gwałtownie. Strużka wody ściekała ze szpary w moście na jego nogę. Strzepnął ją i zatrząsł się z zimna. Spojrzył na Karla, zobaczył wyraźnie jego twarz W nagłym świetle błękitnobiałej błyskawicy, zobaczył, że się uśmiecha tak, jak wtedy, gdy jechał na jednorożcu.

W końcu upiorna armia zniknęła, zapadając się na powrót w przepaść, i bębny przestały warkotać. Niebo rozjaśniło się prędko i słońce znów zaświeciło, wydobywając migotliwe błyski z mokrej trawy. Powietrze pachniało świeżością. Wszystko zaczęło się od początku, prawem cyklicznej odnowy.

Blondel przeciągał się w słońcu, aż zatrzeszczało mu | w stawach, i zastanawiał się, czy ta sztywność, jaką od-| czuwał, była oznaką starzenia się, czy też skutkiem zbyt || wielu nocy spędzonych na wilgotnej ziemi. Prawdopo^JJ dobie od przebywania na zimnie; nie był jeszcze starymi chociaż chwilami odczuwał jakieś niepokojące oznaki; ' czasami serce biło mu zbyt szybko przy wysiłkach fi- .i życzych, a mięśnie, choć jeszcze twarde, często sztywniały i bolały... ale to oczywiście wina pogody. On się nie zestarzeje; nie zmieni się nigdy. I zaczął śpiewać^ aby uczcić tę pewność, trwałość swej młodości, a Karl,-i który nigdy w życiu nie roztrząsał takich spraw, śpie- ^ wał wraz z nim.

Byli w Londynie już od kilku dni, gdy pewnego popołudnia u drzwi ich pokoju stanął jakiś mnich, mały, żwawy człowieczek. Karl polerował hełm, który mu ku-, pił Blondel, a Blondel siedział pod strzelniczym otwo-? > rem, grając na wioli i układając balladę, a raczej usiłując coś ułożyć, bo w Londynie jakoś praca szła mu ciężko; nie było tu żadnego miejsca, gdzie by się zajmowano ; muzyką, żadnego prawdziwego dworu; tylko Long- champ, sekretarze i biskupi – ni kobiet, ni intryg, ni króla.

–Blondel de Neel? – spytał mały mnich, unosząc pytająco brwi. Blondel podniósł się; skinął głową, '¿¿¿

–Czy moglibyście pójść ze mną? Mam do was trochę niezwykłą prośbę. Jest tu, w tym mieście, wasz stary przyjaciel. Ja... mnie nie wolno zdradzić jego imienia, więc nie mogę tego zrobić, ale on jest rzeczywiście/ waszym starym przyjacielem i chciałby z wami pomówić. Mieszka koło Westminsteru i prosił mnie, żebym was do niego przyprowadził. Ja naprawdę nie rozumiem, dlaczego zakazał mi wyjawienia, jak się nazywa, ale... no, to już wiecie... – uśmiechnął się naiwnie.

Blondel spoglądał podejrzliwie, a nawet Karl mimo swej prostoty zmarszczył brwi i przerwał czyszczenie nowego hełmu. — Nie mogę sobie wyobrazić, aby jakkolwiek z moich przyjaciół w ten sposób po ranie posyłał – rzekł wreszcie patrząc na małego człowieczka, który odwzajemnił mu się niewinnym spojrzeniem.

Mnich rozłożył ręce, po to bez wątpienia, aby pokazać, że jest bez broni, że nie ciąży na nim krew. – Naprawdę nie wiem, co powiedzieć – odrzekł. – Jeżeli nie chcecie przyjść, to ja na to nic nie poradzę. Po prostu powiem waszemu przyjacielowi, że odmówiliście. – Odwrócił się, aby odejść.

— Pójdę z wami – powiedział Blondel i przypasał swój miecz. – Mój przyjaciel tu obecny pójdzie ze mną.

– Ale obawiam się... -i— Pójdzie ze mną.

Wzruszenie ramion. – Niech będzie.

Szli przez ulice miasta, wąskie, cuchnące, przepelnione tłumem brudnych ludzi, którzy krzyczeli i przeklinali. Blondel stwierdził, że ze wszystkich miast, jakie znał, najmniej lubił Londyn. Rozumiał lepiej niż kiedykolwiek, dlaczego Ryszard nigdy tu nie chciał zamieszkać.

Przed wielkim, niedawno ukończonym Westminster Hall roślo kilka drzew okrywających się zielenią. Od czasu inwazji normandzkiej wzniesiono w Londynie dużo wielkich budowli. Zamiast jednak skierować się do Westminsteru, mnich poprowadził ich w boczną uliczkę. Zatrzymał się przed małą furtką wykutą w kamiennym murze. Zapukał, mówiąc: – Myślę, że to wejście jest najbardziej dogodne. – Blondel i Karl stali w pogotowiu, z dłońmi na rękojeściach mieczy.

Drzwi się otworzyły i drugi mnich, poznając ich, skłonił się poważnie i odstąpił na bok, aby ich przepuścić. Przed nimi rozciągał się długi korytarz i tędy poprowadził ich dotychczasowy przewodnik. Blondel usłyszał, jak zatrzęsnięto za nimi furtkę, i zrozumiał, że nie powinien był tu przyjść.

Wprowadzono ich do małego pokoju o jednym oknie wychodzącym na podwórze otoczone budynkami – jakieś nieznanne miejsce, zagubione w środku miasta. Przewodnik kazał im czekać, a potem odszedł. Stał tu stół i duże krzesło – jedyne sprzęty w tym pokoju; mały, kamienny kominiek pełen był popiołu i wypalonych węgli. Podeszli obaj do okna i spoglądali na podwórze, szukając jakichś drzwi, jakiegoś wyjścia. Ale nic nie dostrzegli; naga, biała ściana, zarosła brązową płataniną winnej latorośli.

– Blondel de Neel? – przemówił obok cichy głos normandzką francuszczyzną. – Jestem księżę Jan.

Blondel odwrócił się szybko, poznał księcia i ukłonił się. Karl poszedł za jego przykładem. Z księciem wszedł jakiś człowiek, sądząc po ubiorze jeden z biskupów.

– Nie widziałem was od jakiegoś czasu – mówił księżę serdecznie. – Ale zawsze lubiłem wasze pieśni. Zawsze. – Usiadł na krześle za stołem. – Aha, a to jest biskup Coventry – dodał wskazując ciemnowłosego mężczyznę o groźnej twarzy, który stał obok bez uśmiechu. Blondel i Karl skłonili się ponownie.

Blondel obserwował księcia i pomyślał, że wygląda na znużonego i schorowanego. Czarna broda mu siwiała. Zmarszczki mówiące o goryczy i niepokojach porysowały

mu twarz w dziwne trójkąty. Był bardzo blady. Dłonie pozostały tak piękne, jakimi je pamiętał Blondel – długie, białe, ruchliwe. Blondel patrzył na księcia, myśląc, co się teraz stanie i czego od niego zażądają.

Książę powiedział mu, czego sobie życzy. – Słyszałem, że widzieliście króla, mojego brata, w Niemczech. Czy to prawda? – Blondel skinął głową. – Czy był zdrow i cały? – Znów Blondel potwierdził. – Wiem, że mówiliście już o tym z Longchampem. Powiedziano mi też, że przed kilkoma dniami byliście w Canterbury. Myślę, że rozmawialiście z królową? – Ponieważ w jego głosie ciągle brzmiało pytanie, Blondel skinął po raz trzeci.

– Wiecie o tym – mówił Jan patrząc w okno – że istnieją w Anglii pewne rozbieżności zdań co do tego, kto ma prowadzić sprawę państwa pod nieobecność króla. Chyba ogólnie wiadomo, że nigdy nie pochwalałem Longchampa, a wzięwszy pod uwagę prawa sukcesji uważam, że powinienem mieć przed nim pierwszeństwo – to naturalne. Niestety, jak mi się zdaje, nigdy się nie zgadzamy z kanclerzem... – Mówił przez chwilę o polityce. Blondel nie odzywał się, nie zdradzał swego zdania. Wreszcie książę rzekł: – Zależy mi na powrocie Ryszarda do Anglii tak samo jak wszystkim... na jego szybkim powrocie. Ale oczywiście rokowania mogą trwać długie lata, długie lata – powtórzył, oglądając swój palec i marszcząc się, jak by mu się w nim nagle coś nie spodobało. – W każdym bądź razie rokowania należy przeprowadzać ostrożnie. Nie wolno nam działać szybko a nierozważnie i nie możemy grozić... – Przerwał i spojrzał na Blondela, a potem zapytał już innym głosem, nagląco: – Co mówiła królowa? Co zamierza robić?

– Obawiam się, że nie znam jej zamiarów.

– Nie upieraj się, trubadurze. Pamiętaj, że mogę wydać rozkaz zabicia cię w tej sekundzie i nikt się o tym nigdy nie dowie. Doszły mnie pogłoski i chciałbym usłyszeć ich potwierdzenie, to wszystko. A teraz powiedz mi, co ona zamierza?

Blondel wahał się; na pewno nie miał chęci umierać w tej chwili ani też – na razie – w żadnej określonej chwili. Myśl jego pracowała szybko i niezwykle jasno. Zdecydował się.

– Nie wiem, co królowa zamierza teraz robić, ale wiem, co już uczyniła. W Co uczyniła?

– Uzyskała papieską zgodę na ekskomunikę cesarza.

Wiadomość ta nie podziiałała na księcia dobrze. Przysłonił oczy piękną dłonią, którą teraz drżała, i delikatnie gładził brwi. Biskup zamruczał coś po łacinie.

– Dziękuję wam – rzekł wreszcie książę i opuszczając rękę, odkrył twarz, która pobleadła niepokojąco. – A teraz jeszcze kilka pytań. – Blondel na większość z nich odpowiedział gładko, a na wszystkie przekonywająco. Pytania dotyczyły przeważnie schwytania króla i jego zamiarów.

Następnie Jan powstał i opierając się znużonym gestem o krzesło rzekł: – Bez wątpienia wiesz o tym, że pobyt mój w Londynie jest tajemnicą. W rzeczy samej niebezpieczne jest dla mnie przebywanie tutaj. Wolałbym, abyś nic nie mówił o tym, że mnie widziałeś, rozumiesz? Mógłbym kazać zabić was obu i wtedy nie miałbym żadnych wątpiwości, ale to mogłoby się okazać kłopotliwe, no i oczywiście, jesteście przyjacielem mego brata. Więc puszczać was wolno, ale musicie przysiąc, że przez tydzień przynajmniej nie powiecie nikomu, iż przyjmowałem was w Londynie. Blondel i Karl przysięgli. – Mam nadzieję, że znów się kiedyś zobaczymy – rzekł uprzejmie książę Jan, gdy dwaj przyjaciele, skłoniwszy się, wychodzili z pokoju.

Pogodny mnich wyprowadził ich na zewnątrz. Nie mówił nic i nie wiadomo dlaczego, zdawał się być zdziwiony, że wypuszczono ich na wolność.

Powietrze na dworze pachniało przyjemnie. Blondel był cały mokry od potu, suknia lepiła mu się do pleców, a twarz miał nienaturalnie rozpaloną.

x– Czy on by nas naprawdę zabił? – spytał Karl, otwierając szeroko oczy na tę myśl.

– O, tak... – Rozmawiając z Karlem myślał o tym, co powiedział Janowi, zastanawiał się, czy nie powiedział zbyt wiele. Chyba nie, ponieważ poseł był już w drodze do Rzymu i cokolwiek mógł zrobić Jan, temu nie przeszkodzi. Ano, to, co zrobił, było jedynym wyjściem z sytuacji – to wszystko. Za kilka dni powie Longchampowi, co mu się przydarzyło.

– A co teraz? – zapytał Karl i podnosząc kamyk rzucił nim w ptaka, siedzącego na murze; chybił i trafił w mur. -r- Co będziemy teraz robili?

– Będziemy czekali – powiedział Blondel, który już umiał czekać.

Część czwarta

28 marca 1194

BITWA 1

Wiosna zmieniała się w lato, lato w jesień; potem zima – i znów nowa wiosna i wszystko rozpoczęło się na nowo.

Jeździli po Anglii, słuchając, co się mówi, oczekując ostatecznych wieści z Niemiec: mówiło się o ekskomunie i o rozłamie w Europie. Potem w lipcu, gdy przebywali w Blois, przyszła wiadomość, że wysłannicy Ryszarda spotkali się z Filipem, że zawarto porozumienie i że król francuski stanął po stronie Ryszarda przeciw Janowi. A w końcu posłyszeli o procesie.

Dolina Loary pokryta była ciemną, zakurzoną zielenią i wśród tej zieleni rzeka wiała się jak srebrny wąż. Zamek wznosił się nad miastem, spoglądał ze swej wyniosłości na rzekę, na niskie wzgórza i wsie. Blondel i Karl zostali tu przez całe lato. Anglia była teraz dla nich zbyt niebezpieczna; nikt nie był pewny, kto tu będzie rządził, a Jan podobno zebrał armię i miał się koronować na króla, był już królem; Longchamp złożony z urzędu, Longchamp nie żyje; takie chodziły pogłoski.

Lecz lato było w pełni rozkwitu. W ogrodach mnóstwo czerwonych, żółtych i białych kwiatów; ich dusząca woń unosiła się w powietrzu, a niebo przesłaniały białe obłoczki, rozpraszające błękit; wszystko to dawało blade, łagodne barwy, niepodobne do ostrego, żywego koloru austriackiego nieba. W rozgrzanym po-

wietrzu krążyły ptaki; z dziewa na drzewo, z ogrodu do ogrodu, mknęły lub spływały na skrzydłach, roz- szczebiotane, rozśpiewane.

Upalne lato otaczało ich zewsząd. Gdy od morza nie dolatywała bryza, powietrze było rozpalone, zupełnie jak jakaś rozgrzana skrzynia, w której ludzie poruszali się niby we śnie. Obłoki na niebie zaledwie się przesunęły i w miarę jak upływało lato, słońce przepaliło zielen i ściemniło jej barwy, a padając na rzekę oślepiło oczy; spędzali te dni wśród chłodnych, kamiennych murów fortecy lub pod drzewami obok kaplicy, pod wielkimi drzewami, które rzucały chłodny cień; siedząc tutaj w cieniu widzieli rzekę wyraźnie.

Upał i słońce; codzienne wschody i zachody w orgii jaskrawych kolorów, powietrze pachnące ziemią i suche brzęczenie owadów, śpiew ptaków i wiatr, który owiewał upałem i podnosił kurz na drogach, osrebrzając tym kurzem ciemnozielone liście; to wszystko było ich latem i nie tylko to. Czekając śpiewali, układali razem ballady i śpiewali je na dworze w Blois, gdzie zbierali wiele oklasków i pochwał. A także często pływali w rzece, tylko we dwójkę, w srebrzystej wodzie – w tym srebrze, które tak dobrze odbija wspomnienia. Pływali nie myśląc o niczym, niczego nie pamiętając, chłodząc się w rzece, grzejąc na brzegu, położonym poniżej miasta, poza murami zamku. I leżąc na plecach przyglądali się bladym, mglistym obłoczkom, płynącym jak bezkształtne łabędzie na błękitnym, wklęsłym niebie, gdy za ich zasłoną czerwone

słońce wypalało swą półkolistą drogę od wschodu do zachodu, przebijając czasami nieokreśloną barwę chmur i w końcu zapalając je, rozplamienając biel łabędzią żywymi barwami, ostatnim wybuchem barw przed zapadnięciem nocy, która nadchodząc falami czarnych, wygasłych chmur zajmowała miejsce ognia i wszelkiej jasności.

204

Podczas pływania rzadko rozmawiali. Karl, opalony na czerwono-brązowy kolor, pływał szybko w rzece, jak by go woda do tego zmuszała, rzucała mu wyzwania.

Blondel częściej siedział na brzegu i patrzył, nie myśląc

o niczym; w tym stanie nie przychodziły mu do głowy nawet słowa, nawet fragmenty ballad – gdy tak siedział w słońcu, patrząc na pływającego Karla. Nawet Ryszard, który był osią jego życia, zdawał się odległy. Blondel świadomy był tylko obecnej chwili, ciepła, chłodu, zapachu kwiatów, szmeru wody, ostro zarysowanego kształtu własnego ciała, które stało się brązowe od słońca i czyste od wody.

Noce były ciemne i ciepłe, a drzewa wydawały ciągły łagodny szmer. Owady i żaby odzywały się głośniejsz, wtórując ludzkim głosom, grającym przeciwstawną, a zgodną melodię.

Gdy skończyli śpiewać na dworze, często przechadzali się wśród drzew obok kaplicy. Powietrze w nocy miało chyba tę samą temperaturę, co ich ciała, było rozkoszne, ciepłe, a wiatr poruszał się łagodnym tchnieniem. Czasem przychodzili tutaj każdy ze swoją dziewczyną z dworu i kochali się przy świetle gwiazd nad szumiącą w dole rzeką, a potem przypatrywali się dziwnie regularnym układom gwiazd i zastanawiali się, czym one są.

Kiedy indziej przychodzili tu sami, tylko we dwójkę,

1 siedzieli w świetle gwiazd ramię przy ramieniu, słuchając odgłosów nocy, nie słysząc niemal płynącego z oddali zgiełku głosów ludzi, trudniących się życiem; nierzeczywiste były te dźwięki, niczym głosy, słyszane przez sen, przeszkadzające ich osobistej tajemnicy – owej rojnej od gwiazd nocy letniej.

Gdy byli sami, mówili niewiele. Przy Karlu Blondel czuł się bliskim natury; Karl był dla niego wcieleniem natury, czymś oczywistym, choć niezupełnie obliczalnym. Siedział przez jakiś czas spokojnie obok Blondela, oglądając wraz z nim wzory, w jakie układały się gwiazdy, a potem nagle zrywał się i zbiegał z pagórka ku rzece lub też zaczynał głośno śpiewać, aż Blondel podrywał się i budziły się ptaki. Albo tańczył, skakał w ciemnościach, wirował i zadawał wyimaginowane ciosy mieczem, udawał, że się mociuje z jakimś niewidzialnym przeciwnikiem, a potem równie szybko przerywał i zmęczony, dysząc z gorąca, kładł się na nowo, mokry od potu, bo noce były upalne i ani chłodne gwiazdy, ani chłodna rzeka nie potrafiły ochłodzić wiatru ni uśmierzyć upału. Pewnej nocy, gdy kończyło się lato, gdy ciemnozielone liście zaczęły ciemnieć jeszcze bardziej, zwijać się, kilka z nich pożółkło a kilka poczerwieniało, gdy powiał świeższy wiatr z jakiegoś chłodniejszego miejsca, a ptaki, ciągnące znów na południe, krążyły nad obumierającymi ogrodami, gdzie opadłe róże, brązowe i stęchłe, rozsypywały się na wietrze, Blondel i Karl siedzieli razem przez całą noc i patrzyli po raz drugi, jak rodzi się poranek.

Potem, kiedy słońce zjawiało się na niebie, a noc odeszła tam, gdzie zawsze odchodzi; wrócili do zamku, gdy słońce rozrywało lśniącoymi szponami najdalsze skrawki ciemności.

Znowu jechali. Jechali z Blois wzdłuż rzeki, wśród czerwonych i żółtych liści, wśród resztek kwiatów i ściernisk po dawno już ukończonych żniwach. Przemineła jesień i znów przyszła zima.

Przez jakiś czas przebywali w Paryżu i Blondel śpiewał przed Filipem; był to przyjemny mężczyzna dwudziestokilkuletni, młodszy od Ryszarda, łagodniejszy,

przystojniejszy i jak ogólnie było wiadomo, chytrzejszy od wszystkich książąt Europy. To na jego właśnie dworze usłyszeli nowinę. – ...Sąd się rozpoczął i wytoczono mu już zarzuty. –

Mówiący le słowa gruby mężczyzna wrócił właśnie z Frankfurtu. Blondel stał obok niego, gdy ów, zdyszany nieco głosem, opowiadał dworzanom, co się dzieje. – Oskarżono go o zabójstwo Montferrata, tak jak wszyscy przewidywali, a także o zawarcie pokoju z Sa- ladinem. Słyszałem, że już zdecydowano wysokość grzywny... może lepiej powiedzieć okupu: dwieście tysięcy marek i musi uznać cesarza za swego lennego pana. – Następnie grubas opisał szczegółowo przebieg procesu: świadków, sędziów i wszystko.

– Jak prędko wydadzą wyrok? – spytał Blondel, korzystając z chwili, gdy tamten zaczerpnął tchu.

– Teraz już lada dzień, może już wydany. Ale co zajmie dużo czasu, to Anglicy, oczywiście. Będą musieli zebrać pieniądze, a wszyscy znają ich stosunek do pieniędzy. – Widocznie Francuzi znali, bo wszyscy wy- buchnęli śmiechem.

– I co teraz? – spytał Karl, gdy Blondel opowiedział mu nowiny.

– Wracamy do Anglii.

– Tam będzie wojna, prawda? – powiedział Karl, a Blondel skinął głową. Karl uśmiechnął się. – O, to mi się podoba.

2

W lutym dowiedzieli się, że Ryszard jest wolny, a potem w marcu do Londynu nadeszły wiadomości, że wylądował w Sandwich, że Jan zebrał armię, że Ryszard idzie na Nottingham, stolicę Jana, z wojskiem zebrany pośpiesznie we Francji, do którego miały się dołączyć oddziały baronów, tych, co pozostali mu wierni.

Obecnie po raz trzeci oglądali wschód słońca – Blondel, Karl i grupa rycerzy z Londynu. Spędzili noc

na zimnej, zamrzniętej ziemi niskiego wzgórza za Not- ingtonham. Przez całą noc na otaczających miasto wzgórzach płonęły ogniska i armia Ryszarda, która rozrosła się teraz do znacznych rozmiarów, czekała dnia, by rozpocząć atak.

Blondel, zmarznięty, czekał na nowe słońce, aby go ogrzało, by mu wyгнаło sztywność z kości. Nie widział jeszcze Ryszarda. Nikt nie wiedział, przynajmniej na tym wzgórzu, gdzie się podziewa król. Lecz gońcy ód niego przybywali regularnie, niosąc rozkazy dla różnych dowódców. Wkrótce po nastaniu świtu miał nastąpić regularny atak. Na razie ludzie kręcili się, poprawiali zbroje, przystawali w słońcu, aby się rozgrzać.

Dzień był jasny. Nisko nad ziemią wisiała delikatna mgła, ale niebo było bezchmurne, a ostry wiatr kołatał w gałęziach drzew. Ludzie drżeli i klęli na zimno. Czekali.

Karl był podniecony. Oczy świeciły mu tak, jak wtedy, gdy jechał na jednorożcu. Nie mógł ustać spokojnie, ciągle coś poprawiał przy zbroi, przy koniu lub u sukni, wprawiał się we władaniu mieczem, obcinając krzewy.

Blondel poprawił swój stary skórzany pancerz, tak zniszczony, że skóra od wewnątrz była równie gładka, jak skóra na jego twarzy; od wierzchu pokrywała go metalowa łuska jak u smoka. Czuł się w nim bezpieczny, niedostępny dla ciosów, ale ciężył mu on i Blondel wiedział, że nim dzień się skończy, będzie mu straszliwie gorąco. Poprawił skórznie, które mu przylegały ściśle do nóg i na razie dawały miłe

ciepło. Odłożył chwilowo swój hełm na ziemię. Miecz i uprzęż rzucił na siodło. Będzie teraz myślał o czymś błahym, żeby odwrócić uwagę.

Ale potrafił myśleć tylko o bitwie. Przypominał sobie, ile razy znajdował się w tej sytuacji, ile razy poprawiał tak zbroję, czekał na znak, na pierwszy, głośny szcęk rozpoczynającego się ataku. Sześć razy? Nie, dopiero pięć. W Akrze było najgorzej i najlepiej. Najlepiej, bo krótko się czekało. Walka rozpoczęła się, nim się spostrzegli, i nie ustała, póki nie zdobyli cytadeli. A najgorzej, bo najwięcej padło ludzi; upał był straszliwy i trupy rozkładały się szybko w słońcu.

Wyobraził sobie, jak zawsze w tych momentach, siebie zabitego. Poczucie straszliwy wstrząs, tak jak kiedyś, gdy zrzucił go koń, jak był jeszcze chłopcem. A potem ciemność. Wyobraził sobie swoje ciało, rozciągnięte na ziemi, i tratujące je konie. Potem narzucą na niego ziemię i zaczną się rozkładać; wkrótce nikt już nie wspomni Blondela, który pisał pieśni, śpiewane przez wszystkich; zapomną o nim. Pozostanie pusta czaszka, szczerząca zęby w uśmiechu, niewidoczna w ziemi pod Nottingham.

Zadrżał. Widział, że rycerze wokół niego myśleli o innych rzeczach. Śmieli się, opisywali wiejskie dziewczyny, które posiadli poprzedniej nocy. Byli to Normanowie, niskiego wzrostu i mocnej budowy. Mieli proste, ciemne włosy i jasne oczy. Śmieli się głośno, pomagali sobie nawzajem w dopinaniu zbroi, w przypasywaniu mieczów. Przybrani byli w ciemne barwy, przeważnie brązowe i zielone.

Ptaki świergotały wśród drzew, naśladując śmiech rycerzy. Czy tamci też się bali tak jak on? Czy on jeden tylko się bał? Potem pojał, jak im się musiał wydawać spokojny, obojętny, gdy tak się przeciągał i ziewał. Wszyscy byli jednacy... Prócz Karla, który nie bał się nigdy. Młodzieniec, zmęczony zadawaniem ciosów drzewom i niewidzialnym zdrajcom, usiadł na kłocu przy wypalonym ognisku. Pogwizdywał i rysował obrazki w popiele. On się nie bał, ale też, jak przypomniał sobie Blondel, był bardzo młody i nigdy nie wiedział bitwy. Następnym razem będzie inny. Podszedł do Karla i usiadł przy nim.

x– Jak to długo będzie trwało? – spytał Karl, rysując w popiele twarz dziewczyny.

– Już niedługo – odrzekł Blondel. Niedługo opanują go mdłości i zawrót głowy, głośne uderzenia serca- odbiją się echem w mózgu, a potem, w następnej chwili, wszystko stanie się jasne i proste; będzie zupełnie świadomy tego, co się dzieje. Będzie uderzał jedną ręką, a bronił się drugą, aż go zabolą ramiona, aż bitwa, tak czy owak, rozstrzygnie się i skończy.

–Jak taka bitwa wygląda? Zawsze byłem ciekaw. Zawsze pragnąłem znaleźć się w bitwie. Nie mogę uwierzyć, że to się teraz stanie. Czy jest dużo hałasu? Czy w bitwach bywa dużo hałasu? Tak, chyba tak.

– Nie. mogę się doczekać. Czy zobaczę króla? Czy będzie tam?

– O tak, na pewno będzie.

– Jak można go poznać?

–Poznasz go. Jest wysoki, ma rudawą brodę, jego głos będzie słyhać na całym polu i przypuszczam, że koło niego będzie jechał człowiek z królewskim sztandarem. Jeżeli będę blisko ciebie, pokażę ci go. Ale zobaczysz sam, gdy się walka skończy.

Gdy się walka skończy... Siedział tutaj bezpieczny, cały, oddychając szybko, świadomy bicia swego serca, ciepła swego ciała. Siedzi tu żywy. Gdzieś zaśpiewał ptak, a ludzie rozmawiali i śmieli się koło niego. Każdy z nich był żywy. Ale tam, pod wzgórzem, na łące pokrytej świeżą zielenią wielu z nich polegnie. Padnie może i on, paląc krwią zieloną trawę. Czerwono? zielone: barwy uroczystych dni.

Najjaśniejsze, najja- skrawsze barwy naznaczą łąkę, na której w myślach, widział już

walczących ludzi, widział siebie. Coś go zaswędziało pod pachą i zaczął się drapać mocno, zastanawiając się, czy ma wszy; czy wszy uciekały od człowieka, kiedy...

x— A co będzie, jeżeli nie zwyciężymy? A jeżeli coś się może stanie królowi?

— Co?... No, nie wiem.

To była nowa myśl. Ryszard poległy pod Nottingham, Jan na tronie.

— Czy wrócilibyśmy do Francji, czybyśmy zostali tutaj? Zdaje mi się, że Jan nie jest taki zły. To znaczy, nie wydawał się taki zły, jak wszyscy opowiadają, wtedy kiedyśmy go widzieli w Londynie. Mimo wszystko puścił nas wolno, pamiętacie? Mam jednak nadzieję, że wygramy.

—Ja też — rzekł Blondel i uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu dni. Czy czuł taką samą gorliwość przed swoją pierwszą bitwą? Nie, nikt tego nie czuł. Oczy Karla jaśniały; pogromca jednorożca.

Podszedł do nich rycerz, którego Blondel znał od wielu lat, przyjaciel Ryszarda.

— Wkrótce go zobaczysz, Blondelu.

— Mam nadzieję. Tak dawno go nie widziałem. — Cóż mógł powiedzieć innego? Właściwie dwa lata to nie było tak dużo. Nagle poczuł gniew bez żadnej przyczyny, więc zmusił się do uśmiechu, starał się być miły. — Kiedy zacznie się atak, nie wiecie? Czy były jakieś nowe rozkazy od Ryszarda? — Ów rycerz był dowódcą ich grupy.

— Nie, rozkazy bez zmian. Niedługo po wschodzie słońca zatrąbią na rogu i wtedy wszyscy mają nacierać na miasto. Mamy się przedrzeć przez te linie obronne. — Wskazał głębokie okopy przed jednym odcinkiem muru. Czekali tam żołnierze księcia, po większej części łucznicy, obserwując pagórki i lasy, zieloną ciemność lasu Sherwood, gdzie, jak powiadano, ukryty był sam Ryszard.

Znów zaczął dąć ostry i wilgotny wiatr, z odrobiną deszczu; mroził im twarze, rozsypywał popiół z ognisk.

x

Zza lasu wstało słońce. | — Ile mamy oddziałów? — spytał Blondel. Było to pytanie, które zazwyczaj zadawało się dowódcy przed atakiem.

Lecz dowódca tylko ruszył ramionami. — Nikt nie wie, ile Ryszard zebrał po drodze z Sandwich. Słyszałem, że bardzo dużo. Powiadają też, że przyłączyła się do niego banda rozbójników... różne są pogłoski. Myślę, że kiedy się zacznie, nietrudno będzie określić.

— Tak. Nie będzie trudno.

— Słyszałem, że stary Jan nie ma żadnych wojsk w Nottingham, tylko garść ludzi — Karl spojrzął na dowódcę, który uśmiechnął się i powiedział: — Myślę, że stary Jan wie, co robi, nawet gdyby miał przegrać. Dosyć ma ludzi, żeby nam dać zajęcie na cały dzień.

— Ale dzięki Bogu — wtrącił Blondel — że to będzie prawdopodobnie jedyna bitwa. Nie będziemy potrzebowali walczyć po całej Anglii.

Dowódca kiwnął głową. — Ciekawym, co z nim Ryszard zrobi?

— Pewnie nic. — Blondel wiedział, co Ryszard zrobi ze swoim bratem; wiedział także, co by chciał z nim zrobić. — Przypuszczam, że pójdzie na wygnanie, a następstwo tronu ustali się już na dobre.

— Strasznie bym nie chciał być królem — powiedział Karl, rysując w popiele koronę.

— Czy myślicie, że tym razem Ryszard długo zostanie w Anglii? — zapytał dowódca. Gdzieś nie opodał zarzął koń i wszyscy trzej drgnęli, a potem uśmiechnęli się trochę niepewnym uśmiechem, z ulgą, choć serca im biły.

— Nie sądzę. Myślę, że wkrótce powróci do Francji. Może nawet zacznie nową krucjatę. Nie wiem.

— On lubi wojować — powiedział dowódca, zamyślony. — Chyba większość z nas to lubi. Bardzo nudno

jest pozostawać na jednym miejscu, nigdzie się nie ruszając. Myślę, że mężczyźni są stworzeni do wojowania.

– Tak by się mogło zdawać – rzekł bez przekonania Blondel.

– Ano, muszę iść do innych. – Dowódca odszedł, a krokom jego towarzyszył szcęk i skrzywienie lśniącej zbroi.

– Kiedy to będzie, jak myślicie? – spytał znowu Karl.

– Nie wiem. Czy musisz ciągle pytać?

Gniew i rozdrażnienie Blondela wybuchły. Karl zdawał się urażony, a Blondel poczuł przewrotne zadowolenie, nawet zmarszczył brwi.

– Przepraszam. Nie chciałem was nudzić.

– Więc nie zadawaj ciągle pytań. – Krzywda została przypieczętowana. Karl, posmutniały, patrzył w popiół i nic nie powiedział.

Słońce wzbilo się ponad lasem i nastał dzień. Wiatr dał jeszcze mocno w drzewa, a od zachodu na horyzoncie ukazały się deszczowe chmury. Przez kilka godzin jeszcze powinna się utrzymać pogoda; nie było chmur wprost nad nimi. Blondel wstał i podszedł do swego konia; nie myśląc o tym, co robi, naprężył mięśnie i spróbował ich, jak by się do czegoś szykując. Inni również byli skupieni; nikt teraz nie rozmawiał; poruszali się spokojnie, poprawiając hełmy i siodła.

Wreszcie wysoki, czysty głos rogu rozległ się w lesie i Blondel wsiadł na konia, wreszcie spokojny, bez zdenerwowania. Inni wsiedli również.

– Powodzenia! – zawołał do niego Karl z uśmiechem i dotknął przelotnie szyi Blondelowego wierzchowca.

– Powodzenia – odrzekł Blondel i uśmiechnął się.

– Naprzód! – krzyknął dowódca. Poszli za nim. Karl zaraz za dowódcą, Blondel dalej z tyłu.

Zjechali ze wzgórza na dół, a zjeżdżając zobaczyli konnych i łuczników, nadciągających z lasu i ze szczytów innych wzgórz. Znowu zabrzmiał głos rogu.

– O Boże... – jęknął Blondel przerażony i przeżegnał się, skręcając do Nottingham.

3

Zawierucha głosów. Okrzyki, wrzaski, czasem krzyk bólu. Rżenie koni. Chwilami głos Ryszarda, wybijający się ponad zgiełk. Szcęk mieczów bijących w tarcze, w hełmy, w zbroje; wir lecących strzał; chaos dźwięków.

I chaos samej bitwy. Wojska Jana zderżyły się z nimi przed bramą. Na murach zamku mieli stanowiska łucznicy, rażący zarówno atakujących, jak i własnych ludzi. Chwilami Blondel nie mógł odróżnić żołnierzy Ryszarda od ludzi Jana. Walczył tylko z tymi, którzy na niego nacierali. Jechał na oślep, unoszony stopniowo w kierunku murów; stanowił już część krwawego dzieła, ogólnego zgiełku i zamieszania.

Oderwał się na chwilę od masy ludzi, żelaza i koni; znalazł się w odległej części bocznego skrzydła i teraz na chwilę wypchnięto go z bitwy. Ściągnął konia i uniósł się w strzemionach, tak by móc lepiej widzieć. Setki ludzi kłębiły się pod murami, większość konnych, dalej od miasta, na wzniesieniu terenu łucznicy Ryszarda celowali do łuczników na murach. Hałas panował straszliwy; zapomniał już, jaki to bywał hałas; zapomniał, jak brzmi wrzask, syk strzał i stukot metalu o metal, miecza o tarczę, miecza o hełm. Wykręcał głowę, starał się dojrzeć Karla, ale nie mógł. Starał się

odnaleźć Ryszarda i w końcu dostrzegł go. Król jechał na czarnym koniu, z daleka widoczny, krzycząc i wydając rozkazy. Przed nim rozwierała się pustka; mało kto posuwał się do starcia z królem i jego miecz często ciął powietrze. Ciemnopurpurowa twarz lśniła od potu i Blondel, choć stał za daleko, aby to widzieć, wiedział, że żyły nabrzmiały mu na skroniach bladymi węzłami. Słyszał jego głos, lecz nikt nie

rozumiał słów. Wydawał zwierzęce okrzyki, ostre, straszliwe dźwięki, odruchowe i dzikie.

Słońce odbijało się blaskiem od pancerzy i różnych broni, rzucało oślepiające błyski we wszystkich kierunkach, odpryskując od walczących jak iskry z olbrzymiej kuźni. Słońce było teraz jak młot gorący, olśniewająco jasny.

Coś uderzyło go w ramię, zrzucając niemal z siodła. To trafiła w niego strzała, żłobiąc metalową łuskę. Spojrzał w górę na mury, na wieżę; który z tych ludzi próbował go zabić? Potem, wypoczęty, z obrazem bitwy jasno zarysowanym w myśli, wjechał w migotliwy, ogłuszający zgiełk.

Stał się jego częścią. Nie rozróżniał już głosów koni i ludzi, okrzyków triumfu i jęków konających. Tarczę trzymał podniesioną; był ostrożnym wojownikiem, nie tak jak lekkomyślny Ryszard, który dawał odpoczynek tej ręce, która trzymała tarczę aż do ostatniej chwili. Blondel uważał na siebie i gdy go napadnięto, walczył rozważnie.

Strach uleciał. Na świecie nie było nic prócz tej masy ludzi i koni, lśniących w upalnym słońcu. Przed nim wznosił się mur i brama oblepione tłumem walczących, a pomiędzy murem i bramą znajdowali się ludzie, których będzie musiał zabić albo zranić. Następowali jedni po drugich – regularnie. Jeden padał, drugi zajmował jego miejsce i choć zdawało się Blondelowi, że zaledwie się porusza, jednak posuwał się wciąż naprzód i musiał dotrzeć do bramy.

Jakiś wysoki rycerz; grube wargi, chuda twarz, wymyślny pancerz. Trzask miecza na Blondelowej tarczy. Rąbanina, poszukiwanie pozycji. Przyciśnięto ich teraz bokiem; żaden z nich nie może się odsunąć, nabrać rozmachu ani przybrać wygodniejszej pozycji. Przyciśnięci do siebie tak ciasno, że nogawice zbroi szczękają o siebie. Zasłonić się – teraz uderzyć – ramię wznosi się łukiem – znów się zasłonić – mocny cios. Prawie wyleciał z siodła, prawie że upadł. Potem starcie miecza o miecz. Teraz! szybko! Smuga czerwieni na grubych ustach; szczęka opadła i rycerz z wyrazem zdumienia -zlatuje z konia i niknie pod lasem kopyt końskich.

Blondel opuścił rękę dla odpoczynku. Tkwił ciasno w gąszczu walczących ludzi i koni bez jeźdźców. Na chwilę mignęła mu twarz Karla, lśniąca, z otwartymi ustami, które dyszały ciężko lub może wydawały okrzyki podobne jak król. Niektórzy z walczących krzyczeli nie wiedząc o tym.

Spojrzał na chwilę w dół i zobaczył człowieka, który wił się i ryczał pod kopytami jego konia. Podniósł szybko wzrok na mury, gdzie stało już mniej łuczników, potem na niebo, gdzie na zachodnim krańcu kłębiły się gęste szare chmury. Potem popatrzył wprost przed siebie; szukał następnego, myślał, który to będzie, jaką będzie miał twarz.

Przed nim utworzyło się przejście na kilka jardów. Ktoś spadł z konia i stąd powstało przejście. Wjechał w nie, nim się zamknęło. Był teraz blisko bramy.

Ten następny miał jasną brodę, żółtą saską brodę i białą skórę. Widocznie należał do biedniejszych rycerzy, bo pancerz składał się ze skórzanych pasów, poszczepianych metalowymi skuwkami, i był już porwany, na piersi świecił białą dziurą. W to miejsce uderzy – pomyślał Blondel i patrzył w napięciu na białą skórę, w którą zatopi miecz.

Rycerz zaatakował go najlepiej jak mógł na tak ciasnej przestrzeni. Pierwszy cios ogłuszył Blondela; miecz ześliznął się z tarczy i uderzył w jego stożkowaty, metalowy hełm. Oślepiło go na chwilę, w głowie zawirowało mu światło. Lecz utrzymał tarczę w górze, desperacko, i potrząsał głową, póki światła w niej nie zgasły. Rycerz po zadaniu ciosu zachwiał się, przez chwilę nie był zdolny do natarcia i stracił przewagę.

Walczyli z bliska. Blondel słyszał oddech tamtego, czuł ten oddech na twarzy. Zobaczył, że to młodzik, silny, lecz niedoświadczony – równie młody jak Karl. Potem spełniając zapowiedź, jak by urzeczywistniając sen, uderzył i miecz przebił białą

skórę, wszedł głęboko i został szybko wyciągnięty. Gdy mężczyzna padał, Blondel spojrział w inną stronę, na łuczników. Usłyszał obok siebie krzyk, ale nie wiadomo czy. Gdy na nowo zwrócił oczy w to miejsce, zobaczył przed sobą konia bez jeźdźca i znów mógł się posunąć naprzód.

Nigdy w życiu nie było mu tak gorąco. Lekka suknia pod zbroją była mokra i lepiała się do ciała, lecz nie miał czasu myśleć o tym; spostrzegł, że dyszy jak pies; polizła usta; były spieczone i miały smak soli.

Teraz następny, Sas, jeszcze jeden Sas. Uniósł tarczę, ostonił się od serii ciosów. Sas lepiej, umiejętniej władał mieczem. Lecz Blondel był teraz zbyt zmęczony, aby się bać; bronił się tylko i czekał. Potem otworzyło się przejście, gdy obok niego padło dwóch rycerzy, już przedtem wysadzonych z siodła. Dał ostrogę koniowi i umknął. Obejrzał się i zobaczył, że przejście zamknęło się znowu. Sas walczył już z innym rycerzem.

Znalazł się teraz tuż przy murze. Żołnierze Jana wycofywali się nieregularną linią, broniąc każdej piędzi ziemi. Rozejrzał się wokół. Kilku pieszych walczyło kordami i toporami. Dwóch rycerzy biło się tuż obok niego, krzycząc na siebie. Dojrzał Ryszarda, już bliżej niż przedtem; jechał teraz na białym koniu.

Blondel dziękował Bogu, że jego koń dotrwał i jak zwykle, w chwilach zadowolenia, że mu się coś udało, koń potknął się i padł, ze strzałą w szyi. Usłyszał łomoty a ziemia zatrzęsa się i zawirowała. Nie myśląc o tym, co robi, przylgnął do konia, kryjąc się za jego ciałem. Wreszcie rozjaśniło mu się w głowie i ziemia przestała się kręcić. Poczul ból w nodze; stopa aż po kostkę przygnieciona była ciężarem konia. Spojrzał do góry i zobaczył końskie brzuchy i ostrogi rycerskie. Przyciskał się do zwierzęcia, usiłując równocześnie uwolnić nogę. Kopyta końskie zaledwie go chybiały. Zajrzał przez las końskich nóg, zobaczył, gdzie zaczyna się mur, i chwytając swój miecz, wyszarpnął nogę, zerwał się i pobiegł tam. Gdy biegł, nie czuł nawet bólu w kostce. Bez tchu dopadł muru i przylgnął doń, na chwilę bezpieczny. Zgubił hełm, a lewa ręka krwawiła od uderzenia

o ziemię. Przewiązał ją oddartym skrawkiem sukni. Nie patrzył na nogę, starał się nie myśleć o niej, nie czuć bólu. Zdrową ręką przesunął po twarzy i otarł pot

1 kurz, zalepiający mu oczy. Linia ludzi Jana była teraz poprzerrywana w wielu miejscach. Na szczęście znalazł się w jednej z takich przerw. Obok niego leżało kilka trupów i jeden ranny, który wił się i jęczał. Przyjrzał się poległym, jakie mają rany i w jaki sposób zginęli. Lecz w istocie nic nie widział; wiedział, że zapomni wszystko, gdy skończy się bitwa.

Poszukał wzrokiem Karła, lecz nigdzie go nie spotkał. Nie znalazłszy Karła obejrzał się za jakimś koniem bez jeźdźca. Zobaczył kilka, ale musiałyby podbiec, aby je złapać. Znużony oparł się o mur, przerzucając ciężar ciała na zdrową nogę. Nagle zjawił się przed nim Ryszard.

Ryszard niecierpliwie oczekiwał w lesie wschodu słońca. Przybył z Sandwich dopiero poprzedniej nocy. W miastach, przez które przejeżdżał, wznoszono okrzyki na jego cześć; pośpiesznie robił zaciągi i teraz z dość licznym, choć słabo wyćwiczonym wojskiem czekał w lesie na poranek.

Był z nim William z Etoug i dotrzymywał mu towarzystwa, gdy Ryszard obchodził obóz lub szeleścił pergaminową mapą Nottingham. Ze wszystkich stron lasu przeświecały płonące ogniska. Ludzie kręcili się po całym obozie, a z oddali, między drzewami, widział światła Nottingham, za łąkami. Dookoła ogniska z tuzin chłopaków. Kilku z nich spało, inni rozmawiali. Byli to kurierzy; za każdym razem, gdy przemyślał jakiś nowy szczegół planu bitwy, wysyłał jednego z nich do któregoś z dowódców. Cały plan bitwy miał jasno ułożony w głowie. Wiedział, gdzie stoi każdy z dowódców; nawet ci przybyli z Londynu, których jeszcze nie oglądał. Wszyscy dostali rozkazy.

Natarcie zostanie przeprowadzone w dwóch rzutach. Pierwszy zaraz po wschodzie, a drugi z przeciwnej strony, w godzinę później. Widział cały plan bitwy jasno, jak zwykle. Był podniecony. Tego mu najwięcej brakowało w niemieckich więzieniach: obmyślenia bitew, przesuwania pionków, hazardu i oczywiście zwycięstw. Napiął ramiona; och, pozbyć się całej tej energii! Spać do rana, przeskoczyć godziny, które go od tego dzieliły, i cały ten zmarnowany czas. Ci, którzy jeszcze czuwali, spoglądali na niego, jak chodził tam i z powrotem w nerwowym pośpiechu. Wiedział, że go się boją i to nie tylko dlatego, że był królem; dobrze było, że go się bali, że nazywali go Lwie Serce. Lubił to imię.

Myśli jego pochłonał plan bitwy, odsuwając wszystkie inne. Tylu ludzi na północy, tylu na wschodzie; tylu w lesie, tylu na wzgórzach. To dziwne, że nie dostał żadnych wiadomości od Jana; jego własny wysłannik, ten, którego posłał do Jana z Sandwich, nie powrócił. Ale jutro wszystko się wyjaśni. Jutro zobaczy Jana. Łucznicy zajmą stanowiska na najbliższym wzgórzu. Kawaleria natrze od lasu na bramę...

– Ktoś chce się widzieć z Waszą Królewską Mością – rzekł William, dotykając jego ręki.

– Co? Kto? – W krąg światła wysunął się jakiś człowiek. Niski, krępy, o ciemnej cerze, z ciemną brodą. Ubrany był w zieloną suknię mocno połataną, w rękę trzymał łuk. Skłonił się z elegancją, która do niego wcale nie pasowała.

– Król Ryszard?

– Tak. Kim jesteś? Za nami czy za Janem?

– Za królem, Miłościwy Panie. – Jeszcze jeden ukłon, tym razem mniej głęboki.

– Jestem mistrz Hood, przestępca, złodziej i za waszym, panie, pozwoleniem, pan tego lasu.

– No, no, rzeczywiście? – Ryszard zaczął się śmiać, ubawiony i trochę niepewny. Czy ten człowiek mówił poważnie? Czy ośmieliłby się z niego tak zażartować?

– Mam siedmuset uzbrojonych ludzi – ciągnął pogodnie mistrz Hood. – Znają oni nie tylko lasy, lecz i samo Nottingham jak własną kieszeń. Może lepiej, bo do własnych kieszeni rzadziej zagląдают. Przeważnie łucznicy, choć wszyscy umieją władać kordem. Czy możemy się wam przydać?

– Oczywiście. Ale za jaką cenę, mistrzu Hood, za jaką to cenę?

– Jaką Wasza Królewska Mość uzna za stosowną.

– Dyplomata, co? – zachichotał Ryszard. – Będziesz musiał dokładniej się wypowiedzieć. Czego żądacie?

– Pewnych zmian w administracji Nottingham, nieuniknionych zmian, jak mi się zdaje, a także umorzenia kilku wyroków śmierci.

– Macie słusność, mistrzu Hood, że będą zmiany w administracji; o tym was mogę zapewnić. Co do wyroków śmierci, to zbadam je sam.

– Nie mogę prosić o nic więcej – powiedział mistrz Hood i znów się pokłonił.

Szare światło sączyło się przez gałęzie drzew, ptaki śpiewały i otwierały się młode liście. Poranek w lesie wstawał chłodny i bezwietrzny. Szmer głosów, stąpanie koni, szcęk zbroi. Ryszard nie spał wcale; rozmawiali z mistrzem Hoodem, aż zaczęło dzień.

Jak zawsze wszystko zajęło więcej czasu, niż się spodziewał. Klął i krzyczał, ale wiedział, że zwłoka jest nieunikniona i słońce stanęło już ponad lasem, jaskrawe i żółte, nim byli gotowi do ataku. Gońcy mknęli we wszystkie strony. Rozkazy do dowódców, meldunki od dowódców. Wszystko załatwiał sam. Ciągłe jeszcze miał swój plan w głowie.

Wreszcie skończyły się przygotowania; wsiedli na koń. Każdy wiedział, co ma robić. Kilku przybocznych dosiadło koni wraz z nim, by jechać przy jego boku. Koło

niego jechał młody Sas z królewską chorągwią. Zbliżył się William na kasztanie. – Podobno na wzgórzu jest Blondel z grupą londyńską.

– O, to dobrze. Brakowało mi go. – Tak rzeczywiście było; Blondel był cennym przyjacielem. Ale teraz czekała bitwa. Chwila nadeszła. Zatrąbić w róg! – A potem wydał rozkaz natarcia swoim językiem, który walczący zawsze rozumieli.

Wypadł galopem z lasu, przy nim chorąży, tuż za nim William. Po zielonkawej pomroce lasu jasność słońca była oślepiająca. Rzucił okiem na wzgórza i ujrzał jadących do ataku ludzi, wykonujących jego plan. Z lasu jechali galopem żołnierze w szeregach, za Ryszardem ku Nottingham. Łucznicy mistrza Hooda, wszyscy ubrani na zielono, zjawili się na wyznaczonym wzgórzu. Teraz zaczęła się walka.

Słyszał własny głos, nabrzmiały niecierpliwością, gdy krzyczał na swych ludzi, kierując ich ku słabym miejscom w linii nieprzyjacielskiej. Uniósł się w strzemionach, by ocenić siłę nieprzyjaciela, rozstawienie ludzi przed murami i łuczników na murach. Koło niego świstały strzały, lecz wiedział, że żadna go nie tknie; on nie mógł zginąć w bitwie. Teraz, zbadawszy pole bitwy, skoczył naprzód, krzyząc na ludzi, chorąży za nim.

Już teraz nie myślał. Ramię wznosiło się i opadało, metal dzwonił o metal znanym dźwiękiem. Zapach koni, potu, kurzu i krwi oblewającej jaskrawą czerwienią konających i poległych. Niewielu z ludzi Jana chciało się z nim zetrzeć. Gdziekolwiek zwracał broń, trafiał na pustkę. Bali się go.

Potem pewien baron, którego znał i nie lubił, człowiek próżny i głupi, jeden z dowódców Jana, stanął mu na drodze i zatrzymał go.

Walcz, Ryszardzie! – krzyczał. Radośnie podniósł eony Ryszard zaczął walkę. Ręka trzymająca miecz wznosiła się, opadała szybko, biła i drażyła szczyrby w tarczy tamtego. Nie ustawał ani na chwilę. Ostatni cios miecza i hełm barona pękł, a miecz Ryszarda rozciął głupią głową. – Walcz, Ryszardzie – zadzwonił król, gdy baron spadł z konia martwy i znikł w zgiełku bitwy.

Rzucił się, rąbał i krzyczał, ogarniał wzrokiem linie, nieprzyjacielskie, okopy, pozostałe za nim wzgórza; Prędko, prędko. Całe upokorzenie dwóch lat, spędzonych w więzieniu, dwóch lat bezczynności, zostało zapomniane, zatraciło się w zgiełku, w oczyszczającym, krwią zbroczonym kurzu Nottingham. Twarze, jedna po drugiej, patrzące nań spod hełmów na kształt żołędzi, czerwone, lśniące twarze, wszystkie wpatrzone w niego, cały krąg przerażonych twarzy. Owalna twarz, pulchna i miękka, zakończona krótką brodą; dwa ciosy i twarz zapada się w morzu końskich ciał. Nigdy już jej nie zobaczy. Strzała odbiła się od jego hełmu. Wściekły, ciął w jakąś przestraszoną, ogorzałą twarz, zboczył ją krwią za tego łuczника, co się ośmielił zapragnąć go zabić. Zabić jego!

Natarł znowu; minęła jeszcze jedna chwila (czy tylko chwila? Ta bitwa toczyła się poza czasem, poza czasem trwała nie kończąca się rzeź, zamęt i przeciągły krzyk, wrywający mu się z piersi)... W każdym razie tutaj, gdzie wszystko kłębiło się tak nieprzerwanie, że wszystko jak by znieruchomiło, Ryszardowi zdawało się, że w mgnieniu oka znalazł się pod murem i tam, oparty o mur, stał Blondel.

Ryszard ściągnął konia tuż pod murem, w miejscu, gdzie występ frontonu chronił go od wszelkich pocisków, którymi razili obrońcy. Ludzie Jana wycofywali się przez bramę. Krzyknął na Williama, by na nich napierał, by wdarł się z wojskiem przez bramę, jeśli zdoła. William zrozumiał i natarł z całej siły.

– Czy jesteś ranny?

Blondel kiwnął głową i wskazał na kostkę u nogi. Ryszard czuł, że jego własny głos łamie się, że coś ściska go w gardle. – Ciężko?

Blondel potrząsnął głową. Twarz miał umazaną krwią, na naramiennikach plamy krwi. – Czekaliśmy długo – wyrzekł słabym, ledwie dostykalnym głosem.

Ryszard poczuł nagle tkliwość, ciepło, zapomniał na chwilę o bitwie. – Nie zapomnę – rzekł, patrząc na Blondela, który odwrócił oczy. Dlaczego ludzie nigdy nie patrzyli mu wprost w oczy? Nawet Blondel tego unikał. – Dostanę dla ciebie konia. – Krzyknął na swego chorążego, ten wysunął się z za osłony muru, xledwie że uniknął spadającego głazu, pochwycił bezpańskiego konia i już był z powrotem. Blondel wsiadł na konia. – To już prawie koniec – rzekł Ryszard, a potem, uspokojony, wrócił w zgiełk bitwy.

Karl był z początku oszołomiony. Hałas ranił mu uszy; jaskrawe światło słońca, odbite nieskończoną ilość razy w zbrojach, oślepiło oczy – musiał je przymrużyć. Bez Blondela czuł się zagubiony, nie wiedział, co robić. Jechał niepewnie za dowódcą i jego kompanią. Najpierw zjechali kłusem ze skalistego wzgórza, potem, gdy znaleźli się na rozległej łące, puścili konie galopem.

To było więcej, niż się spodziewał. Galop konia podniecił go. Za chwilę otoczyła go wrzawa bitwy i wtedy zatracił się zupełnie. Gdzie był nieprzyjaciel? Wielu rozstrzygało tę wątpliwość krzyżąc "za Ryszarda!", i jeżeli ktoś odkrzyknął "za Jana!" rzucali się na niego. Spróbował tego sposobu i zaraz znalazło się mnóstwo wrogów.

Nawykł do rytmu natarcia i obrony. Wiedział, że jest silny, silniejszy niż wielu z tych rycerzy, którzy doświadczyli wielu bitew, uczyli się sztuki walczenia i posiadli ją. Tą siłą nadrabiał brak doświadczenia.

Zabił kilku, nim spostrzegł, co się dzieje. Jednemu zdruzgotał rękę, a gdy tamten umknął i pozostawił go na chwilę panem niewielkiej przestrzeni, Karl zrozumiał, co robi, i poczuł się wstrząśnięty, ale i trochę dumny. Pragnął tego: gwałtownych czynów i gwałtownych ruchów, ale naprawdę to się różniło od wszystkiego, co sobie wyobrażał. Właściwie czegoś takiego wcale sobie nie wyobrażał: nieprzerwanego szeregu konnych na swojej drodze, a każdy starał się zabić jego, a on starał się zabić każdego z nich. Stracił też głowę, nie widząc w tym wszystkim jakiegoś widocznego planu. Wiedział, że mają zdobyć mury, które wznosiły się przed nimi, ale nie miał pojęcia, jak to mieli zrobić, co do niego należało, poza tym, że posuwał się naprzód i unikał śmierci. Więc przebijął się w kierunku murów. Znow go zatrzymano i znow walczył.

Lepiej nie myśleć; właściwie myślenie, rozważanie były teraz niemożliwe. Z tyłu pchała go siła wojsk nacierających, a z przodu wstrzymywało go wojsko przeciwnej strony. Znalazł się w samym środku tego świata żołnierzy i koni, a z góry prażyło słońce; gorąco jego własnego ciała uchodziło rozgrzanym strumieniem przez szparę u szyi między hełmem i zbroją. Czuł, jak pot spływa mu po twarzy, oślepiając go słoną wilgocią, zwilżając wyschłe usta.

Bitwa zwróciła się w jedną stronę. Siła, która pchała go naprzód, uderzyła teraz z ukosa, odrzucając go z grupą dwudziestu może walczących na skrzydło bitwy, na łąkę, która leżała najdalej od muru. Uwolniony na sekundę od ścisku, popatrzył na ludzi, przesuających się na murach, i na przeredzającą się linię broniących. Konie bez jeźdźców kręciły się bezładnie po łące, poza zasięgiem walki. Ujrzał chorągiew, wznoszącą się koło muru, a obok wysokiego mężczyznę z rudą brodą, który wydawał okrzyki; a więc to był Ryszard. Karl natężył wzrok w jaskrawym świetle słońca, aby go lepiej dostrzec, lecz zaraz i chorągiew, i król zniknęli, zagubili się w ruchomej, świetlistej masie.

Wytarł twarz grzbietem rękojeści miecza. Spostrzegł, że ręce mu drżą. Drżało całe ciało, lecz nie ze strachu, a z napięcia. A teraz w którą stronę? Oczywiście na mury, to

był właściwy kierunek. Lecz wpieryw musi minąć najbliższą grupę ludzi: zwarty kłęb walczących rycerzy, wśród których przeważali ludzie Jana. Ścisnął ostrogami konia.

Ciemne, -zrosnięte brwi, cienkie usta. Starli się.

Karl był silniejszy, lecz po raz pierwszy ocenił swój brak doświadczenia. Ciął i walił, lecz każdy cios odbijała tarcza rycerza. Porwała go wściekłość, zaczął kłać. Nienawidził tych cienkich ust. Nienawidził pierwszy raz w życiu.

Ramię pracowało niezamordowanie, mięśnie napinały się i odprężały, kierował koniem raz w tę, raz w tę stronę, a bronił się, nawet kolanami. Nie mógł dosięgnąć za tę tarczę, nie mógł zgruchotać tarczy i zniszczyć tego człowieka.

Ponawiając ataki-wiedziało, że tamten czeka na jego zmęczenie, czeka, żeby opuścił tarczę; a właśnie że się nie zmęczy! Jeszcze jedno uderzenie. Ogłuszający łoskot i iskry w oczach. Jeszcze jedno.

Potem, jak zły sen, ujrzał jadących ku niemu jeszcze dwóch rycerzy. Osadził konia, odwrócił się i chciał uciekać, lecz go zatrzymali zagrodzili mu drogę.

Nie pozostawało mu nic. Żadnego wyjścia. Trzej rycerze otaczali go z wolna, rozmyślnie. Bronił się, walczył w milczeniu, ciało zimne jak lód, usta drzące[^] Ogień poraził mu ramię. Miecz wypadł z jego rąk.- Okrzyk jednego z tamtych i ciężki cios miecza wprost w pierś. Karl upadł.

Otworzył oczy i zobaczył słońce, okrągłe jak mosiężna tarcza. Odwrócił głowę i ujrzał rycerza o cienkich ustach, jadącego wprost na niego. Czy mu pomoże? A potem nagle zrozumiał, co się stanie. Krzyknął, lecz biała masa pokryła go, jednorożec stracił jeźdźca i słońce zgasło.

PRZESŁANIE

Blondel znalazł go dopiero o zmierzchu. Bitwa się skończyła i Ryszard zdobył Nottingham. Nie znajdując Karla w mieście, Blondel zostawił Ryszarda i chodził samotnie po łąkach pod murami.

Wszędzie leżały trupy ludzi i koni, to w splątanej masie, tam gdzie walka była szczególnie zacięta, to znów osobno, daleko od siebie. Oficerowie obu stron chodzili wśród poległych, sprawdzali, kto poległ, liczyli. Od czasu do czasu leżąca postać poruszała się; ktoś wołał lub jęczał. Lecz większość rannych już zebrano. Ci, co zostali, byli to przeważnie polegli lub konający.

Chodził wśród nich osłabły i zmęczony, poznając niektórych. Wieśniacy, czyściciele trupów, zabrali się już do pracy, rabując i odzierając zmarłych do naga.

Zmrok zapadał chłodem, przynosił ulgę po upale. Blondel zdjął już zbroję i zmienił suknię. Wiał lekki wiatr, a chmury zbierały się na niebie i w oddali przemknęła błyskawica; wkrótce zerwie się burza – Blondel zawinął się szczelniej w płaszcz.

Nie będzie się teraz martwić o Karla. Zamiast tego Starł się wyobrazić sobie spotkanie Ryszarda z Janem. A może Jan uciekł? Nikt jeszcze o tym nic nie wiedział. Przeszukiwali zamek, lecz armia Jana została rozbita w proch. Ci, co pozostali, przysięgli już na wierność królowi. Wkrótce król, Blondel i Karl będą mogli powrócić do Londynu, a potem dalej, do Francji.

Ryszard, na nowo triumfujący, wzruszał swoim widokiem. Ochrypl zupełnie, nim skończyła się bitwa. Poddających się dowódców przyjmował szeptem. Ale wygłosił mowę.

– Chodzą wieści – mówił, starając się opanować chrypkę, spoglądając na dowódców, baronów i rycerzy, brudnych i umazanych, którzy stali przed nim w wiel-

kowej Nottingham – chodzą wieści, że przyjąłem zwierzchnictwo cesarza jako warunek mego uwolnienia. A zatem pozwólcie mi, abym wam ogłosił – i obracał w palcach proklamację, która miała być przepisana i rozesłana po całej Anglii – że niezależnie od tego wszystkiego, co obiecałem Rzymskiemu Cesarzowi! – tytuły te wymawiał z szyderstwem – obietnice moje nie mogą być wiążące, ponieważ gdy je czyniłem, byłem jeńcem, schwytanym bezprawnie. A następnie, jeśli w głowach moich baronów istnieją jeszcze jakieś wątpliwości co do tego, kto jest królem, rozproszę je tak, jak rozproszyłem dziś armię Jana. Ostatecznie, aby dać znak widomy moim angielskim baronom, cesarzowi i wszystkim chrześcijańskim książętom, rozkazujemy, abyście towarzyszyli nam do naszej katedry w Winchester, gdzie w przeciągu tygodnia włożymy królewską koronę. – Przerwał, zabrakło mu głosu. Ludzie krzyknęli hura – a on znów spojrział na nich z szyderczym uśmiechem, pewny swego i zupełnie samotny.

Blondel odszedł. Medyk przewiązał mu stopę, która była tylko przygnieciona, lecz bez poważnych uszkodzeń. Potem, nie widząc nigdzie Karla, poszedł go szukać. Szedł wolno przez pole bitwy.

Na skraju łąki, o kilka jardów od najbliższych śladów bitwy, znalazł Karla. Chłopak leżał na wznak, nogi skrzyżowane, jedna ręka odrzucona w tył, druga okrywająca twarz obronnym ruchem. Czyściciele odnaleźli go wcześniej: nie miał już hełmu, broni, butów ani płaszcza. Zostawili na nim tylko pociętą zbroję. Ciało było szarawo-białe, umazane zasychającą krwią.

Blondel stał nad nim, nie wiedząc, co ma robić, co ma czuć. Zgiełk i zamęt minionego dnia wysały z niego energię i uczucia, zniszczyły zdolność czynu i rozumienia. Stał, patrząc na chłopca, potem ukląkł koło niego i uniósł ramię, przykrywające twarz.

Twarz była

blada, jasne włosy zlepione krwią. Żadnego na niej wyrazu; ani śladu strachu lub bólu.

Blondel złożył głowę Karla na kolanach. Spadł zimny, wiosenny deszcz, lecz nie czuł go wcale. Pozostał tak długo. Skończyło się. Jego własna młodość leżała bez życia w strumieniach deszczu. Teraz będzie stary, bezbronny, pochłonięty sobą i nigdy już nie wróci mu młodość. Przerażliwie świszczący wiatr siekł deszczem łąkę, dął w Sherwoodzkim lesie. Zmierzch zgęstniał od deszczowych chmur, stał się ciemny niemal jak noc.

Przez łąkę ktoś szedł, samotny wśród zmarłych, zatrzymując się od czasu do czasu, by spojrzeć na jakąś twarz, rozpoznać obcą twarz zmarłego przyjaciela.

Blondel patrzył obojętnie. Potem poznał króla.

– Znalazłeś go? – szepnął Ryszard, a głos brzmiał słabo, ochryple, niepewnie.

Blondel nie odrzekł nic.

– Nie żyje – powiedział Ryszard, klękając, dotykając twarzy chłopca. Potem pomógł Blondelowi wstać.

– Dopilnuję, by go tu pochowano – rzekł. – Teraz musimy iść. – Ruszyli w ciemności przez łąkę ku miastu Nottingham, na uroczystość zwycięstwa

Kair

8 kwiecień, 1948.